REPORTERZY „WYBORCZEJ" POLECAJĄ

ZBRODNIA I KARA

Głośne sprawy, zagadkowe zbrodnie, wyrafinowane oszustwa

Kolekcja prenumeratorów „Wyborczej"

5 TOM

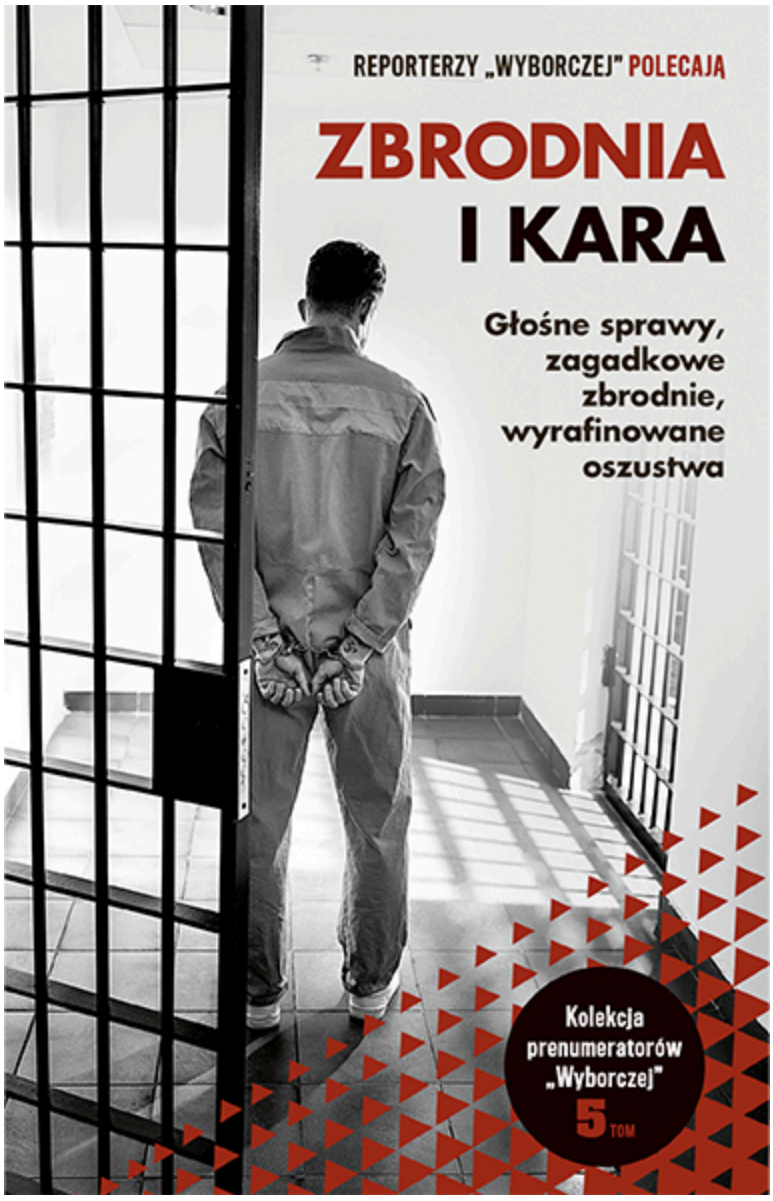
REPORTERZY „WYBORCZEJ" POLECAJĄ
ZBRODNIA I KARA
Głośne sprawy, zagadkowe zbrodnie, wyrafinowane oszustwa
Kolekcja prenumeratorów „Wyborczej"
5 TOM

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

SPIS TREŚCI

Zbrodnia i kara

- KRÓTKA KRYMINALNA HISTORIA POLSKI
- NIE CHCĘ, BY WYGONILI MNIE ZA BRAMĘ JAK PSA
- DZWONIĘ DO PANI/PANA Z ASPEN NA PACYFIKU
- CZASEM SŁOŃCE, CZASEM ARESZT
- 6540 NOCY TOMKA KOMENDY
- SZTUCZNA INTELIGENCJA
- POMNIK DEPRESJI
- CZY NIEPEŁNOSPRAWNY PO LITRZE MOŻE POPEŁNIĆ MORD DOSKONAŁY?
- KRYSTYNĘ ZABILI MĄŻ Z SYNEM, DOSTALI ROK I SIEDEM LAT
- DZIEWCZYNA Z OGŁOSZENIA
- MARTWY, ALE UBEZPIECZONY
- WŁAMYWACZKI

„Reporterzy »Wyborczej« polecają”: Zbrodnia i kara

Krótka kryminalna historia Polski

PIOTR GŁUCHOWSKI

FOT. MARTYNA NIEĆKO/AGENCJA WYBORCZA.PL

W latach 90., gdy ludzie zerkali nocami przez okna bloków na swoje samochody (czy aby już nie ukradzione), szło się do zaprzyjaźnionego prokuratora i prosiło o ciekawy akt oskarżenia do wykorzystania. Zwykle jakiś akurat wędrował do sądu. W akcie były zazwyczaj namiary pomagające dotrzeć do bohaterów historii –

wtedy nie było służb prasowych, co anonimizują przekazywane dziennikarzom kwity. Inny sposób: chodziło się po sądach i przeglądało wokandy na drzwiach. A potem prosiło się o wgląd do akt i czytało je bez problemu w sądowym sekretariacie. W tomach spraw były potrzebne adresy, nazwiska biegłych, wyniki eksperymentów śledczych. Niezależnie od powyższych sposobów z interesującego procesu można było napisać nawet pięć sprawozdań. Dziennikarze kryminalni znali się z korytarzy sądów, prokuratur i tzw. zespołów adwokackich. Chodzili na wspólne imprezy z asesorami i policjantami. Wymieniali się informacjami przy kielichu. W tamtych latach w ogóle więcej się piło.

Dzisiaj informacje wypływające z organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości są ściśle kontrolowane. Kto chce mieć coś ekskluzywnego, musi mieć naprawdę dobrego informatora. Na procesy dziennikarze nie chodzą – chyba że bardzo głośne. Reporter sądowy to zawód równie zapomniany jak repasatorka pończoch. Bogdan Wróblewski nie pracuje w „Wyborczej" od dekady. A i reportaży kryminalnych – ogólnie – jest w prasie coraz mniej. Są liczne kryminalne newsy – ale nie reportaże, nie teksty, których autor pojechał na miejsce, pogadał z bohaterami. Takie produkcje wylądowały w magazynach niszowych (jak efemeryczne pismo „Reporter"), zaś w „Dużym Formacie", z którego wybrałem dla Państwa teksty do tego tomu, „kryminały" stanowią – policzyłem – niespełna 10 procent ogólnej produkcji moich koleżanek i kolegów.

Bo przestępczość trochę zniknęła nam z oczu, przynajmniej od czasu, gdy policja uporała się z masowymi kradzieżami samochodów i odtwarzaczy samochodowych, z nie mniej masowymi włamaniami do domów i altan, z grasującymi jeszcze w latach 90. kieszonkowcami. Dzisiaj przestępstwa (o czym się Państwo

przekonają, czytając) grupują się w dwóch głównych zbiorach. Pierwsze są wynikiem życiowych zagubień: bieda, przemoc domowa, alkohol, narkotyki i agresja po nich. O takich sytuacjach pisze z wirtuozerią Paweł Piotr Reszka. Druga grupa to przestępczość finansowa: już nie wycinanie portfeli z kieszeni marynarek, ale np. przekręty na giełdach bitcoinowych, czy wyłudzanie kasy pod pozorem zbierania środków na film. W tej kategorii mieści się i Amber Gold, i karuzele VAT-owskie, i fałszowanie paliwa, i tzw. mafie wnuczkowskie. Prawie zanikła – powtarzam – najbardziej dokuczliwa dla mieszkańców Polski kategoria „przestępstw środka": rozboje uliczne, wyrywanie torebek, kradzieże rzeczy z balkonów.

W PRL-u była tego masa – mawiało się, że złodziei u nas nie ma, tylko ludzie kradną. Rodzice opowiadali mi, jak to „niesamowicie" jest w Szwecji, bo gdy zostawisz na ławce walizkę i przyjdziesz po godzinie, to ona tam leży. Niedawno zostawiłem pod sklepem plecak. Po godzinie był. Polska jest dziś w europejskiej piątce krajów o najniższej przestępczości. Gorzej niż u nas jest nawet w Szwajcarii, we Francji, w Niemczech. To oczywiście zasługa imigrantów zawyżających statystyki kryminalne w Zachodniej Europie, ale kraje nieprzyjmujące masowo przybyszów ze świata zwanego kiedyś trzecim także mają gorzej od nas. Bułgaria: trzy razy więcej przestępstw niż w Polsce. Estonia i Łotwa: prawie dwa razy więcej.

A więc zasiądźmy bezpiecznie w fotelach, niekoniecznie pozamykani na trzy spusty, i poczytajmy o mordercach, gwałcicielach, hochsztaplerach, aresztach i więzieniach.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Nie chcę, by wygonili mnie za bramę jak psa

Siedzę w więzieniu za jedno zabójstwo, na koncie mam trzy. Mogę wkrótce wyjść, ale mi się nie śpieszy.

PAWEŁ PIOTR RESZKA

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Andrzej „Oponka” w swojej celi w zakładzie karnym

Taką łyżeczkę w żołądku czuć, ale bez przesady. Po prostu jak się człowiek przekręca, to wie, że jest, bo ukłuje czasem. Da się wytrzymać. Nie da się połknąć łyżki ot tak. Nie przejdzie. Staje się na fikoł, taboret znaczy, głowa w górę, łyżeczkę w gardło cieńszym końcem i wtedy się skacze. I pyk. Łyżka sama przechodzi. To mi taki recydywista podpowiedział. Zgłosiłem do oddziałowego połyk, zrobili mi prześwietlenie, samouszkodzenie jest? Jest. I wtedy już straż więzienna nie mogła mnie uderzyć, bo jeszcze, nie daj Boże, coś by mi pękło. Ten recydywista poradził mi, żebym świrował. „Na »eskę« cię wezmą – powiedział – za psychicznego uznają, wyjdziesz wcześniej".

I tak się stało. Ale to były inne czasy dla więzień, inne czasy dla mnie. Dziś już osadzonych się nie bije. Funkcjonariusz mówi: „dzień dobry", „do widzenia", „dziękuję", ja też mu odpowiadam: „dzień dobry", „do widzenia", „proszę".

Tu u nas kiedyś pociął się chłopak, tętnice sobie otworzył, nie zdążyli nic zrobić. Ale kłopotu narobił tym wychowkom, znaczy wychowawcom. I myślałem potem: co gdybym i ja się powiesił? Ile to problemów by było z tego powodu? A czemu, a jak, a dlaczego? Oddziałowy to by włosy z głowy rwał, dlaczego akurat na jego zmianie. Ja pierdolę! I tak mnie to myślenie o tym jakoś przejęło. No bo ja sobie robię dobrze, ale ile kłopotów zostawiam? Teraz to by mi szkoda było tych ludzi.

Dostałem dożywocie, ale zbili mi wyrok w drugiej instancji na dwadzieścia pięć lat. Siedzę już dwadzieścia. Mogę się o wokandę starać, znaczy zwolnienie warunkowe, ale nie występuję. Jeszcze by mnie tak od razu wypuścili.

On szalał, my dwie noce w piwnicy

Nie powiem, mam jeszcze czasem trochę żalu do ojca, gdzieś tam to dzieciństwo we mnie siedzi. Gospodarstwo mieliśmy małe, ale dawało radę z tego wyżyć. To wieś pod Kielcami. Pięć hektarów, krowy, świnie – biednie było, ale głodni nie chodziliśmy. Ojciec pił. A jak się napił, lał za wszystko. Matka ugotowała, posprzątała, a on się jej czepiał. Popychał, szarpał, bił w twarz, włosy wyrywał. Wiele razy to widziałem, zresztą starsi bracia i siostra też. Kiedyś taka sytuacja: ojciec do matki skakał, to my we trzech z braćmi do ojca. Ja miałem siedem lat, najmłodszy z całego rodzeństwa, na nogi mu siadłem, a starsi, wtedy jedenaście i dwanaście lat, na plecy. Związaliśmy go sznurkami i leżał tak. Darł się: „Kurwa, zabiję was!". Ale potem się uspokoił.

Albo kiedyś zimą niesamowity mróz był, zrobiliśmy z braćmi ślizgawkę pod domem. Wylaliśmy wodę, zamarzła. Ojciec wracał. Przewrócił się raz, drugi. Złapał za jakiś kabel i już do nas. Matka w krzyk: „To dzieci przecież tylko! Bawić się chciały!". To ojciec do niej. Mały wtedy byłem, matka wzięła mnie na ręce i z domu. Schowaliśmy się w piwnicy w stodole. Ojciec szalał, szyby bił, wiadrami rzucał. Bracia nam ukradkiem smalcu i chleba przynosili. Potem matka zadzwoniła od gajowego na policję i ojca zabrali do szpitala psychiatrycznego. Pamiętam to jak dziś. Dwie noce w tej piwnicy siedzieliśmy. My w tym zimnie, w ciemności. Ja w jakiejś kurtce, matka w tej swojej chustce na głowie w czerwono-niebieską kratę.

Jestem wartościowy, nie dygam

Mgiełki zrobiłem sobie, jak pierwszy raz poszedłem siedzieć. Tak, to te wytatuowane powieki. Tusz, igła i się dziabie. Niektórzy nawet po tym wzrok tracą. Mgiełki oznaczają, że ten, kto je ma, dużo

widzi, a mało mówi. No że wie, o co chodzi, ale nie donosi. Pewny gość.

Namówili mnie: od razu będzie wiadomo, kto idzie, że nie konfident. No i jeszcze, że małolatki lecą na mgiełki. I faktycznie, podobałem się dziewczynom.

Ten pierwszy raz to siedziałem za silniki, co żeśmy je z bratem ukradli z fermy lisów. Jak skończyłem podstawówkę, poszedłem do OHP, tam nauczyłem się pić, palić i kraść. Kradliśmy, co się dało, jakieś kioski, alkohol, papierosy. Wyrzucili mnie z hufca, wróciłem na wieś. Brat miał kupca na te silniki, ale ludzie ze wsi nas widzieli, jak żeśmy je na wózku ciągnęli. Dostałem rok i dwa miesiące.

Wcześniej jako młodociany miałem wyrok w zawiasach, kilka miesięcy. Chodziłem w takich starych kozakach, kumple mieli ładne buty, nocą wywaliłem kamieniem szybę na wystawie i ukradłem sofiksy czarno-białe. No ale ktoś mnie zobaczył, po kilku dniach policja w domu. Wstydziłem się biedy po prostu i chciałem wszystko od razu.

Jak szedłem siedzieć za te silniki, to stuknęła mi osiemnastka. Zakład karny Wojkowice. Osiemdziesiąty dziewiąty rok. Klawisze tłukli za wszystko. Krzywo stanąłem na korytarzu i już pałą. Na baczność tylko, nic się odezwać nie można było, przerwać oddziałowemu.

A w więzieniu przyjęte było, że małolat nie może dygać. Bo jak ty sam dajesz sobą pomiatać, to jesteś ofiara, frajer, nikt za tobą nie stanie, nikt ci nie pomoże, nikt kawy z tobą nie wypije. Nie grypsowałem nigdy, ale stosowałem się do zasad. Chciałem pokazać recydywie, że jestem wartościowy gość, że nie dygam. I

pyskowałem klawiszom, jak mnie który pałą, to ja do niego: „Ty chuju!”. Siedziałem po izolatkach. Jak mnie na dźwięki chcieli zholować, czyli do takiej sali dźwiękoszczelnej bez klamek, to się żyletką ciąłem, wtedy odpuszczali, nie bili tylko do ambulatorium.

Szybko wyszedłem, poznałem dziewczynę w Kielcach. Rodzice Basi pili. Kiedyś szedłem z nią przez miasto, patrzę, a jej z butów palce wystają. Bieda u nich była, bo na wódkę wszystko szło. Na wystawie zobaczyłem białe kozaczki. Dziewczynie prezent zrobię, pomyślałem, no i z jej bratem jebliśmy ten sklep. Nabrałem ze 30 par butów, wszystkie rodzaje. Schowałem towar na działkach, zaprosiłem Basię i mówię: „Patrz, kochanie!”.

Szczęśliwa była, ja też. Trochę sprzedaliśmy tych butów na wódkę. No a potem okradliśmy drugi sklep, trzeci, czwarty i w piątym nas złapali na gorącym z towarem. Z bloków ktoś nas przyciął, że w nocy po sklepie chodzimy.

Dostałem pięć lat.

Zakład karny w Tarnowie to już wyższa szkoła jazdy. Ja już nie byłem petka, czyli że pierwszy raz karany, no wtedy to jednak każdy inaczej patrzy. Tarnów był wtedy słynny na całą Polskę, nie wiem, czy pan słyszał, non stop awantury. Jak tam zajechałem, to akurat złodzieje się zbuntowali o warunki bytowe, jedzenie. Nie mogłem się wyłamać. Stłukli mnie klawisze gumami, znów na izolatkach byłem, ale powiem szczerze, cieszyło mnie to życie. Nogi sine, cały pobity, ale jak patrzyli na mnie inni skazani: „Dobrze, małolat!”. Rosłem w siłę. Lałem się z innymi. Jak był jakiś dym, to ja pierwszy wjeżdżałem. Po całym kryminale głośno o mnie było. „»Dzieciak« znów awanturę zrobił”. Bo taką ksywę miałem. To jest to, to jest właśnie życie, myślałem.

Sąsiad przyciął, złapali nas na gorącym

Wtedy właśnie zrobiłem ten połyk z łyżką. Żeby mnie na „eskę" rzucili, czyli ten oddział dla więźniów z problemami psychicznymi. Udawałem też, że się wieszam. Mówiłem psycholożce, że żyć mi się nie chce, w celi sznurkiem szyję kilka razy objechałem, skóra zdarta, poczekałem, aż oddziałowy kuklował będzie, czy w celi wszystko w porządku, i powiesiłem pętlę na kratach tak, żeby widział, a potem pchnąłem fikoł. Sznurek się zerwał, ja jeb na ziemię.

A innym razem zrobiłem wstrzyk. Wyciągnąłem z fikoła gwoździa, wydłubałem sobie dziurę w ramieniu i przez pusty wkład od długopisu napchałem do rany śliny. Bolało jak cholera, ręka mi spuchła jak bania, cała czerwona, pełno ropy. Chciałem wtedy, żeby mnie przenieśli do innego więzienia. Myślałem, że do Krakowa pojadę do szpitala, a tam powiem, że chcę na Monte trafić, na Montelupich znaczy. Ale mi powiedzieli, że koszty operacji będę musiał zapłacić. No to wziąłem żyletkę i nad umywalką tę rękę sobie rozciąłem i w kilka dni ropę wypłukałem.

Wtedy po tym wieszaniu się trafiłem na „eskę", wyrok mi warunkowo zawiesili i wyszedłem. Do roboty nie chciałem iść, zasiłek był, no i chciałem kraść. Brat mieszkanie upatrzył, dom znaczy, niedaleko, chciał, żebym z nim szedł, nie bardzo miałem ochotę, bo ojciec akurat napity był i mamy nie chciałem z nim samej zostawiać, to brat mówi: „Idę sam". A samemu to, wie pan, jak jest na włamaniu. No to poszedłem z nim, sąsiad przyciął i znów na gorącym nas złapali.

W sumie do odsiedzenia miałem cztery lata. Kielce, wjeżdżałem jak do siebie do domu, bajerę znałem, nic mnie nie mogło zaskoczyć. Ale wtedy sobie postanowiłem: kończę z tym, wychodzę i idę do

roboty. Kumple pozakładali rodziny, a ja cały czas tylko siedzę i siedzę. No ileż można?

Jak wyszedłem, przeprowadziłem się do miasta, znalazłem robotę w firmie budowlanej, jakieś ogrodzenia, kostka. Nie kradłem, nie korciło mnie, miałem dziewczynę. Ania pracowała w banku. Rewelacyjnie mi się układało. Aż do tego 9 czerwca.

Wcześniej, jak siedziałem, w więzieniu miałem ksywę „Dzieciak", jak wróciłem do niego po raz kolejny, to już wołali na mnie „Oponka".

Impuls, głupota, wódka, nie wiem

To moje pierwsze zabójstwo.

Ojciec nogę złamał, jeden brat siedział, gospodarką zajmował się drugi brat, ale nie dawał rady. A to gnój trzeba było wywieźć, ziemniaki zasadzić, musiałem pomóc.

Adama znałem od dziecka, mieszkał trzy domy dalej, dyskoteka – to z nim, ognisko też, chodziłem z jego siostrą, przyjaciel po prostu. No i kiedyś popiliśmy, pokłóciliśmy się o dziewczynę, przywaliłem mu z głowy i bombę jeszcze, z pięści. Ale napiliśmy się zaraz na zgodę. Tyle że kilka dni później on na mnie kolegów napuścił. Mocno mnie skopali, zęby wybili. Takiej nienawiści po tym do Adama nabrałem. Kilka dni potem dorwałem go na ulicy, szczękę mu złamałem. No ale potem jego koledzy odwet wzięli. I tak przez kilka miesięcy tłukliśmy się i godziliśmy.

I przyszedł ten 9 czerwca. Wziąłem pieniądze za drzewo, co je sprzedałem, pojechałem do sklepu koniem wódki, wina kupić i

pech. On tam był. Zaprosiłem go do siebie. Był z nami jeszcze jeden kolega.

Nieźle już mieliśmy w czubach, nagle Adam znów zaczyna coś tam gadać o tych kłótniach, no to ten nasz znajomy bierze nóż do ogórków, zachodzi Adama od tyłu, przykłada mu ostrze do szyi i pyta: „Będziesz dalej skakał?". Na to Adam, że on nam pokaże i że ja to już nie żyję. To ja mu na to: „Tak? To patrz, kto nie żyje!".

Biorę nóż do kiełbasy, co leży na stole, i wbijam go Adamowi w brzuch. Impuls, głupota, wódka, nie wiem, co jeszcze. Do dziś nie potrafię tego zrozumieć.

Krew się leje, matka płacze: „Synu, coś ty zrobił?". Wynosimy Adama na podwórko, chcę go na pocztę zawieźć, zadzwonić stamtąd po karetkę, idę konia zaprzęgać, wracam, a on głowa rozwalona. Ten kolega z siekierą w ręku mówi do mnie: „Dobiłem go". Jezus Maria. Jak go teraz pod tę pocztę wieźć? No to nocą wywozimy go do lasu, okładamy starymi oponami i podpalamy.

Na drugi dzień znajduje go gajowy. Szybko mnie namierzają, przyznaję się, bo co tu ukrywać?

Trafiam do aresztu śledczego w Kielcach.

A dwa tygodnie później moje drugie zabójstwo.

Rzeczy, których nie można wybaczyć

Znalazła ją siostra. Drzwi na strych były otwarte, pewnie poszła sobie popłakać, pomyślała. Bo mama często chodziła płakać na strych albo do stodoły. Wtedy nie wracała jednak długo, więc siostra poszła na górę jej szukać. Stał tam taki stary telewizor Rubin.

Mamusia weszła na niego i powiesiła się na belce. Pętlę zrobiła z tej swojej chusty w kratkę. Cały czas ją w niej widzę.

To ja ją zabiłem, własną matkę, przeze mnie to zrobiła. Ludzie na wsi jej żyć nie dawali. Krzyczeli za nią: „Mordercę wychowałaś!". Jak tu do kościoła dojechać, gdy wszyscy patrzą wilkiem?

A ona zawsze była dla mnie dobra, chroniła mnie przed ojcem, powtarzała: „Synu, nie kradnij!". No nie mogłem tego zbólić. Runęło mi wszystko. Płakałem, ale w nocy, jak nikt nie widział, w dzień dusiło mnie, ale trzymałem się, złodzieje, recydywa, nie wypadało jednak.

Dostałem dożywocie. Na sprawie przyznałem się, prosiłem o wybaczenie matkę Adama, ale czy można wybaczyć coś takiego? Nie można. W apelacji zmniejszyli mi wyrok na dwadzieścia pięć lat.

Zadzwoniłem potem do siostry, by powiedzieć, że jest szansa, że jest na co czekać, że może kiedyś wyjdę, i pytam: „A jak tam tatuś? Jak się czuje?".

A siostra: „Tata nie żyje, powiesił się".

Na strychu, w tym samym miejscu co mama, na telewizorze, tylko lejcy na pętlę użył.

To moje trzecie zabójstwo. Tata poszedł za mamą. Bił nas strasznie, ale jednak jak był trzeźwy, pomagał, jak miał parę złotych, to dał, w polu przy robocie żeśmy pogadali, w święta zawsze choinka, rodzina była zżyta.

Miałem takie myśli, nie powiem, wiele razy. Tyle zła wyrządziłem. Zabiłem przyjaciela, matkę, ojca. Po co ja mam w ogóle żyć? Dla

kogo? Ale siostra kiedyś przyjechała i mówi do mnie: „Ja cię proszę, żebyś ty nam tylko jeszcze kłopotów nie narobił, bo już w ogóle nam ludzie żyć nie dadzą. Będą się śmiali: była rodzina, wszyscy się powiesili".

Majora już nie dziabałem

Zacząłem się głębiej zastanawiać nad sensem. To było w zakładzie w Wiśniczu, na spotkaniach z panią psycholog. „Zobacz – mówiła do mnie – całe życie w więzieniu. I co ty z tego masz? Gdzie tu logika?". Ale ja w tę resocjalizację to nie wierzyłem jeszcze wtedy za bardzo. Po chuj mam się zmieniać? Dla kogo? Dla psycholożki? W Wiśniczu wydziabałem sobie kapitana na piersi, taki stopień, można po pięciu latach odsiadki.

Myślałem, że resocjalizacja, jakieś tam konkursiki, spotkania to frajerstwo i tylko jest po to, żeby w papierach mogli odhaczyć: „Oponka" zresocjalizowany, a tak naprawdę to w dupie mnie mają. No ale ta pani psycholog skierowała mnie do grupy Anonimowych Alkoholików. Tam zacząłem rozmawiać o sobie, o dzieciństwie, o piciu. Zobaczyłem, że w ogóle można mówić. Bo kiedyś to ja taki opryskliwy byłem, narwany, nie chciałem słuchać, co ty tam pierdolisz i tyle. Nauczyli mnie na grupie, że trzeba mimo wszystko patrzeć przed siebie, a nie tylko wstecz. Nie piję już, kiedyś jak miałem imieniny, częstowali mnie bimbrem z ryżu, kawę wolę, potrafię odmówić.

Zaczęły do mnie docierać pewne rzeczy, bo ja widziałem w więzieniu przecież tylko przemoc. Nauczyłem się, że można dawać. Kiedyś, jak ktoś przyszedł, bo kawy nie ma, to: „Weź spierdalaj", a dziś: „Proszę, nie musisz oddawać", poczęstuję, „smacznego"

powiem. Nawet sami złodzieje mówią, że „Oponka" się zmienił. I stanę, porozmawiam nawet, jak ktoś źle mówi, to stoję i słucham.

Skończyłem zawodówkę, na ślusarza, potem technikum i liceum dwuletnie. Poszedłem do pracy, najpierw robiłem buty więzienne, potem okapy, a teraz tu, w zakładzie we Włodawie, w magazynie jestem. W sumie mam już przepracowanych piętnaście lat. Większość zabiera mi państwo, wpłacają mi na konto 600 złotych, ale odkładam. I rodzinie pomagam – jak siostrzenica za mąż wychodziła, dołożyłem się do kostki, bo na środku podwórza bajoro stało i wstyd było kogokolwiek zaprosić. Strasznie zadowolony byłem, że mogę. I zauważyłem, że im więcej daję, tym więcej tego do mnie wraca. Dziwne uczucie z początku. Kiedyś to myślałem: czego to mam mówić „dzień dobry" funkcjonariuszowi? Ale zacząłem nad tym myśleć i cóż ten oddziałowy czy wychowek jest winien? Przecież to tylko moja wina, że ja tu siedzę, nikogo innego.

W magazynie mam dwóch kierowników, to funkcjonariusze, „cześć, cześć, siema", rozmawiamy o życiu. Pracuję uczciwie. I kiedyś jeden z nich mówi do mnie: „Jakbyś wyszedł i chciał zostać tu, w miasteczku, to ja ci pracę załatwię". Dawniej to bym tego nie pojął, że funkcjonariusz złodziejowi może chcieć pomóc. Zauważyłem, że między ludźmi, obcymi, może być jakaś taka życzliwość.

I widzę, że ja też się zmieniam. Z tym chłopakiem, co sobie tętnice otworzył, rozmawiałem dosłownie godzinę wcześniej: „Cześć, co słychać, kawę wypijemy?". Ale nie chciał, powiedziałem mu, że wpadnę potem. No a potem to już nie żył. Długo to we mnie siedziało. Że nic nie zauważyłem, może mogłem zrobić więcej.

Majora mogłem wydziabać sobie po siedmiu i pół roku więzienia, ale już tego nie zrobiłem. Na co mi to?

Okradł mnie w więzieniu, odpuściłem

Nie będę tu świrował przed panem, boję się trochę. Koniec kary się zbliża. Jak to będzie? Na przykład bariera tego języka. Kumple mi tłumaczą – w więzieniu człowiek jest nauczony tylko takiego języka: „spierdalaj", „odpierdol się", „w dupie", „jebać", ale jak będziesz na wolności, nie możesz takim językiem operować. Ktoś ci uwagę zwróci w autobusie, to co powiesz? Spierdalaj?

Jak tu z panem siedzę, to tysiące takich słów padło, ale na wolności nie da się tak rozmawiać, trzeba się hamować. Kogoś urażę, ubliżę, zrobi mi sprawę i na dzień dobry pół roku.

Albo też chłopaki mi mówią: „Jak wyjdziesz, to tolerancja". Ciężko mi to będzie zrozumieć, jakieś parady i jak idzie dwóch facetów za rękę, to nie można krzyczeć: „Pedały!". Ale mówią mi tu, że takie rzeczy muszę zaakceptować. I że za takie krzyczenie może być wyrok.

Świat się zmienił. A najbardziej ta technika mnie martwi. Jak szedłem siedzieć, to były tylko fiaty i polonezy, a teraz podobno samochody same odpalają i mają opony bezdętkowe. Jak bez dętki w ogóle?! Myjnie samochodowe, które same myją, elektroniczne przejścia dla pieszych, że się rękę przykłada, głośniki w autobusach, co mówią przystanki, i jeszcze podobno, żeby drzwi się otworzyły, to trzeba rękę gdzieś przyłożyć. Jak mi opowiadał znajomy, to wierzyć nie chciałem: „Co ty świrujesz?". Że jest jakiś Fejsbuk z ogłoszeniami, ten internet i że na poczcie to teraz jest wszystko elektronicznie. Co z tego, że ja wiem, co to jest laptop, jak nie wiem, jak do środka się dostać?

Nigdy w życiu przez telefon komórkowy nie rozmawiałem, odbieram takie od osadzonych do magazynu, jak ich przywożą, i widzę czarny ekran, żadnego cyferblatu. Jak to z tego w ogóle dzwonić? Kiedyś to do więzienia pani przyszła z pocztą do mnie, pismo z banku, i podtyka mi taką szybkę, i mówi, żebym podpisał. Ja myślę sobie: kurwa, baba zwariowała, gdzie mam podpisać? A ona, że tu, datę i nazwisko. Dopiero kierownik zaczął się śmiać i tłumaczyć tej pani, że ja od dwudziestu lat siedzę i pierwszy raz tablet widzę.

Konto w banku od kilku lat mam internetowe. Teraz w więzieniu już można. Ale wszystkie operacje wykonuje się przez telefon, taki na korytarzu. Karty kodów się używa. Poprosiłem kumpla z oddziału, żeby mi drugie konto założył, podałem mu dane. Założył i ukradł mi dwanaście tysięcy. Przelał na inne konto. Poblokował mi wszystko. Zadzwoniłem z tego więzienia do pani z banku, ona, że w tej sytuacji na policję trzeba. Zawiadomiłem przez wychowawcę. Przyjechali, przesłuchali mnie, świadka jeszcze jednego i umorzyli. Z powodu braku wykrycia sprawcy. Nawet płyta z banku z nagraniem była i pytali mnie, czy głos poznaję. Ale ten mój kumpel sam nie dzwonił, sam transakcji nie zlecał, tylko sobie do tego telefonu wynajął innego więźnia. Tu pięćset chłopa siedzi, to gdzież ja głos poznam? A tamten się chwalił jeszcze w więzieniu, że jest gość na grubą kasę do wyjebania. Wzięli umorzyli.

Gotowało się we mnie, ale machnąłem ręką. I powiem panu szczerze, że sam jestem zaskoczony. Gdyby to było te piętnaście lat temu, to z ręką na sercu mówię: rozjebałbym go. Składałem se pieniądze, a tu chuj przyszedł i zabrał mi wszystko. Skopałbym go, połamał. Ale teraz usiadłem, pomyślałem i odpuściłem. Gdybym

mu zrobił krzywdę, tobym zmarnował wszystko, na co przez lata pracowałem.

Odpuściłem, bez kary został.

Był porządek, jest dziadostwo

Przeszkadza mi obłuda wokół. Ten fałsz, udawanie. Kiedyś tak nie było. Zaufałem złodziejowi i złodziej złodzieja okradł. Dawniej to by było nie do pomyślenia. Złodziej, który kradnie w więzieniu, to jest najgorszy typ człowieka, jaki może być. Frajer, kurwa, szmaciarz, kiedyś za takie coś by go gonili, poszedłby na inną celę, toby usłyszał: „Wypierdalaj stąd, złodzieju". A teraz tych zasad już nie ma. Chłopak miał zegarek za dwa tysiące, położył na fikoł, odwraca się, zegarek zniknął.

Zanim wydziabałem kapitana, to pytałem grypsujących, czy mogę, siedziałem wtedy cztery lata, powiedzieli, że dopiero za rok, teraz mogę sobie wydziabać sierżanta, „a jak zrobisz kapitana – usłyszałem – to go cegłą wytrzesz, do krwi". Dziś każdy może sobie tatuować, co chce, nawet generała. Kasa się tylko liczy.

Był ład i porządek między więźniami, wiedziałem, co do kogo mogę powiedzieć. A dzisiaj to jest tak, że przychodzi taki do pana na celę, rozmawia normalnie, a potem idzie na celę obok i mówi: „Ty, z tym frajerem rozmawiałem, chuj jeden, kawę od niego wyrwałem".

Kiedyś bez podstaw nie można było drugiemu ubliżyć. Trzymali się więźniowie razem i sami załatwiali takie sprawy. Jakby taki, co kawę wyrwał niby od frajera, poszedł na łaźnię czy spacer, podeszłoby do niego pięciu, w łeb i kopa. A teraz to dziadostwo.

Napatrzyłem się. Żona zostaje sama z dziećmi, przyjeżdża na widzenie, daje takiemu tytoń kupiony za ostatnie pieniądze, a on go potem przehandlowuje, bo na narkotyki musi mieć. Nic szacunku do siebie, do rodziny.

Ale ja już ze złodziejami nie chcę mieć nic wspólnego. Złodzieje są jak wrony, zakraczą człowieka, zakrzyczą, słaby, sierota, nic niewarty gość, ale ja w pewnym momencie przestałem się przejmować tym, co mówią inni ludzie. Nie było łatwo na początku, „»Oponce« łeb siadł" – mówili. Ale ja mam dziś swoje własne cele.

Bóg zesłał aniołów, przeżycie niesamowite

Kilka rzeczy mnie trzyma. Siostra. Zależy jej na mnie, czuję, że mnie kocha, ja ją też. Napisałem jej nawet kiedyś w liście, bo tak powiedzieć wprost to jednak by nie wypadało. Odwiedza mnie przez te wszystkie lata. Trzyma mnie to, że będę mógł zobaczyć synka siostrzenicy, ma cztery latka, przez telefon mu mówię, że wujek jest w pracy, ale kiedyś przyjedzie. Kumpla tu poznałem, za narkotyki siedział, wyszedł już, pracuje, rodzinę założył, przyjeżdża do mnie często, mówi, że robotę w budowlance mi załatwi i mieszkanie też. Jego matka przysłała mi kartkę na święta. Taki mam zaczep na wolności. Do nich pojadę pierwszego dnia, jak wyjdę, do Lublina. A potem do rodziny, do siostry, no i braci. Ale bracia piją i żeby mnie nie korciło, to będę z tym kumplem i jego żoną. Taki plan. Jest też ta moja grupa AA, część już na wolności.

Oni wszyscy we mnie wierzą. I to mnie najbardziej trzyma. Że nie chciałbym tych ludzi zawieść. Że gdybym zaczął pić, to co oni by powiedzieli? Że ja jakiś frajer jestem. Jak wyjdę, będę miał pięćdziesiąt lat, została mi już tylko jedna szansa, żeby nie być „Oponką", ale znów być Andrzejem. Zmarnowałem życie, ale może

jeszcze nie całe. Chcę pokazać, że jestem coś wart, żyć spokojnie, bez złodziejstwa, mieć dzieciaka.

Nigdzie nie byłem. Kumple mi mówią, że teraz są takie zoo, że się wchodzi, jest wielkie akwarium i normalnie widzisz, jak rekin cię atakuje. Gór nigdy nie widziałem, morza, zagranicy. Chciałbym zobaczyć cokolwiek.

Dobre rzeczy wracają. I tak, dali mi grupę otwartą. To znaczy, że po czternastu latach mogłem już wyjść z celi, po siedemnastu latach wychowawca wziął mnie na grupę KO, czyli że mogłem na zewnątrz wyjść, jak do parku poszliśmy, to uwierzyć nie mogłem, że takie drzewa wielkie są. Ja pierdolę! Byliśmy nad jeziorem, w kinie, w bibliotece.

Kiedyś pragnąłem wolności, dziś już tak bardzo mi się nie śpieszy. Chciałbym powoli się komponować w ten świat, w którym mnie tyle nie było, a nie że mnie jak psa wygonią za bramę.

Na przykład na Trzech Króli przedstawienie odgrywaliśmy na rynku miasteczka, jasełka. Była to taka walka dobra ze złem. Mnóstwo ludzi oglądało. Bóg zesłał aniołów i nastąpiła jasność, wychowawca nam teksty napisał. Żal mi było, że takie krótkie to było. Przeżycie niesamowite. Dzieciaki podchodziły i robiły sobie ze mną zdjęcia. No nie wierzyłem, że jestem między ludźmi i nikt palcem nie wytyka, nie gardzi, nie boi się, wszyscy się cieszyli, kurczę, pomyślałem sobie, że nie jestem na straconej drodze, wychodzę i normalnie mogę iść do społeczeństwa. Miałem maskę na twarzy, rogi i czerwoną pelerynę, byłem przebrany za diabła.

Tekst ukazał się w „Dużym Formacie” w 2020 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Dzwonię do pani/pana z Aspen na Pacyfiku

Po oszustwach „na zwyżkę złota” i „na wnuczka” przyszły „na bitcoina”. W Warszawie naciągacze wrzucają już oferty piramid kryptowalutowych do skrzynek pocztowych.

PIOTR GŁUCHOWSKI

FOT. SHUTTERSTOCK

Kopalnia bitcoinów

8 stycznia 2021 roku kurs bitcoina (BTC) przebił po raz pierwszy psychologiczną granicę 150 tysięcy złotych za jedną cyfrową monetę. Tydzień później, o północy z 14 na 15 stycznia, znany policji, karany już 26-latek z Łowicza podjął próbę włamania do bitomatu – bankomatu, w którym można wymieniać kryptowalutę na złotówki i odwrotnie. W Polsce stoi ponad 40 takich maszyn. Kiedy w Łowiczu włączył się alarm chroniący urządzenie, sprawca zbiegł, ale został ujęty w tzw. pościgu bezpośrednim.

Gdy prokurator rejonowy nakładał na łowiczanina policyjny dozór, różne urzędy w Polsce prowadziły (i prowadzą nadal) co najmniej pięć postępowań w sprawie kradzieży i oszustw związanych z najpopularniejszą cyfrową monetą. Piramid bitcoinowych pojawiło się w ciągu ostatnich pięciu lat ponad tuzin. Tylko twórcy platformy tradingowej Aspen Holding (spółka z siedzibą w wyspiarskiej Republice Vanuatu w Oceanii) naciągnęli ponad 200 Polek i Polaków na ponad 5 milionów złotych. A nie był to największy przekręt w branży.

Kilkanaście tysięcy kopie

Wyobraź sobie, że w październiku 2015 roku (gdy władzę przejął PiS) zainwestowałeś/łaś po 10 tysięcy złotych w akcje Orlenu, w złoto i w bitcoiny. W trzeciej dekadzie lutego 2021 twoje akcje warte były 9 tysięcy z ogonkiem (spadek kursu z 64 na 60 złotych za sztukę w ciągu 6 lat). Twoje złoto – przeszło 16 tysięcy (cena kilograma podskoczyła w tym czasie z 36 do 58 tysięcy dol.). Twoje bitcoiny – prawie 1,5 miliona!

Bitcoin jest tworzony w komputerach przez programy rozwiązujące problemy matematyczne. Takich programów istnieją już dziesiątki. Produkcją i sprzedażą oprogramowania zajmował się m.in. Filip

Pawczyński, przedsiębiorca IT, dziś prezes Polskiego Stowarzyszenia Bitcoin (PSB).

– Zacząłem od pracy przy routerach, switchach i innych urządzeniach do kontroli ruchu w sieci, także tej domowej – opowiada. – Potem moja firma produkowała, sprowadzała i sprzedawała koparki bitcoinów w formie pendrive'ów, które po skonfigurowaniu z domowym komputerem zmieniały go w maszynę fedrującą. Teraz, gdy kopanie bitcoinów oznacza tonę sprzętu, umowę z elektrownią i tak dalej, rynek domowy zanika albo ogranicza się do łatwiejszych w wydobyciu kryptowalut – jak ethereum, w przypadku którego do fedrunku dalej można używać sprzętu domowego.

– A pan…

– Tworzę teraz oprogramowanie dla giełd i innych podmiotów obracających walutami cyfrowymi. Poza tym sam inwestuję. Pierwszego bitcoina kupiłem w 2012 roku za kilkanaście dolarów. Dziś chętnym do kopania mówię: bez potężnych środków na rozwój lepiej dać sobie spokój. Kupić na giełdzie trochę takiej kryptowaluty, trochę innej – i czekać. Kopanie to już biznes gigantów, korporacji, państw.

Wzrost wartości kryptowalut sprawił, że fedruje coraz więcej coraz większych firm, które angażują gigantyczną moc obliczeniową. Jedna z największych kopalni stoi na 13 tysiącach hektarów Rockdale Municipal Development District w Teksasie, jej właścicielem jest gigant technologiczny Bitmain z centralą w Pekinie, a cały ten interes zużywa na bieżąco 300 MW energii – tyle, co Poznań.

Pawczyński: – Już trzy lata temu sieć bitcoin była 12 tysięcy razy potężniejsza niż 500 największych superkomputerów świata, tych używanych przez NATO, Amazona czy AliExpress. Dziś ta przewaga dochodzi, jak sądzę, do 30 tysięcy razy.

W Polsce – zdaniem prezesa PSB – kryptowaluty kopie kilkanaście tysięcy osób, grup i firm. Handluje nimi – albo przynajmniej próbuje zarabiać na rosnącym kursie – kilkaset tysięcy. Między innymi znany Pawczyńskiemu twórca serwisu Bitfilar.pl funkcjonujący w środowisku krypto pod pseudonimem „Emeryt" oraz prawdziwy emeryt, 83-letni Janusz Rolicki, w PRL-u reporter, potem redaktor naczelny „Trybuny".

„Emeryt" od pięciu lat odkłada co miesiąc 10 procent średniej krajowej brutto i kupuje za to cztery główne kryptowaluty: bitcoina, litecoina (LTC), dogecoina (DOGE) i xcoina (DASH). W styczniu kupił m.in. 0,001157 BTC i 0,169 LTC – handel ułamkami jest konieczny, odkąd bitmonety zrobiły się droższe – za sztukę – niż nowe auta. „Od nowego roku 2021 płaca minimalna w Polsce wzrasta o 200 PLN, więc i ja zwiększam moje wpłaty do 280 PLN miesięcznie – pisze na swej stronie „Emeryt". I podsumowuje: – Dotychczas zainwestowałem 13 890 zł. Z początkiem 2021 wartość moich oszczędności wynosiła 188 626 zł, czyli stopa zwrotu to 1258 procent". Na wieloletniej lokacie w polskim banku – dla przypomnienia – ta stopa wynosi maksymalnie 0,5 proc. rocznie.

A co zrobił redaktor Rolicki? Zaufał wyświetlającej się w komputerze reklamie, która zachęcała do „inwestowania wedle specjalnych algorytmów zwalniających ze znawstwa giełdy", i wpłacił 1000 euro firmie dilerskiej Nekstra. Co było dalej – opisał w artykule spowiedzi „Bitcoin: wirtualny zysk, realne groźby"

(„Wyborcza”, 6 lutego 2021). Ujmując najkrócej: wtopił. Jeszcze do niego wrócimy.

Pacjentka z dyskiem

Robert Wojciechowski, radny Ursynowa, a zarazem prezes Izby Gospodarczej Blockchain i Nowych Technologii (IGBiNT), uważa, że największe zarobki na BTC dopiero się zaczynają. – Niech pan tego nie traktuje jako akwizycji, ale w tym roku należy się spodziewać czterokrotnej zwyżki, czyli ceny powyżej 150 tysięcy dolarów za bitcoin.

Filip Pawczyński: – Trwającą od jesieni 2020 roku hossę wspomagają ostatnio giganci starej ekonomii. Wielkie fundusze i banki inwestycyjne. Zwrócili uwagę na kryptowaluty, bo tutaj jest płynność. Świat finansów zarabia na zmianach wartości, a w krypto dużo się dzieje przez siedem dni w tygodniu, 24 godziny na dobę.

Pomiędzy moją pierwszą a ostatnią rozmową z prezesem PSB (7 i 15 lutego 2021) kurs bitcoina wzrósł o ponad 20 procent – z 38 na 49 tysięcy dol. W chwili oddawania tej książki do druku (listopad 2021) wynosi 60 tys.

Prócz wejścia największych graczy pozytywny wpływ na ten rynek ma także rosnąca przydatność cyfrowego pieniądza: w Berlinie miejsc, które przyjmują krypto, jest już ponad 100, w Arnhem w Holandii – 150, co czyni to średniej wielkości miasto pierwszym w Europie miejscem, gdzie można ubrać się, zjeść, wyleczyć zęby itd., używając jedynie bitmonet. W Warszawie i okolicach (wg serwisu Bitcan.pl) hula ponad pół setki knajp, lokali usługowych i sklepów honorujących bitcoiny. Cyfrową walutą zapłacić można m.in. w Pyszne.pl, Bobby Burger, w Kawiarni Hoża 51 lub w outlecie

Xiaomi. W Krakowie takich punktów jest 30, w Trójmieście – 20, w Poznaniu – kilkanaście, w tym gabinet ginekologiczny Adama Mościckiego przy ulicy ks. Ściegiennego.

Doktor tłumaczy mi, jak to działa: – Pacjentka może przynieść bitcoiny na przenośnym dysku albo przelać ze swojego konta w telefonie na moje za pomocą stosownej aplikacji, jak Revolut czy BitBay.

– Często pojawiają się takie pacjentki?

– Rzadko. Ale zdecydowałem się ogłosić, że przyjmuję w krypto, bo sam się tym bawię prócz pracy. Trochę inwestuję. Jak dotąd nie straciłem.

W Łowiczu i San Francisco

Aby wypłacić złotówki z bitomatu – w Łowiczu czy San Francisco – trzeba mieć konto kryptowalutowe (w zagranicznym banku lub na rachunku inwestycyjnym jednej z licznych giełd-kantorów). Maszyna przeliczy bitmonety (w praktyce ich ułamki) na peeleny i wypluje banknoty.

– Ruch przy tych automatach nie jest wielki, bo w praktyce każdy, kto się zajmuje krypto, ma konto w sieci, czyli lepsze możliwości wymiany cyfrowych pieniędzy na tradycyjne – mówi Pawczyński. – Firmy stawiające bitomaty traktują je głównie jako promocję kryptowalut w terenie. Budują rynek na przyszłość.

Dlatego bitomaty stoją w eleganckich miejscach – galeriach handlowych, hotelowych lobbies, przy deptakach w centrach miast (jak w Łowiczu). Nie uświadczysz ich na bocznych ścianach Biedronek. Mają futurystyczne kształty i wielkie ekrany, czasem

zdobi je neon z logo BTC albo (jak w Galerii Łódzkiej) wyrzeźbiony w tworzywie symbol wirtualnej monety wielkości człowieka. Prezes PSB prosi jednak, aby nie używać słowa „wirtualna". Wirtualne są talary wykopywane przez krasnoludy w grach komputerowych. Bitcoin, litecoin i inne kryptopieniądze są „cyfrowe". Zarówno gdy leżą na rachunku (adresie), jak wtedy, gdy krążą, z punktu widzenia laika nie różnią się swoją cyfrowością od złotówek, dolarów i euro. Brak im jednak formy kruszcowo-papierowej, nie mają też centralnego emitenta – dawcy zaufania. Emitentem bitcoina może być każdy, a jego gwarantem – światowa społeczność krypto i stworzony w latach 2008-09 program (patrz ramka), który czuwa nad ekonomiczną wartością i uczciwością wyceny.

Seria tajemniczych zdarzeń

– Bitcoin nieprzypadkowo powstał zaraz po wielkim kryzysie bankowym – mówi radny Wojciechowski. – To była odpowiedź na brudne praktyki finansistów. Rynek krypto miał być inny: uczciwy i transparentny.

W Polsce stało się inaczej. Najpierw, w 2016 roku, znikła z sieci – razem z pieniędzmi klientów – działająca przez pięć lat giełda Bitcurex. Śledztwo w jej sprawie do dzisiaj prowadzi prokuratura w Łodzi. Klienci stracili ponad 11 milionów w bitcoinach oraz kilka milionów złotych. Wśród oszukanych znalazł się m.in. Lech Wilczyński, współtwórca InPay, pierwszego polskiego procesora płatności cyfrowym pieniądzem. Oraz Marek z Warszawy, inżynier informatyk i magister ekonomii. W chwili zamknięcia łódzkiego kantoru miał już zebrane bitcoiny wartości 250 tysięcy złotych. Jak pisze na forum poszkodowanych – wszystkie pieniądze życia: „...w dodatku pogrążyłem Mamę, której oszczędności też włożyłem w giełdę. Wpierw był szok, potem zaangażowałem prywatnego

detektywa, ale ten nic nie zdziałał. Ustalił tyle, że spółka Digital Future, właściciel giełdy, padła rzekomo ofiarą ataku hakerskiego i sama o nim zawiadomiła organy. Teraz już diabeł nie dojdzie: kto i co? A tak chwalili się zabezpieczeniami, które mają ochronić środki klientów przed ewentualnym atakiem…".

W 2018 roku padła giełda Coinroom. Użytkownicy dostali krótki mail: to rozwiązanie umowy, masz jeden dzień na wypłatę zgromadzonych środków. Niektórzy zdążyli odzyskać choć część. Większość straciła wszystko.

Rok później zawalił się największy kryptokantor: Bitmarket. Zostawił na lodzie kilka tysięcy graczy. Znikło około 200 milionów złotych. Jeden ze współwłaścicieli, Tobiasz N., popełnił samobójstwo. Drugi, Marcin A., ma być sądzony. Poszkodowani założyli kilka forów (na FB, na Kryptoporadnik.pl i innych stronach), nadal wymieniają się informacjami o postępach w sprawie. Wspominają: „[Coś zazgrzytało] już wtedy, gdy do użytkowników wysłano informację o konieczności powtórnego potwierdzenia tożsamości. To znana z wcześniejszych afer praktyka, aby odciąć użytkownika od pieniędzy [z powodów formalnych], gdy następuje utrata płynności giełdy" (Miłosz).

„Kiedy zaśmierdziało, zleciłem wypłatę 60 BTC. Nie przychodziła czas dłuższy. Skontaktowałem się z działem pomocy. Odpisano mi, że chce ze mną porozmawiać sam prezes giełdy – pan Marcin. Opowiedział mi o wielkich planach Bitmarketu i o tym, że potrzebują bitcoinów na wdrożenie nowego produktu. Obiecywał, że jeśli zostawię pieniądze, to będzie mi co miesiąc księgował 2,5 procent [więcej]. Zgodziłem się. Razem z doksięgowanymi odsetkami miałem w Bitmarkecie ponad 121 BTC. Dziś pan Marcin

nie odbiera telefonu i nie odpisuje na wiadomości. Ode mnie też nie odebrał, ale znalazłem w sieci jego oświadczenie. Wynika zeń, że wpierw hakerzy wykradli z kont klientów 600 BTC (dzisiaj to ponad 100 milionów złotych), potem było już tylko gorzej" (Jerzy).

A oto fragment oświadczenia Marcina A.: „Dziesiątki rozmów z inwestorami, spotkań i pomysłów rozwoju nie przyniosły poprawy sytuacji. Galopujący wzrost kursu kryptowalut [zwiększał manko w kasie], zmuszając niejednokrotnie do podejmowania niekorzystnych działań w celu utrzymania płynności. Do ostatnich dni żyłem nadzieją, że uda się uniknąć tej katastrofy – dla setek Klientów i mojej osobistej. Jestem na skraju wytrzymałości fizycznej i emocjonalnej. Zaszczuty i ścigany przez poszkodowanych Klientów mogę tylko prosić o wybaczenie, cierpliwość i prawo do obrony. Nie byłem i nie jestem oszustem".

„Nieprawda! Giełda na 100 proc. nie była ofiarą hakerskiego ataku ani konfliktu wewnętrznego. Była to akcja planowana od wielu miesięcy przez kilku panów z Marcinem i Tobiaszem na czele" – pisze na forum Magda. Jej podejrzenia potwierdza Dariusz: „Namierzyliśmy adresy, na których przechowywane były środki z giełdy. Można się do nich dostać tylko, jeśli ma się klucze prywatne. Takie klucze mają prezesi giełdy, więc niemożliwe jest, aby te pieniądze ukradła, jak oni twierdzą, jakaś osoba z zewnątrz".

Śledztwo prokuratury w Olsztynie trwa.

Możesz wspierać terroryzm

Po trzech spektakularnych upadkach i kilku mniejszych plajtach największym graczem na polskim rynku wymiany kryptowalut stał się były kopacz bitconów Sylwester Suszek (syn śląskiego górnika,

który zaczynał fedrunek w przydomowym garażu) i jego platforma BitBay. Ale i on wpadł w kłopoty. Gdy w 2017 roku obrót kantoru Suszka przekroczył 1,5 miliarda złotych i przerósł GPW w Warszawie, Ministerstwo Finansów postanowiło opodatkować transakcje wymiany, a ponieważ BitBay zwlekał z przekazaniem danych o klientach, Komisja Nadzoru Finansowego umieściła giełdę na liście ostrzeżeń publicznych, jak kiedyś Amber Gold. Dodatkowo Narodowy Bank Polski wszczął kampanię zniechęcającą do inwestowania w kryptowaluty. Na jednym z filmów wciąż dostępnych na YouTubie bohater inwestuje w BTC, kupuje lamborghini i ciuchy od Gucciego, a potem, po domniemanym spadku kursu, krzyczy: „Straciłem cały hajs!". Lektor zaś informuje: „Kupując kryptowaluty, możesz nieświadomie uczestniczyć w praniu brudnych pieniędzy lub finansowaniu terroryzmu". W takiej atmosferze banki wypowiedziały spółce Suszka umowy na prowadzenie rachunków. Przedsiębiorca przeniósł biznes na Maltę, skąd BitBay działa do dziś. Ostatnio firma otworzyła biura w Indiach i w Holandii. Chwali się 200 pracownikami, 800 tysiącami klientów i obrotami rocznymi do pół miliona BTC.

– To, co się stało z Bitmarketem, Bitcurexem czy wymuszona emigracja BitBaya, nie jest winą bitcoina – mówi Dawid Muszyński, założyciel serwisu Bithub.pl.

– Ludzie w Polsce okradają banki i nie winimy przecież złotówek – wtóruje Łukasz Nowacki, współautor książki „Kryptowaluty. Aspekty prawne, podatkowe i księgowe". Jego zdaniem oszuści próbują wykorzystać hossę – tak jak boom na cebulki tulipanów wyzyskali XVII-wieczni spekulanci z dzisiejszej Holandii. Tak zwani sprzedawcy wiatru wystawiali na handel bulwy, zanim jeszcze wyrosły. Podobnie run na złoto zrodził Amber Gold. Jeżeli zatem

klikasz, jak redaktor Rolicki, reklamę z długonogą dziewczyną, która wyciąga zakupy z ferrari i mówi, że była kasjerką w Biedronce, lecz odkryła sposób na łatwy i bezpieczny zarobek, jesteś na dobrej drodze, by nadziać się na nowy okołobitcoinowy, śmierdzący proceder.

Daj mi swój ekran

Wydział zamiejscowy Prokuratury Krajowej w Rzeszowie prowadzi śledztwo „w sprawie doprowadzenia szeregu obywateli Polski do niekorzystnego rozporządzenia mieniem" przy inwestowaniu za pośrednictwem serwisu internetowego aspenholding.com.

Jak to działało? Nieustaleni sprawcy publikowali (i szerowali odpłatnie, m.in. na Facebooku) wywiady-reklamy z polskimi aktorami, celebrytami, sportowcami, dziennikarzami telewizyjnymi. Zdjęcia były kradzione z sieci, a teksty rzekomych rozmów, w których znani i lubiani zachęcali, by za ich przykładem inwestować w kryptowalutę – zmyślone. Częścią wywiadu-reklamy był prawdziwy wykres kursu BTC (działająca na wyobraźnię tzw. krzywa hokejowa) oraz wirtualny zegar odliczający sekundy, jakie pozostały czytającemu reklamowy wywiad na podjęcie decyzji („UWAGA: liczba uczestników funduszu Aspen Holding jest ograniczona!"). Szczęśliwsi z tych, którzy uwierzyli, stracili jedynie po 250 dolarów wpisowego. Mniej szczęśliwi przekazali holdingowi oszczędności życia. Najwięksi pechowcy zaciągnęli pod dyktando dzwoniących do nich „konsultantów z Aspen" wysoko oprocentowane krótkoterminowe kredyty bankowe, które w całości przeznaczyli na superinwestycję w fundusz rzekomo gromadzący dla nich bitcoiny – mniej więcej tak, jak Amber Gold gromadziło złoto.

Śledztwo w Rzeszowie trwa już drugi rok, na razie wiadomo tyle, że do ofiar dzwoniono z różnych krajów, zaś sam Aspen Holding należał do spółki Next Trade Ltd (NTL) zarejestrowanej w Oceanii, ponad 3 tysiące kilometrów od Wielkiej Rafy Koralowej.

– W każdym wypadku przedstawiciele działający z ramienia firmy NTL instruowali, jak zainstalować na komputerze program o nazwie AnyDesk umożliwiający zdalną obsługę ekranu komputera, przez co uzyskiwali dostęp do zasobów pamięci urządzeń oraz rachunków bankowych pokrzywdzonych – wyjaśnia Ewa Bialik, rzeczniczka Prokuratury Krajowej. – Następnie wskutek socjotechnicznego werbunku pokrzywdzonych sprawcy transferowali z ich rachunków bankowych środki pieniężne na zewnętrzne adresy licznych portfeli bitcoin.

Czyli do własnych kieszeni.

Co Stoch powiedział Wojewódzkiemu

Next Trade Ltd już nie ma, ale „socjotechniczny werbunek" z udziałem programu AnyDesk trwa. Janusz Rolicki wyznaje: „1 września ub. roku poszedłem za reklamą i w specjalnym formularzu wpisałem swoje dane. Ledwie skończyłem, zadzwonił telefon i jakiś pan łamaną polszczyzną, bełkocząc nazwisko, przedstawił się jako reprezentant firmy dilerskiej Nekstra. Trzeba przyznać, że starał się być ujmujący. Prowadzony za rękę miałem przesłać kwotę na wskazane mi konto: tysiąc euro. Po wpłaceniu pieniędzy telefoniczny cicerone, lekko rozluźniony, objaśnił, że na tym kończą się nasze kontakty. Zadzwonił następny przewodnik, mój doradca inwestycyjny (...). »Panie Janusz – powiedział, bo ani on, ani koledzy nie używali innych przypadków, tylko mianownika. – W ciągu dwóch miesięcy gwarantuję (...) zarobi pan dziesięć tysięcy«.

Aby było to w pełni plastyczne, wpisał na mej stronie internetowej tę sumę. Czynił tak dzięki urządzeniu AnyDesk. Jego zasady nie rozumiałem, ale pozwalało mu zaglądać na mój ekran. Na koniec uruchomił trzy zlecenia i stałem się pełnotłustym graczem". Potem kryptozasoby byłego naczelnego „Trybuny" wzrosły do 1370 euro, a następnie zaskakująco (wobec hossy na kryptogiełdach) spadły do 700. Zaś próby wypłacenia pieniędzy okazały się nieskuteczne.

– Firmy takie jak NTL w ogóle nie kupują klientom bitcoinów – mówi nieoficjalnie policjant z rzeszowskiej komendy wojewódzkiej. – To zresztą nie tyle firmy, ile grupy osób. Oczywiście nikt z nich nigdy nie był na Nowych Hebrydach, skąd rzekomo działają. Nie mają tam nawet skrzynki pocztowej. Ich rodzinne strony to Kiszyniów albo Erywań. Wcześniej handlowali środkami na potencję lub podszywali się pod policję, by nakładać kary na odwiedzających strony z ostrą pornografią. Czasami kazali płacić w kryptowalutach, bo dają anonimowość. Potem weszli w bitcoiny, bo można zarobić więcej niż na lekach z Indii.

Miejsce NTL zajęła między innymi „platforma tradingowa" Bitcoins Era (BE). Reklamuje ją witryna Defsched.cf do złudzenia przypominająca stronę Gazeta.pl. Jest tu logo portalu internetowego Agory, jest identyczny layout, są linki do podstron „Nauka", „Edukacja" itd. Fałszywa „Gazeta" informuje ustami mistrza olimpijskiego Kamila Stocha, który uśmiecha się ze zdjęcia obok, że skoczek „odkrył tajny sposób zarabiania na boku" i podzielił się sekretami owego sposobu w programie Kuby Wojewódzkiego. Dalsze informacje z fałszywej „Gazety" cytuję po naniesieniu poprawek stylistycznych i ortograficznych: „W zeszłym tygodniu Kamil ujawnił w »Kuba Wojewódzki Show« swój nowy projekt. Jego zdaniem program może zmienić każdą osobę w milionera w

ciągu 3-4 miesięcy. Stoch przekonuje Polaków do skorzystania z tej wspaniałej okazji, zanim wielkie banki w końcu jej zakażą… i rzeczywiście – kilka minut po zakończeniu wywiadu Bank PEKAO zadzwonił z żądaniem wstrzymania publikacji programu, ale było już za późno. [Stoch] podzielił się wskazówkami umożliwiającymi zdobycie fortuny i ujawnił wielką tajemnicę: »automatyczny system tradingowy to największa okazja, jaką widziałem w całym swoim życiu«".

Filmy promujące BE można też znaleźć na YouTubie. „Jesteśmy grupą przeznaczoną wyłącznie dla osób, które skorzystały z szalonych zwrotów, jakie oferuje bitcoin, i po cichu zgromadziły fortunę. Członkowie korzystają co miesiąc z miejsc wypoczynkowych na całym świecie, jednocześnie zarabiając pieniądze, pracując kilka minut dziennie na swoich laptopach". Jacy to członkowie? Na przykład Robert Lewandowski i Zygmunt Solorz-Żak. Obaj uśmiechają się z reklamy z logo „Pulsu Biznesu" i „Newsweeka", zaś tekst głosi: „Eksperci są pełni podziwu dla Roberta Lewandowskiego i jego ostatniej inwestycji, która wywołała przerażenie wśród dużych banków". Wybitny piłkarz odkrył „lukę fortuny", której istnienie „ujawnił w telewizji", po czym… tak, jak myślicie… „bank PEKAO zadzwonił z żądaniem wstrzymania publikacji programu". Ten wątek przejawia się w dziesiątkach reklam: bankierzy „są wściekli", „przerażeni", „nie mogą się pogodzić" z tym, że „ludzie tyle zarabiają inwestując bez pośrednictwa banków". LOL.

A rząd nic nie robi

Bitcoins Era jest patentem na tyle nowym, że (z tego, co ustaliłem w prokuraturze) żadne zbiorcze śledztwo w tej sprawie jeszcze się nie toczy. Za to trwa postępowanie Urzędu Ochrony Konkurencji i

Konsumentów, który już dostał skargi. UOKiK pod koniec stycznia br. ukarał ponad 400-tysięczną grzywną spółkę Investprovider należącą do youtubera i mówcy motywacyjnego Damiana Ż. Młody „entuzjasta wolności finansowej i przychodów pasywnych" (tak się przedstawia), przemawiając do widzów z egzotycznych plaż, promował platformy tradingowe i wspólnoty inwestorskie o nazwach FutureNet, Future AdPro i NetLeaders. Wszystkie okazały się piramidami.

– Dlaczego mimo hossy, która pozwala zarabiać, mnożą się przekręty? – pytam ludzi z krypto.

Łukasz Nowacki: – Nowe technologie w finansach przyciągają oszustów. Gdy pojawiły się przelewy na telefon, kredyty przez internet i inne udogodnienia, od razu brali się za to przestępcy. Z czasem powstawały zabezpieczenia, tak będzie i z kryptowalutami.

Robert Wojciechowski: – Oszuści dzwonią teraz do posiadaczy bitcoinów i przedstawiając się jako urzędnicy skarbowi, żądają opłacenia zaległego podatku od zysków. Ręce mi opadają, gdy muszę się tłumaczyć ze swojej działalności, zapewniać, że nie handluję dziećmi ani organami. Środowisko chce transparentności i ścisłej kontroli, ale od 2014 roku nie możemy się doprosić rządowych regulacji. Choćby takiej, by do otwarcia giełdy konieczna była licencja maklerska. Teraz to robi każdy. Naciągacze są tak bezczelni, że w Warszawie wrzucają do skrzynek pocztowych oferty piramid kryptowalutowych. Tych wszystkich FutureNetów, NetLeadersów. Ślemy to na policję, wysłaliśmy kilkanaście zawiadomień do KNF. W efekcie część z nas otrzymała groźby. A rząd nic nie robi.

Filip Pawczyński: – W czasach gdy Ministerstwem Cyfryzacji kierowała pani Anna Streżyńska, była jakaś współpraca rządu ze środowiskiem krypto. Po jej odejściu to zamarzło. Ministerstwo Finansów, UOKiK, KNF, NBP, GIODO… oni wszyscy przyjęli opcje: nie regulować, tylko opodatkowywać, a najlepiej całkiem ciąć ten rynek. Czyli postępują odwrotnie niż rządy takich państw, jak Szwajcaria, Niemcy, Korea, Japonia, Estonia...

W tej chwili podatek od zysków ze sprzedaży kryptowalut (PIT-38) wynosi w Polsce 19 procent od przychodu. Bitdochodów nie można łączyć z dochodami (lub stratami) wynikłymi ze sprzedaży akcji, udziałów czy praw finansowych.

Zimny portfel

Czemu wymienione przez Pawczyńskiego instytucje nie chcą regulować kryptorynku? W KNF pokazują mi wydany 21 stycznia br. 12-stronicowy dokument „Ostrzeżenie Urzędu o ryzykach związanych z nabywaniem oraz z obrotem kryptoaktywami, w tym walutami wirtualnymi". Zaczyna się od umycia rąk: „Rynek kryptoaktywów nie posiada szczególnej regulacji, ponieważ nie jest to część rynku finansowego w rozumieniu przepisów Ustawy o nadzorze nad rynkiem finansowym". Komisja ostrzega jednak: „Ponieważ jest to rynek nieregulowany, brak systemowych rozwiązań zapewniających bezpieczeństwo inwestorów oraz ułatwiających im ewentualne dochodzenie roszczeń od nierzetelnych przedsiębiorców…"

No dobrze, ale czy nie można po prostu wprowadzić regulacji? Wysyłam do KNF pytanie zasadnicze: „Skoro państwo opodatkowuje transakcje i zyski z krypto – to dlaczego nie reguluje tego rynku, by zainteresowani czuli się bezpiecznie?". Czekając na

odpowiedź, rozmawiam z Robertem Wojciechowskim, prezesem IGBiNT. Ubolewa: – Przy braku pomocy ze strony instytucji inwestorzy muszą się zabezpieczać sami. Powtarzam więc do znudzenia: nie trzyma się bitcoinów na giełdach, kupujemy i trzymamy w laptopie albo w telefonie. Najlepiej na coldwalletach.

W sieci można kupić „zimne portfele" stworzone do przechowywania bitmonet. Piterek filrmy Ledger kosztuje 300 złotych, wygląda jak duży pendrive.

Pawczyński: – Krypto w Polsce przechodzi burzliwy okres dojrzewania. Z czasem ludzie pojmą, co to jest, a atmosfera zmieni się na lepszą.

Hubert Kozieł z serwisu Parkiet.com: – Już się zmienia. Kryptopieniądz staje się akceptowany przez finansowy mainstream. Amerykańskie Biuro Kontrolera Waluty ogłosiło, że banki mogą trzymać na kontach bitcoiny klientów. W październiku zeszłego roku PayPal wprowadził usługę pozwalającą na kupowanie, trzymanie i sprzedawanie bitmonet.

Pawczyński: – Jeśli rząd dalej będzie chował głowę w piasek, to rynek ureguluje Unia. Zrobi to, dbając głównie o europejskie, a nie polskie potrzeby.

To już się dzieje. Jesienią Komisja Europejska ogłosiła pakiet legislacji dotyczących krypto. Biuro prasowe KE informuje: „Europa winna traktować kryptowaluty tak, jak każdy inny regulowany instrument finansowy, co niewątpliwie zapewni jasność prawną." Prace legislacyjne trwają. W lutym francuski urząd Autorité des Marchés Financiers (odpowiednik Komisji Nadzoru Finansowego)

zaproponował, aby organem odpowiedzialnym za nowy rynek był Europejski Urząd Nadzoru Giełd i Papierów Wartościowych ESMA.

Niedoszłemu rabusiowi z Łowicza za samo uruchomienie alarmu chroniącego bitomat grozi do 10 lat, bo jest recydywistą.

Entuzjasta wolności finansowej i przychodów pasywnych Damian Ż. nadal wrzuca do sieci filmy kręcone na plażach (ostatnio z Meksyku i Kalifornii).

Historia BTC

Ograniczoną podaż bitcoina – jedną z przyczyn ciągłego wzrostu jego ceny – zadekretował twórca tej waluty, tajemniczy Satoshi Nakamoto. W grudniu 2015 r. amerykańskie portale Wired i Gizmondo opublikowały efekty dziennikarskiego śledztwa, z którego wynika, że za tym nazwiskiem ukrywa się australijski przedsiębiorca inwestor z branży nowych technologii Craig Steven Wright. Nieusuwalny algorytm, który Nakamoto wbudował w swój system, sprawia, że całkowita liczba bitmonet krążących po świecie dąży do nieprzekraczalnej granicy 21 mln. Bitpieniędzy rodzi się coraz mniej, a kopie się je coraz trudniej. Podaż spadła o 50 proc. w ciągu czterech lat. Spowodowany tym szaleńczy wzrost wartości także został przewidziany. Bitcoiny dzielą się na 10 do potęgi ósmej jednostek transakcyjnych (23 lutego 2021 r. duża latte w londyńskim Starbucksie kosztuje 0,00011 BTC). Zakończenie emisji bitcoinów powinno nastąpić w 2140 r., przy czym 99 proc. zostanie „wykopane" do 2030 r. i nic tego nie zmieni.

Pierwszego bitcoinowego zakupu online (w maju 2010 r. w USA) dokonał programista Laszlo Haneycz. Zapłacił 10 tys. BTC za dwie pizze. Przy kursie z 23 lutego 2021 posiłek Haneycza okazuje się

warty grubo ponad miliard złotych, bo wartość jednej cyfrowej monety waha się między 45 tys. a 50 tys. dol. Zaś światowe kryzysy tylko pompują kurs. Bitcoiny rosną w siłę, gdy oficjalne systemy bankowe siadają. Tak było podczas kryzysu w Wenezueli, kryzysu cypryjskiego i ogólnoświatowej nerwówki na giełdach w 2018 r. – bitcoin skoczył wtedy z 1 tys. do 19 tys. dol. W trakcie drugiej fali pandemii kurs dotarł do 58 tys. dolarów i spadł. Ale gdy czytasz ten tekst, możliwe, że sześćdziesiątka już pękła.

Tekst ukazał się w „Dużym Formacie" w 2021 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Czasem słońce, czasem areszt

Jak Hindus oskarżony o wyłudzenie posagu znalazł się w polskim więzieniu.

ALEKSANDRA SZYŁŁO

FOT. SHUTTERSTOCK

Ceremonia zaślubin w Indiach to wielkie wydarzenie społeczne. Kiedy ojciec wydaje córkę za mąż, jest to uznawane za gest poświęcenia i nosi nazwę „Kanyadana", co oznacza „oddawanie dziewczyny"

Aresztowanie: 12 stycznia 2018 r. 48-letni Jatinder Singh Patti zostaje zatrzymany przez polską straż graniczną na warszawskim lotnisku Okęcie.

Gdyby na podstawie tej historii ktoś kiedyś kręcił film w Bollywood, ta scena byłaby zapewne czarno-biała. Podczas rutynowej kontroli paszportowej funkcjonariuszowi wyświetla się obok nazwiska Patti czerwona nota Interpolu: poszukiwany przez

policję indyjską za wyłudzenie od poszkodowanej Madhuliki Sharmy posagu: 300 tys. rupii w gotówce (ok. 3,3 tys. funtów brytyjskich), 400 tys. rupii w złocie, srebrze i diamentach (4,4 tys. funtów) oraz dodatkowo 200 tys. rupii (2,2 tys. funtów) na ceremonię zaślubin, a także za próbę wyłudzenia dalszych 50 tys. funtów brytyjskich. Domagając się posagu, oskarżony miał świeżo poślubioną „wyśmiewać, prześladować, torturować psychicznie i znęcać się nad nią fizycznie".

Przystojny Brytyjczyk hinduskiego pochodzenia, adwokat pracujący w renomowanej kancelarii w Londynie, zostaje odwieziony do aresztu na Białołęce. Kolega, do którego przyleciał na weekend, już nie zdąży go spotkać.

Obecnie Jat, jak mówi o nim rodzina, przebywa w areszcie piąty tydzień. Na razie bez ubrań na zmianę. Paczka z bielizną spakowana przez siostry z Londynu leży na podłodze w warszawskim biurze adwokatki zajmującej się jego sprawą. Na Białołęce Jat nie spotkał nikogo, kto mówiłby po angielsku na tyle dobrze, by wytłumaczyć mu, który talon wypełnić, by móc odebrać bieliznę. Adwokatka jedzie na widzenie po raz kolejny z paczką, ale nie może jej przekazać, bo formalności nie zostały dopełnione.

Madhulika

Listopad 2003 r. W filmie scena kolorowa. Trzydziestotrzyletni Jatinder leci na urlop do Indii. Jest już po rozwodzie z pierwszą żoną. Postanawia po raz pierwszy w życiu zobaczyć kraj, z którego pochodzi jego rodzina. Na wycieczkę zaprasza rodziców. Przyszli oni na świat już na emigracji, adwokat jest trzecim emigracyjnym pokoleniem. Urodził się, podobnie jak jego starsze siostry, w

Tanzanii. Jako roczne dziecko przeprowadził się z rodzicami do Londynu. Od zawsze ma jeden paszport – brytyjski.

Jatinder z rodzicami zwiedzają północne Indie. Są sikhami, a to tam, na północy, w stanie Pendżab, jest największe skupisko sikhów. W miejscowości Faridabad adwokat wypatruje pracującą w butiku w galerii handlowej Madhulikę.

Mama Jatindera nie każe się prosić dwa razy. Biorą z ojcem sprawy w swoje ręce. Mówią dziewczynie, by skontaktowała ich z rodzicami. Będzie aranżowany ślub.

Urlop Jatindera wkrótce się kończy i trzeba wracać do Londynu. Jednak zanim to nastąpi, obie rodziny zdążą jeszcze odwiedzić hinduistycznego kapłana, który na podstawie analizy astrologicznej orzeknie, co następuje: nie może być lepszej konstelacji. Madhulika i Jatinder skazani są na wspólne szczęście. Ślub koniecznie musi się odbyć 22 kwietnia, to najszczęśliwsza dla nich data.

Tina, starsza siostra: – Jat był złamany po pierwszym, nieudanym małżeństwie. Może myślał: „Skoro tamto nie wyszło, może taki tradycyjny związek, zaaranżowany z pomocą rodziców, przyniesie miłość".

Przez kolejne pięć miesięcy Madhulika i Jatinder się nie widują. On pracuje w Londynie, ona – w Faridabadzie. Wolny czas upływa im na Skypie i Facebooku.

Ślub

22 kwietnia 2004 r., Ghaziabad, rodzinne miasto Madhuliki. W filmie kolory są bardzo intensywne. Każdy, kto choć raz widział w

kinie hinduistyczne wesele, ten wie, o czym mowa. Kwiaty, czerwień, złoto. Choć pojawia się też pierwsza rysa.

Tina i Mona, siostry Jatindera: – Było ustalone, że ślub odbędzie się w obrzędzie sikhijskim. Ale rodzice Madhuliki przygotowali wesele w rytuale hindu, wedle swojej religii. Naszej rodzinie wydało się to bardzo dziwne, ale nie było już czasu nic zmieniać. Jatinder przyleciał do Indii dzień przed ślubem, wszystko działo się tak szybko!

I z datą coś jednak też okazało się nie tak. Akurat w kwietniu ojcu Jatindera lekarz zakazał długiego lotu samolotem ze względu na zaostrzającą się chorobę układu oddechowego. Jeden z synów Tiny znalazł się w szpitalu. A Mona bała się lecieć z powodu zaawansowanej ciąży.

Mona: – Zapytaliśmy rodziców Madhuliki, czy zgodzą się przesunąć ślub, żebyśmy wszyscy mogli przylecieć. Nie chcieli o tym słyszeć. Nalegali. Utrzymywali, że nie wolno lekceważyć przepowiedni kapłana, który wyraźnie podał datę. Ostatecznie więc ceremonia odbyła się, tak jak ustalono, 22 kwietnia. Z naszej strony z Londynu poza Jatem polecieli tylko matka oraz mój mąż i mąż Tiny. Na miejscu dołączyła część naszej rodziny, która mieszka w Indiach.

Okłamany

Miesiąc miodowy w eleganckim hotelu w Indiach jest tygodniem. Siostry Jatindera twierdzą, że wbrew przyjętym zwyczajom ich brat płaci i za ślub, i za wakacje.

Mona: – Dla nas wszystkich było oczywiste, że rodzina Madhuliki jest uboższa od naszej, i dlatego Jat bez namysłu płacił za wszystko,

co razem w Indiach robili. Świadczą o tym chociażby wysokie kwoty, jakie podejmował w tym czasie z konta.

Po tygodniu miodowym Jatinder wraca do Londynu i zgodnie z umową ma rozpocząć procedurę legalnego sprowadzenia świeżo poślubionej żony. Im dłużej jednak myśli o tym, co się ostatnio wydarzyło, tym więcej nabiera wątpliwości.

Dziś w celi na Białołęce odwiedzającym go pracownikom Biura Rzecznika Praw Obywatelskich tłumaczy to mniej więcej tak: – Zrozumiałem, że zostałem wielokrotnie okłamany. Madhulika miała być dziewicą – nie była. Podczas podróży poślubnej opowiedziała mi, że w przeszłości została wykorzystana. Do konsumpcji naszego związku w ogóle nie doszło. Miała mieć ukończone studia wyższe – nie miała. Przyznała, że związek małżeński ze mną ma wybawić jej rodzinę z kłopotów finansowych.

Ponoć on proponuje jej, żeby stosowała dietę, ponieważ jest pulchna – ona nie chce.

Ona klepie go po plecach w publicznym miejscu w sposób, który zdaniem jego matki nie przystoi dwudziestosiedmioletniej kobiecie.

On zastanawia się, jak to będzie w Londynie, skoro ona – wbrew wcześniejszym zapewnieniom – wcale nie chce szlifować angielskiego.

On ma coraz więcej wątpliwości, czy chce tego małżeństwa.

Ona przeciwnie – nie może się doczekać, kiedy przyleci do męża i zacznie nowe życie w Londynie. Niecierpliwi się, dlaczego formalności się przeciągają.

Po kilku miesiącach wahań Jatinder zamiast zaproszenia do Wielkiej Brytanii śle do Indii pozew rozwodowy.

Tina: – Rodzina Madhuliki zareagowała paniką. Nie stawili się na żadną rozprawę. Obrzucili Jata i nas wszystkich stekiem epitetów i oskarżeń. Jednocześnie cały czas ponaglali, byśmy sprowadzali Madhulikę do Londynu. Nie mogliśmy tego pojąć. Macie nas za tak złych ludzi, a jednocześnie chcecie przysłać nam swoją córkę?

Jest jeszcze jedna krępująca kwestia: Madhulika w chwili zawarcia małżeństwa miała dwadzieścia siedem lat. Zdaniem sióstr w Indiach to dużo i można byłoby zadać sobie pytanie, dlaczego kobieta w tym wieku jest ciągle wolna. (Po dwóch dniach Tina dzwoni jednak do mnie z prośbą, by ten argument wykreślić. Siostry czują, że z perspektywy Londynu jednak nie wypada wytykać pannie młodej wieku).

Ustawa antyposagowa

Rok po ślubie, w kwietniu 2005 r., ojciec Madhuliki składa oficjalne doniesienie na Jatindera. Oskarżony jest z artykułu 498a. Jest to słynny artykuł w indyjskim kodeksie karnym, część ustawy antyposagowej.

Posag, czyli darowizna na rzecz pana młodego ze strony rodziny panny młodej, to część wielowiekowej tradycji indyjskiej. Zwyczajowo składały się na niego pieniądze, biżuteria, ubrania i sprzęty gospodarstwa domowego. Jednak od 1961 r. jego płacenie jest nielegalne. Mimo to, jak przyznaje indyjski rząd, co roku tysiące kobiet giną – czy to z rąk świeżo upieczonego męża, czy jego rodziny – w sprawach związanych z wymuszaniem posagu. W 2015 r. były to 7634 kobiety.

Aby zapobiec procederowi wymuszania, w 1983 r. wprowadzono ustawę antyposagową. Według artykułu 498a małżonek, a także jego rodzina, jeśli są oskarżeni o wymuszanie, zostają niezwłocznie aresztowani. Przepis miał zapewnić bezpieczeństwo kobiecie. Czas pokazał jednak, że ustawa dała pole do poważnych nadużyć, o czym świadczą choćby liczby. Z niemal 200 tys. oskarżonych w 2015 r. (w tym ok. 50 tys. kobiet należących do rodzin pana młodego) sąd uznał za winnych jedynie 15 proc.

W 2017 r. sąd najwyższy Indii w orzeczeniu na ten temat zauważył, iż ustawa mająca chronić kobiety jest masowo wykorzystywana jako podstawowa „broń niezadowolonych żon". Sędziowie zalecili gruntowniejsze sprawdzanie oskarżeń na podstawie specjalnie sporządzonej dziewięciopunktowej listy, zanim dojdzie do aresztowania. Zwrócili też uwagę na absurdy: aresztowane bywają całe rodziny, łącznie z przywiązanymi do łóżka starcami oraz dziećmi. Najmłodsze dziecko aresztowane w związku ze sprawą posagową według doniesień hinduskich mediów miało dwa miesiące.

Ciotka w areszcie co roku

Od czasu aresztowania Mona i Tina już piąty raz przyleciały z Londynu na widzenie z bratem. Odbieram je z Okęcia.

Tina: – Nie mamy wątpliwości, że Jat robiłby dla nas to samo. Zarówno dla moich dzieci, jak i dla synów Tiny jest wzorem.

Mona: – Trzy lata temu odszedł nasz ojciec. Od jego śmierci Jatinder wziął matkę do siebie, opiekował się nią na co dzień. Matka zapadła na zdrowiu przez całą tę sprawę. Pracodawca mój i Tiny na razie bardzo idzie nam na rękę, możemy się zwalniać i latać do

Warszawy. Ale ta przychylność nie będzie przecież trwała w nieskończoność. Poza tym co tydzień zostawiamy własne rodziny. Właściciel kancelarii, w której pracował Jat, też bardzo pomaga. Trzyma jego miejsce pracy, szykuje wszelkie potrzebne dokumenty, zwłaszcza te poświadczające sytuację finansową brata. Ale bardzo boimy się o przyszłość. Wszystkim cierpliwość kiedyś się kończy.

Siostry tłumaczą, że od czternastu lat ciągną się targi z Madhuliką. Z jednej strony ani ona, ani nikt z jej rodziny nie stawia się na żadne posiedzenie rozwodowe, unikają też odbierania korespondencji rozwodowej. Z drugiej – ojciec dziewczyny ponoć przysyła żądania coraz to wyższych kwot, które miałyby zamknąć kwestię polubownie. Na zmianę z żądaniem przyjęcia Madhuliki w Londynie. Ostatnia propozycja teścia miała brzmieć „100 tys. funtów brytyjskich odszkodowania".

Mona obawia się: – Jeśli teść dowie się o aresztowaniu Jata, może zażądać znacznie więcej. Z Madhuliką nie mamy kontaktu od dawna. Z jej ojcem – wyłącznie przez prawników.

Według sióstr Jatinder z kolei nie otrzymywał pism sądowych w toczącej się przeciw niemu sprawie karnej, choć adres w Londynie ma ten sam od niemal dwudziestu lat.

Z całej rodziny sprawę najlepiej poznała ciotka Jata mieszkająca w Indiach. Od czternastu lat raz do roku przyjeżdża po nią radiowozem policja i aresztuje w związku z posagiem. Kobieta za każdym razem wychodzi za kaucją; siostry twierdzą, że to Jat wysyła pieniądze. Od kilku lat ciotka, wściekła, przestała się do brytyjskiej części rodziny odzywać.

Adwokat nie śpi całą noc

Mecenas Karolina Dubowska, adwokatka reprezentująca Jatindera Pattiego przed polskim sądem: – Mojemu klientowi grożą lata więzienia i ekstradycja do Indii. Warunki w indyjskich więzieniach bywają dalekie od naszych standardów. Moim zdaniem w ogóle nie powinno dojść do tego aresztowania. Strona indyjska zwlekała siedem dni z nadesłaniem pierwszych dokumentów, choć z umowy ekstradycyjnej wynika, że powinna je dosłać niezwłocznie. Tymczasem polski sąd wydał nakaz aresztowania na podstawie polskiego kodeksu postępowania karnego, który jest podrzędny w prawie wobec umowy ekstradycyjnej. Hindusi dosłali dokumenty parę godzin przed upływem tego tygodnia, kiedy byliśmy pewni, że pan Patti już wychodzi.

W nocy z 18 na 19 stycznia 2018 r. nie spałam, bo czekałam na informację z sądu o posiedzeniu w sprawie przedłużenia aresztu. Ostatecznie dostałam telefon o dziewiątej rano, że posiedzenie będzie za godzinę. Sąd miał niecałe czterdzieści minut na przetłumaczenie pliku dokumentów z angielskiego i zapoznanie się z nimi. Nie wszystkie dokumenty zostały przed rozprawą przetłumaczone. Choć to wszystko odbywało się w takim pośpiechu, mój klient dostał jednak kolejne sześćdziesiąt dni aresztu.

Zawsze w sprawach ekstradycyjnych podstawą do zatrzymania i deportacji jest podwójna karalność: czyn ma być uznany za przestępstwo zarówno w kraju wysyłającym list gończy, jak i w kraju zatrzymania. Jest poważna wątpliwość, czy w tym wypadku ten warunek jest spełniony. Bo gdyby pana Pattiego nie deportowano do Indii, tylko postanowiono sądzić w Polsce, to jestem ciekawa: za jakie konkretnie przestępstwo?

Normalne oszustwo?

Prokurator Łukasz Łapczyński, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Warszawie, twierdzi, że w związku z notą Interpolu zatrzymanie Brytyjczyka w areszcie było obowiązkiem Polski: – Zgodnie z kodeksem postępowania karnego oraz umową z Republiką Indii o ekstradycji obowiązkiem strony polskiej jest podjęcie wszelkich niezbędnych środków mających na celu realizację zobowiązań w zakresie zapobieżenia ucieczki osoby ściganej do czasu wpływu dokumentów ekstradycyjnych. To umożliwia sądowi dalsze procedowanie.

Według prokuratora Łapczyńskiego przedłużenie aresztu do sześćdziesięciu dni nastąpiło też na wniosek strony indyjskiej, a polska prokuratura musiała to uwzględnić, bo „taka jest procedura" wynikająca z umowy międzynarodowej.

Do kwestii podwójnej karalności prok. Łapczyński odnosi się następująco: – W dokumentach indyjskich opis zachowań oskarżonego wskazuje, iż po pominięciu niektórych znamion charakterystycznych dla prawodawstwa Indii (kwestie posagu) zachowania te mogą stanowić czyny kwalifikowane według prawa polskiego jako m.in. oszustwa w stosunku do mienia znacznej wartości. W ten sposób, jako oszustwa, określane są też w przesłanych do tej pory przez Indie dokumentach. Zdaniem prokuratora „przy analizie dokumentów nie stwierdzono przesłanek określonych w art. 604 par. 1 kpk, które przemawiałyby za niedopuszczalnością ekstradycji".

Najlepsi na świecie

Hanna Machińska, zastępczyni rzecznika praw obywatelskich: – Nie próbuję orzekać o winie czy niewinności pana Pattiego. O tym

zdecyduje sąd. Nie umiałabym też i nie jest moją rolą ocenianie relacji małżeńskich i osobistych tych państwa. Zajęliśmy się tą sprawą, ponieważ zakres nadużyć indyjskiej ustawy antyposagowej to społeczny problem tego kraju na niebywałą skalę. W tej chwili w aresztach z powodu takich oskarżeń przebywa w Indiach ponad 2,7 mln osób, w tym kobiety, dzieci i starcy.

Zajmujemy się tą sprawą też dlatego, że przy każdym aresztowanym cudzoziemca należy sprawdzić, czy nie dochodzi do okrutnego traktowania, chociażby przez współwięźniów. Wiadomo: inny kolor skóry, nieznajomość języka, nieznajomość naszego kodu kulturowego... Ale pan Patti twierdzi, że nic złego w areszcie się nie dzieje. Współwięźniowie akceptują go, choć języka wspólnego nie mają. Trudno jest tygodniami nie mieć się do kogo odezwać, zapytać o podstawowe sprawy. Zaniosłam do więziennej biblioteki „New York Timesa", „The Economist" i Kapuścińskiego w wersji angielskiej – będzie mógł je wypożyczyć. Dowiedziałam się, że jest w areszcie na specjalnej diecie, ze względu na cukrzycę, na którą choruje od lat.

Jatinder Patti od 2004 r. wielokrotnie podróżował po świecie. Był w Stanach Zjednoczonych, Hiszpanii, Portugalii, Grecji, Niemczech, Afryce Północnej... Jak to możliwe, że nigdzie go nie zatrzymano, dopiero u nas? Czy ta czerwona nota Interpolu nikomu się wcześniej nie wyświetliła?

Major Krzysztof Grzech, rzecznik prasowy Nadwiślańskiego Oddziału Straży Granicznej: „Wszyscy podróżni przylatujący do Polski z poza obszaru Schengen poddawani są kontroli granicznej. Takiej kontroli został poddany wspomniany przez panią obywatel Wielkiej Brytanii. Jeżeli chodzi o wjazd pana Pattiego na teren

krajów, które pani wymieniła, właściwe do udzielenia odpowiedzi są miejscowe służby graniczne".

To samo pytanie zadawała też mecenas Dubowska. Dowiedziała się, że mamy straż graniczną... jedną z najskuteczniejszych na świecie.

Tekst ukazał się w „Dużym Formacie" w 2018 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

6540 nocy Tomka Komendy

Zasypiałem ostatni i budziłem się pierwszy. Cały czas musiałem być czujny, wystarczyłaby chwila, żeby przejechali mi żyletką po gardle.

EWA WILCZYŃSKA

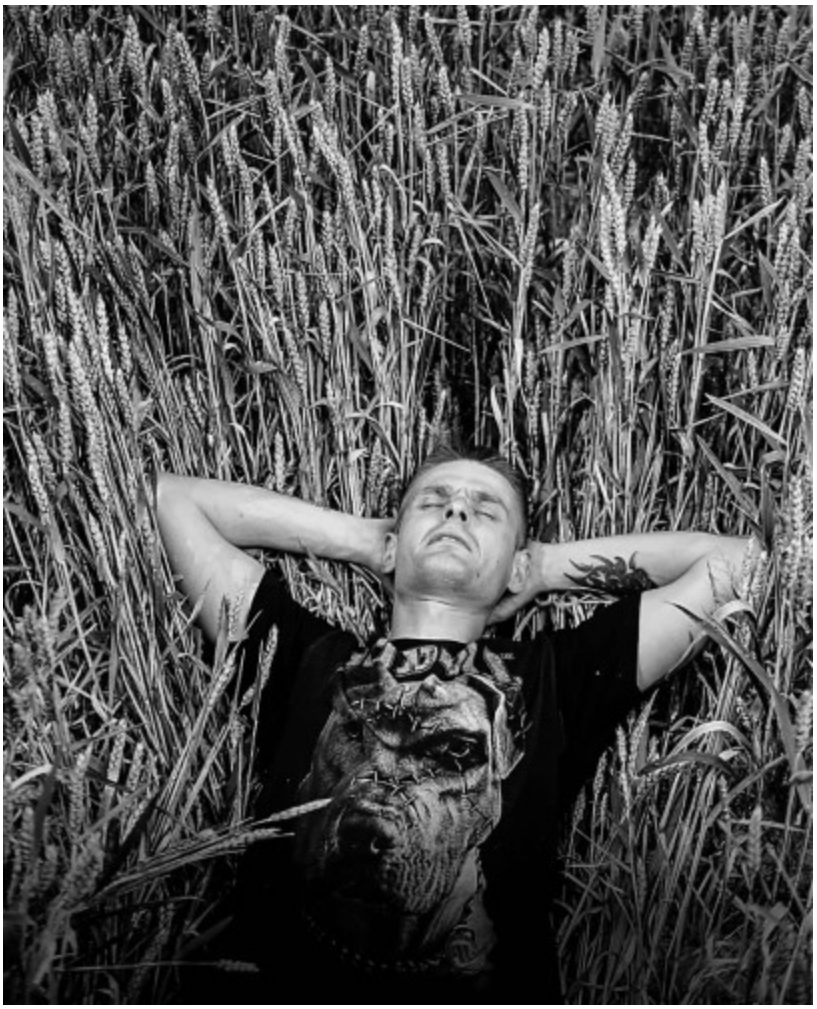

FOT. ŁUKASZ GIZA/AGENCJA WYBORCZA.PL

Tomasz Komenda

– Nie bałem się, jak policja przyszła zapytać, czy zgadzam się na badania krwi i odcisku szczęki. Myślałem: niech badają i będzie po sprawie, bo nic nie zrobiłem – mówi Tomasz Komenda.

Kilka miesięcy później, to był kwiecień 2000 roku, zabrali mnie na przesłuchanie do komendy miejskiej. Pokazali zdjęcie Małgośki, jak leżała martwa za tą stodołą, gdzie ją zgwałcili. Powtarzali: „Zobacz, co jej zrobiłeś". Kazali mi się przyznać, a jak się nie przyznawałem, to zaczęli bić.

Nie, tego nie można nazwać biciem. Jeden siadł mi na nogach i zacząć napierdalać tak, że krew lała się strumieniami. Na 72 godziny wrzucili mnie na dołek. Jak po mnie przyszli, to mieli już napisane zeznania. Głupoty takie, że pojechałem w nocy autobusem do Gajkowa, stamtąd na piechotę do Miłoszyc, gdzie uprawiałem seks z jakąś Kaśką. Grozili, że nie wyjdę żywy, jak tego nie podpiszę. To podpisałem.

Tam nie było nic o gwałcie, nic o morderstwie, nie wiedziałem, że podpisuję na siebie wyrok. Chciałem tylko wyjść z tego komisariatu. Obiecali, że wyjdę, ale przewieźli mnie do aresztu śledczego. Klawisz na bramie powiedział: „Wchodzisz do piekła".

Trafiłem do morderców. Jak się wchodzi do celi, to oni od razu muszą wiedzieć, za co się siedzi. Zabrali mi białko, znaczy papiery, które się dostaje po przyjęciu. Też byłem mordercą, ale z gratisem, kulawym paragrafem 197. Takich się w więzieniu gnębi, samosądy robi. Mnie skatowali mydłami na łaźni. Otacza cię kółko osadzonych, mydła zawijają w skarpety i uderzają nimi po gołym ciele. Mydło zadaje więcej bólu niż pięści. Czy strażnicy reagowali? Oni nie patrzyli na mnie jak na człowieka, tylko śmiecia, którego trzeba codziennie dojeżdżać, żeby żałował tego, co zrobił.

Tyle że po każdej takiej historii zgadzali się mnie przenieść na inny oddział. Taki, gdzie jeszcze nie wiedzieli, za co siedzę. Nie, żeby mnie żałowali. Zaczynał się proces, nic nie miało prawa mi się stać. Ale i tak się działo. Tylko bili, żeby nie było widać. Z tyłu głowy trzeba uderzać. I słownie mnie dojeżdżali: pedofil, majciarz, morderca.

Przestałem opowiadać, że jestem niewinny

Byłem pewien, że jak już usiądę na ławie oskarżonych, to szybko mnie wypuszczą. Miałem mecenasa, który powiedział, że nie ma wystarczających dowodów, by mogli mnie skazać. Kilka rozpraw i wyjdę. Ale chciał 20 tysięcy złotych za to, że będzie mnie reprezentował, a my nie mieliśmy pieniędzy. Dostałem adwokata z urzędu. Mówił, żebym się nie odzywał, nic nie tłumaczył i wszystko zostawił jemu. No to odmówiłem składania zeznań. Ufałem, że się na tym zna. Ale ja go nie interesowałem. Na apelację już nawet nie przyszedł, wysłał aplikanta. Podwyższyli mi wyrok z 15 na 25 lat.

Wtedy do mnie dotarło, że już nie wyjdę. W nocy próbowałem się zabić. Przerzuciłem prześcieradło przez kraty, obwiązałem szyję. Wisiałem, ale któryś musiał się obudzić, odcięli mnie. Jak się ocknąłem, stało nade mną kilku gadów, znaczy klawiszy. Dyrektor wezwał mnie na dywanik. Pytał, czemu to zrobiłem. Powiedziałem, że jestem niewinny, a skazano mnie na 25 lat. Śmiał się, że gdybym był niewinny, to nie miałbym prawomocnego wyroku. Mówił, że mam to, na co zasłużyłem. Wszyscy tak mówili: „Sam tego chciałeś".

Przestałem opowiadać, że jestem niewinny.

Wieszałem się jeszcze dwa razy. Zawsze tak samo, prześcieradło i krata. Drugi raz był w 2010 roku. To była taka świadomość, że siedzę już 10 lat, a jeszcze 15 przede mną. Trzeci raz wisiałem po śmierci babci. Zmarła sześć lat temu. Zawsze byliśmy blisko. Nie, do więzienia nie przychodziła. Nie dałaby rady. Widziałem, jak była załamana w sądzie, kiedy wprowadzali mnie w łańcuchach na rękach i nogach. Bardzo chciałem być na jej pogrzebie, móc się chociaż pożegnać. Dostałem zgodę dyrektora. Pojechałem skuty ze strażnikami, ale oni tak wszystko opóźniali, żebym nie zdążył. Jak weszliśmy na cmentarz, to już nie było nikogo z rodziny, a grabarze

kończyli zakopywać trumnę. W nocy znowu odcinali mnie z prześcieradła. Jeszcze kilka razy myślałem, żeby się odpalić, nie będę ukrywał, że nie.

Jedyne, co mnie trzymało, to rodzina. Po pierwszej próbie samobójczej mama krzyczała, że jeżeli się zabiję, to będą dwie trumny, bo ona pójdzie za mną. O kolejnych próbach już jej nie mówiłem. Widziałem, że z każdym spotkaniem coraz bardziej mi znika. Dlatego ja musiałem być silny. Mówiłem: „Głowa do góry i maszerujemy. Nie możemy się poddać".

Widzenia miałem dwa razy w miesiącu po 60 minut, czasem wyprosiłem jakieś dodatkowe. Pisałem wnioski do dyrektora, jak miał dobry humor, to się zgadzał.

Mama nie opuściła żadnego widzenia. Nawet po wypadku przyszła ze złamaną ręką, nogą i w kołnierzu ortopedycznym. Przychodził też tata, bracia, bratowa. Nie chcę sobie nawet wyobrażać, co by się ze mną stało, gdybym ich nie miał. Ze znajomych nikt się nie odezwał. Nawet ci, którzy byli w tamtego sylwestra u nas w domu na imprezie i dawali mi alibi, że nie zabiłem Małgosi. Wiedzieli, że jestem niewinny, ale nigdy nie wysłali nawet kartki na święta. Przyszli pogratulować, kiedy wyszedłem.

Mówiłem, że zabiłem sąsiada

Nie opowiadałem rodzinie, jak mnie traktują w więzieniu. Wolałem słuchać, co u nich na wolności. Tylko by się martwili, a i tak nie mogli mi pomóc. Nikt nie mógł.

W więzieniu nie ma się kolegów. Rozmawia się, kto kogo pobił i komu ukradło się buty. Rządzą szamaki, czyli ci, którzy grypsują. To

zazwyczaj mordercy i złodzieje. Nazywają się ludźmi, reszta to frajerzy. Ja nie byłem nawet frajerem. To nie tak, jak się mówi, że znajdowałem się na samym dole hierarchii. Jako gwałciciel nieletniej byłem poza hierarchią. Każdy mógł mnie dojeżdżać. Pobić, skopać, opluć, wyzywać, okraść. Szybko przestałem wychodzić na spacerniak, bo tam najłatwiej było mnie dopaść. Strażnicy odwracali głowy i udawali, że nie widzą. Leżałem, kilku mnie kopało, a oni nic. Odmówiłem spacerów, nie bawiło mnie dostawanie wpierdol za każdym razem.

Całą dobę siedziałem pod celą. Szyłem piłki i poduszki ze skóry dla dzieciaków z domów dziecka. Miałem satysfakcję, że mogę im sprawić przyjemność. Grałem w Fifę na konsoli, nie ma teraz na mnie kozaka. Oglądałem szkiełko, znaczy telewizję. Lubię programy rozrywkowe, ale jak przełączali na „Trudne sprawy" i te wszystkie niby-dokumenty o ludzkich dramatach, to nie miałem wyboru.

Paliłem papierosy, tylko tytoń w kantynie był drogi, więc jednego skręta dzieliłem żyletką na trzy, żeby starczyło na dłużej.

Szarość, monotonia, nuda. Tak jest w więzieniu. U mnie dochodził jeszcze strach.

Po areszcie śledczym siedziałem w trzech zakładach – we Wrocławiu, Strzelinie i Rawiczu. Ale to bez znaczenia, wszędzie było tak samo. Próbowałem ukrywać, za co siedzę. Niszczyłem białko, mówiłem, że zabiłem sąsiada. Ale szybko mnie rozkminiali. Bałem się, że kiedyś nie skończy się na groźbach i naprawdę mnie zabiją. Wcześniej nie lubiłem kawy, a w więzieniu piłem po pięć dziennie. Zasypiałem ostatni i budziłem się pierwszy. Cały czas musiałem być czujny, wystarczyłaby chwila, żeby przejechali mi żyletką po gardle. W przydziale dostawało się dwie miesięcznie.

Jak robiło się naprawdę nieprzyjemnie, to pisałem wniosek z prośbą o przeniesienie. Średnio zmieniałem celę co trzy miesiące. Nie, nikt nie próbował mnie zabić. To kiedy się najbardziej bałem? Tego nie powiem. (Tomek patrzy w bok, przez chwilę milczy). Najbardziej bałem się, jak chcieli mnie zgwałcić. Było blisko, ale złapałem fikoł, znaczy taboret, i zacząłem napierdalać z całych sił w furtę. To było już po wieczornym apelu, na oddziale jest wtedy jeden klawisz i do porannego apelu drzwi może otworzyć tylko dowódca, który siedzi na bramie. Gad musiałby uznać, że sytuacja jest naprawdę niebezpieczna. Wtedy nie uznał, tylko podszedł do furty i kazał się uspokoić. Na szczęście mnie zostawili.

Klawisze nie są lepsi od osadzonych. Tylko mają inne metody na znęcanie się nad takimi jak ja. W zakładzie jest pokój bez kamer, w którym robią przeszukania po widzeniach. Zostawiali otwarte drzwi i kazali mi rozbierać się do naga, tak że każdy więzień, który przechodził, mógł mnie zobaczyć. Czasem mnie bili. Mieli rękawiczki jak na rower, żeby nie zostawiać śladów pięści. Pluli mi do jedzenia, a byłem tak głodny, że musiałem to jeść. Przysługiwało mi pięć minut rozmowy telefonicznej co dwa dni, ale gady rozłączały mnie zawsze po dwóch, trzech.

Uciekałem w muzykę. Zakładałem słuchawki na uszy i starałem się od tego wszystkiego odciąć. Nocami wyłem w poduszkę jak dziecko. To był mój wentyl, dawał mi siłę na kolejny dzień.

Miałem taki moment, że chciałem wejść w środowisko w więzieniu. Zacząłem się dziarać, mam pięć tatuaży. Opowiadałem, czego to ja nie zrobiłem. Ale to nie było dla mnie. Nigdy się nie biłem, w więzieniu nauczyłem się tylko więcej przeklinać. Zresztą i tak nie miałem jak uciec od łatki gwałciciela nieletniej. Od początku

była mowa, że morderców Małgosi było przynajmniej dwóch, a siedziałem tylko ja. Dlatego co jakiś czas pojawiały się artykuły i programy przypominające o tej sprawie, a w nich zawsze pokazywano moje zdjęcie. Cały peron, znaczy korytarz, po takich publikacjach krzyczał: „Ty pedofilu!".

O, popatrz, Komenda idzie

Narysowałem kalendarz, w którym skreślałem każdy dzień spędzony w więzieniu. Było ich 6540. Myślałem, że już nigdy nie wyjdę na wolność. Nawet jak odsiedzę 25 lat, bo mogliby zamknąć mnie w Gostyninie, w ośrodku dla bestii. Cztery razy starałem się o warunkowe zwolnienie, ale słyszałem, że najpierw musiałbym się przyznać do winy i wykazać żal. A ja nie chciałem się przyznawać do czegoś, czego nie zrobiłem.

O wolność modliłem się do papieża. Zawsze był dla mnie ważną postacią. Widziałem go nawet na żywo, jak przejeżdżał z pielgrzymką koło myjni, w której pracowałem. Kiedy umarł, powiesiłem jego zdjęcie w celi. Kilka lat temu w nocy zobaczyłem jakby łunę koło tego zdjęcia. Ja wiem, że to nieprawdopodobne, ale dało mi nadzieję, że może papież mnie nie opuścił. Dlatego pojechałem pomodlić się na jego grobie.

Kiedy w połowie 2017 roku przyszedł do mnie pan policjant Remik, to przez chwilę bałem się, że to głupi żart. Ale i on, i panowie prokuratorzy Tomankiewicz i Sobieski traktowali mnie zupełnie inaczej niż wszyscy poprzedni. Po prostu jak człowieka. W więzieniu nie miałem imienia. Mówili do mnie Komenda, a dla nich byłem panem Tomkiem.

Zabrali mnie na przesłuchanie, potem na badania DNA i odcisku szczęki. Wyniki DNA szybko mnie wykluczyły, ale pół roku czekaliśmy na szczękę. Nie mogłem się doczekać i cały czas do nich wydzwaniałem. Wtedy miałem już spokój w więzieniu. Prokuratorzy powiedzieli dyrekcji, że nic nie może mi się stać, a osadzeni myśleli, że zostałem konfidentem, i mnie unikali.

Jak zareagowałem na decyzję sądu, że wychodzę z więzienia, to sama widziałaś. Wszyscy chyba widzieli. Tego uczucia nie da się dobrze opisać.

Nie myślałem, że zrobi się wokół mnie aż takie zamieszanie. Włączam telewizor – moja twarz, otwieram gazetę – znowu ja. Na ulicy co chwilę ktoś mnie zaczepia. Żeby pogratulować albo zrobić sobie ze mną zdjęcie. Robię te zdjęcia. I to wszystko jest bardzo miłe, bo wiem, że ludzie we mnie wierzą i mnie wspierają. Tylko trochę krępuje mnie to zainteresowanie. Chodzę w czapce z daszkiem i ze słuchawkami na uszach, żeby nie słyszeć już: „O, popatrz, Komenda idzie".

Chciałbym żyć normalnie. Zapomnieć o więzieniu. Nie wiem, czy to możliwe. Na razie nie robię wielkich planów, żyję z dnia na dzień. Teraz rozmawiam z tobą, nie myślę, co będę robił jutro. Daję sobie jeszcze czas na plany.

Chodzę na terapię. Myślałem, że nie potrzebuję psychologa, ale po każdym spotkaniu czuję się lżejszy. Mówię, że to moja spowiedź, chociaż to nie ja zgrzeszyłem. Nie mogę się załamać, kiedy najgorsze już za mną. Teraz czekają mnie jeszcze zeznania przed prokuraturą. Chciałbym, żeby ci, którzy odpowiadają za to, co mnie spotkało, stanęli przed sądem. Tylko boję się, że po raz kolejny będę musiał przez to przechodzić, przypominać sobie każdy szczegół. Nie jest mi

łatwo o tym mówić. Ale jeszcze bardziej boję się, że ostatecznie śledztwo zostanie umorzone i znowu mnie dopadną.

***

Tomasz Komenda został w 2004 roku skazany na 25 lat więzienia prawomocnym wyrokiem za gwałt ze szczególnym okrucieństwem i morderstwo 15-letniej Małgorzaty K. w czasie imprezy sylwestrowej 1996/1997 w Miłoszycach. 12 świadków dawało mu alibi, ale przeciwko niemu świadczyły ślady osmologiczne, DNA i odcisk szczęki zostawiony na ciele ofiary. W 2016 roku wznowiono śledztwo, ponieważ od początku uważano, że sprawców było przynajmniej dwóch. Śledczy po kilku miesiącach zatrzymali podejrzanego o popełnienie tego przestępstwa Ireneusza M. Doszli także do wniosku, że Tomasz Komenda najprawdopodobniej nie jest sprawcą, co potwierdziły ponownie przeprowadzone badania. Prokuratura Okręgowa w Łodzi sprawdza teraz, czy w sprawie nie dochodziło do mataczenia. Tomasz Komenda został 16 marca 2018 roku warunkowo zwolniony z odbywania kary, a 16 maja 2018 roku Sąd Najwyższy podjął decyzję o jego uniewinnieniu.

Tekst ukazał się w „Dużym Formacie" w 2018 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Sztuczna Inteligencja

Czułem się, jak bohaterowie filmu „Dług". Wszystko, co robiłem, a nawet mnie samego, profesor uważał za swą własność. Im bardziej chciałem się z tego

wyplątać, tym więcej kwitów do podpisywania dostawałem.

JACEK HARŁUKOWICZ

FOT. SHUTTERSTOCK (ZDJĘCIE ILUSTRACYJNE)

W roku 2013, po trwającym blisko dwa lata śledztwie, prokuratura oskarżyła wrocławskiego profesora Adama J., że wraz z piątką podwładnych wyłudził 1,8 mln zł

Gdy świat naukowy obiega informacja o zatrzymaniu prof. Adama J., jedni się cieszą, inni nie mogą wyjść ze zdziwienia. Niepozorny łysiejący 64-latek to prawdziwa legenda polskiej informatyki i automatyki: członek Polskiej Akademii Nauk, Polskiej Komisji Akredytacyjnej i IEEE – Institute of Electrical and Electronics Engineers – Instytutu Inżynierów Elektryków i Elektroników, jednej z największych na świecie organizacji zawodowych o charakterze globalnym. Na Politechnice Wrocławskiej kierował

Zakładem Sztucznej Inteligencji i Automatów, przewodniczył stałej Komisji Wydziału Elektroniki ds. Doktoratów z Informatyki.

– Człowiek instytucja – mówi jeden z profesorów politechniki. Jak większość jej kadry po zatrzymaniu profesora wzbrania się przed mówieniem o nim pod nazwiskiem.

Świat nauki stanie przed panem otworem

Adam J. tytuł profesora uzyskał w 1999 r. Od tego czasu wypromował na uczelni dziesięciu doktorów. Ośmiu jego podopiecznych otrzymało ten tytuł z wyróżnieniem. Na uczelni J. zajmuje się głównie teorią algorytmów, złożoności obliczeniowej oraz szeregowania zadań i rozdziału zasobów. Wykłada na całym świecie: poza Europą m.in. w Stanach Zjednoczonych, Australii, Hongkongu, Nowej Zelandii i Tajlandii. Za zasługi dla nauki polskiej w 2001 roku prezydent odznaczył go Srebrnym Krzyżem Zasługi, a w 2008 r. Złotym Medalem za Długoletnią Służbę.

W roku 2013, po trwającym blisko dwa lata śledztwie, prokuratura oskarża go, że wraz z piątką swoich podwładnych z Zakładu Sztucznej Inteligencji wyłudził 1,8 mln zł grantów na badania naukowe. Grozi za to dziesięć lat więzienia. Plus dodatkowe pięć, bo zdaniem śledczych naukowiec miał sobie z tego procederu uczynić stałe źródło dochodu.

– Proceder polegał na pozyskiwaniu z uczelni oraz z Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego środków na prace badawcze z zakresu informatyki, które w rzeczywistości nie były wykonane – tłumaczy Liliana Łukasiewicz, rzeczniczka legnickiej prokuratury. – Wszyscy oskarżeni zawierali umowy-zlecenia na wykonanie prac cząstkowych z doktorantami, studentami oraz przypadkowymi

osobami, niemającymi żadnych kwalifikacji do wykonania prac objętych umowami. Później, mimo iż wiedzieli, że prace nie zostały wykonane lub wykonano je nierzetelnie, rozliczali przyznane środki w stanowiących podstawę do wypłaty raportach końcowych.

Profesor J. nie przyznał się do zarzutów.

Jednym z członków zespołu stworzonego przez prof. Adama J., który dziś oskarżany jest o wyprowadzanie pieniędzy z grantów, był Antoni B.: – Miałem z nim zajęcia już wcześniej, ale profesor pojawił się na nich jedynie dwa razy. Już na pierwszych oświadczył nam, że jest bardzo zajęty, więc wykłady za niego prowadził będzie ktoś inny, a on jedynie podpisze się w indeksie.

Ich drogi krzyżują się ponownie w 2004 r., gdy Antoni zaczyna robić doktorat. Prof. Adam J. zostaje jego promotorem. Niedługo potem składa młodemu naukowcowi propozycję, by dołączył do zespołu, który pod jego kierownictwem prowadzi badania naukowe. Dla młodego doktoranta to ogromna szansa. – Propozycja wydawała się fantastyczna – opowiada Antoni. – Jednak niedługo potem profesor wezwał mnie do siebie i oświadczył, że strasznie komuś podpadłem. Że on oczywiście w zarzuty wobec mnie nie wierzy, ale świat nauki rządzi się swoimi prawami, które kiedyś zrozumiem. Na razie, żeby się zrehabilitować, muszę podpisać umowę o dzieło, która będzie dotyczyła pisanych przeze mnie właśnie artykułów. Pieniędzy jednak za nie nie otrzymam, tylko trafią one właśnie do osoby, która ma wobec mnie jakieś pretensje. Umowę musiałem podpisać in blanco, gdyż profesor stwierdził, że nie może jeszcze zdecydować, który z moich artykułów wybrać i jaką kwotę wpisać.

Profesor prosi jedynie o wpisanie do umowy danych: imienia, nazwiska, i sporządzenie kilku podpisów. Wskazuje: tu, tu i jeszcze

tutaj.

Na jednej umowie się nie kończy. Antoni nie chce mieć problemów i godzi się podpisywać kolejne umowy in blanco. Pisze kolejne artykuły (jako doktorant i tak musi to robić), ale pieniądze za nie za każdym razem oddaje profesorowi. Ten fakt go nie dziwi, tym bardziej że reszta zespołu prof. J. utwierdza go w przekonaniu, że to wynik normalnej, panującej na uczelni hierarchii: dziś jesteś doktorantem i pracujesz na patrona. A profesorowi Adamowi J. nie wolno się przeciwstawiać.

– Do każdego mojego artykułu musiałem dodatkowo dopisywać nazwisko profesora, pomimo że nie wniósł w nie żadnego wkładu ani nawet nie dyskutował ze mną zagadnień, których dotyczyły.

Wynagrodzenia za podpisane umowy o dzieło Antoni odbiera w kasach uczelni, później przychodzą na jego konto. Za każdym razem pieniądze karnie zanosi swojemu patronowi do gabinetu i oddaje. Kwoty dla młodego doktoranta są zawrotne: za każdym razem jest to kilka, a często nawet kilkanaście tysięcy złotych, więcej niż jego roczne stypendium.

Antoni B.: – Raz czy dwa profesor przyjechał nawet po pieniądze do akademika. Wchodził, liczył i ściskał rękę, mówiąc: „Doskonale, proszę tak dalej pracować, a świat nauki będzie stał przed panem otworem". Czułem, że jestem okradany, ale tłumaczyłem to sobie panującym w świecie nauki feudalizmem. Chciałem robić karierę naukową w kraju, chociaż miałem propozycję robienia doktoratu za granicą.

W pewnym momencie profesor żąda od Antoniego, by pod artykułami podpisany był nie tylko on, ale również jego syn

Władysław, który był jeszcze studentem na politechnice. Nie ma znaczenia, że studiuje na innym wydziale. Zaczyna jednak doktorat i publikacje są mu potrzebne.

– Adam J. to nie tylko osoba świetnie na uczelni ustosunkowana, świadoma swojej pozycji, znajomości i dorobku naukowego, ale przede wszystkim świetny psycholog. Potrafi doskonale manipulować ludźmi – ocenia znajomy profesora z uczelni. – Teraz ma kłopoty. Ale nie oznacza to, że utracił swoje wpływy – wyjaśnia swoją prośbę o anonimowość. I dodaje: – Jedną rzecz chciałbym, żeby pan wyraźnie napisał: on psuł tych młodych, niczego nieświadomych ludzi. Demoralizował ich, a to dużo poważniejsza zbrodnia niż to, co zarzuca mu prokurator.

Wylecę ja i moja narzeczona

Podczas gdy Antoni godzi się dalej podpisywać umowy, jak sądzi, wyłącznie na swoje artykuły, nie ma pojęcia, do czego tak naprawdę są wykorzystywane. Wie już, że ktoś na nich zarabia, ale nie zna mechanizmu. Dopiero później dowiaduje się, że Adam J. rozliczał nimi kolejne granty.

Mechanizmy poznaje dokładniej, gdy ma już doktorat i sam jest kierownikiem projektu realizowanego w Zakładzie Sztucznej Inteligencji i Projektowania Algorytmów. Projekt jest jego jednak tylko z nazwy. Czerwona lampka zapala się, gdy profesor każe mu podpisywać kolejne umowy. Tym razem jednak już nie na artykuły, ale na prace, które trzeba wykonać w jego projekcie. Nazwiska osób już są w umowy wpisane, ale Antoniemu nic nie mówią. Kiedy oponuje, słyszy, że to nie jego sprawa, nie jego grant i że jak sam będzie profesorem, to będzie mógł decydować, komu co dawać do podpisania, kogo zatrudniać do badań i z kim podpisywać umowy.

– Gdy zwróciłem uwagę, że to nie w porządku, profesor zaczął na mnie krzyczeć, czy zdaję sobie sprawę, że właśnie przekreślam całe swoje życie – opowiada. – Że wylecę z uczelni, a „życzliwi" sprawią, iż nie przyjmie mnie żadna inna uczelnia ani w kraju, ani za granicą. I wyrzucił za drzwi.

Po dwóch godzinach profesor dzwoni do swojego ucznia i głosem nieznoszącym sprzeciwu nakazuje wrócić na uczelnię. Przerażony wizją zakończenia rozwijającej się kariery Antoni ulega naciskom profesora. Podpisuje umowy.

– Byłem zrezygnowany. Czułem się jak w filmie „Dług". Wszystko, co robiłem, a nawet mnie samego, profesor uważał za swoją własność. Ilekroć próbowałem się wykręcać, dostawałem do podpisywania nowe umowy. Słyszałem, że jeśli nie podpiszę, wylecę nie tylko ja, ale również moja narzeczona, która właśnie zaczynała robić doktorat. Profesor wprost powiedział mi, że nie traktuje nas osobno, a ja nie decyduję wyłącznie o swojej karierze.

Po pewnym czasie Antoni definitywnie się sprzeciwia żądaniom profesora. Postanawia, bez względu na konsekwencje, zerwać toksyczne stosunki łączące go z Adamem J. – Najpierw usłyszałem, że jeśli nie oddam projektu, wylecę z uczelni. Potem J. zaproponował wyjazd do Australii i Kanady, „na pół roku, rok, dwa lata". Nie chciałem wyjeżdżać. Wtedy oświadczył, że atmosfera wokół mnie gęstnieje i muszę odejść z uczelni. Ale on mi oczywiście pomoże.

Antoni ostatecznie odchodzi z politechniki w 2010 roku. Prof. Adam J. pomaga znaleźć mu nową pracę. – Zaproponował mi bardzo duże pieniądze za milczenie, a także wsparcie w staraniu się o habilitację. Odmówiłem jednego i drugiego.

Po odejściu z politechniki Antoni B. kontaktuje się z prawnikiem. Wie już, że nie wszystko, co robił, było zgodne z prawem. Chce się ratować. Nie bez znaczenia jest jednak także chęć zaszkodzenia profesorowi.

Razem ze znajomym adwokatem kompletuje dokumenty obciążające Adama J. Pod koniec 2011 r. mecenas zanosi dokumenty na policję. Śledczy długo badają sprawę, aż w listopadzie 2012 r. po raz pierwszy pojawiają się na politechnice. Robi się gorąco. Zaalarmowany rektor nakazuje wszczęcie kontroli wszystkich projektów badawczych realizowanych w instytucie, w którym pracuje Adam J. Kontrola wykazuje, że przy pięciu z nich mogło dojść do nieprawidłowości.

– Wszystkie dotyczyły zespołu badawczego, którym kierował prof. Adam J. – informuje Agnieszka Niczewska, rzeczniczka Politechniki Wrocławskiej. – Cztery z nich były już rozliczone przez grantodawców, jeden wciąż był w fazie realizacji.

Projektem, który wciąż był realizowany, kierował Aleksander S. Na uczelni nie wiedzą wówczas, że od dłuższego czasu współpracuje on z Antonim B. i z policją. Dokumentuje kolejne przekręty, a nawet, jak twierdzi osoba znająca kulisy śledztwa, potajemnie nagrywa profesora.

Poproszony przez rektora o wyjaśnienia związane z prowadzonym projektem tłumaczy, że nieprawidłowości są wynikiem bezpośrednich poleceń wydawanych przez Adama J.

Proszę myśleć o żonie, dzieciach i kredycie do spłacenia

Historia Aleksandra S. jest podobna: najpierw obietnica wielkiej kariery naukowej, stypendiów, a później niemal niewolnicza praca i powolne wciąganie w przestępczy proceder. – Byłem zastraszonym doktorantem, a później doktorem. A naprzeciwko miałem wielkiego profesora, który, jak wszyscy mówili, wiele może. A i sam widziałem jak potrafi niszczyć ludzi.

Gdy profesor przynosi Aleksandrowi pierwsze umowy na prowadzenie lipnych badań, sugeruje, by wpisywał w nie dane członków swojej rodziny. – Na początku nie wydawało mi się to podejrzane. Ot, zwykła przysługa. Dziś wiem, że w ten sposób zabezpieczał się. Bo trudno będzie mi na niego donieść, bo nie będę chciał robić bliskim problemów.

Aleksander, w którym, podobnie jak w Antonim, zaczynają rodzić się podejrzenia, często słyszy, że wszystko odbywa się zgodnie z przepisami, nie ma mowy o żadnym przestępstwie. I że wszyscy tak robią. Umów jest coraz więcej, ale pieniądze, nawet jeśli w umowę wpisany jest członek jego rodziny, każdorazowo muszą wracać do profesora. Bo w rzeczywistości żadnych prac nie ma. A papiery służą jedynie jako podkładki do rozliczania kolejnych zdobywanych przez Adama J. grantów. – Gdy sam byłem kierownikiem grantu i podjąłem wreszcie decyzję o niepodpisywaniu żadnych umów z osobami wskazanymi przez profesora, usłyszałem, żebym się nie wygłupiał i pomyślał o żonie, dziecku i kredycie, jaki mam do spłacenia. Potem mnie od siebie odsunął. Ale jednocześnie pokazywał, że może ze mną zrobić, co będzie chciał: na uczelni zacząłem dostawać do prowadzenia zajęcia z przedmiotów, na których nie do końca się znałem, a należyte przygotowanie się wymagało ode mnie dużo pracy. Moje zajęcia były kontrolowane bez wiedzy i zgody władz wydziału. Osobiście kilka razy wizytował

je bez zapowiedzi. Nie akceptował także zgłaszanych przeze mnie tematów prac dyplomowych, mimo że zawsze miałem na nie wielu chętnych studentów.

Aleksander służył profesorowi nie tylko jako słup. W pewnym momencie stał się także kimś w rodzaju służącego: – Wielokrotnie musiałem jeździć na uczelnię, załatwiać jego prywatne sprawy czy prowadzić w jego imieniu korespondencję – opowiada. – Nieważne, czy to był dzień powszedni, czy weekend. Profesor dzwonił i wydawał polecenie. Przez cały rok musiałem też prowadzić za niego zajęcia na prywatnej uczelni, gdzie był zatrudniony. O żadnych pieniądzach oczywiście nie było mowy.

Antoni B. i Aleksander S. od czerwca 2013 mają postawione zarzuty uczestnictwa w oszustwie na dużą skalę. Jednak jako że sami poinformowali służby o całym procederze, mogą liczyć na nadzwyczajne złagodzenie kary. Gdy pytam ich, ile pieniędzy udało się profesorowi wyciągnąć dzięki ich naiwności, nie potrafią podać dokładnej liczby. Obaj twierdzą jednak, że są to kwoty liczone w milionach złotych.

Profesor widmo

Gdy sąd decyduje o tymczasowym aresztowaniu Adama J., zostawia mu furtkę – może opuścić areszt po wpłaceniu 80 tys. zł kaucji. Pieniądze wpływają na konto sądu następnego dnia. A profesor zapada się pod ziemię. Ma wyłączony telefon. Jego adwokat, mec. Zbigniew Piątkowski przekonuje mnie, że nie ma z nim kontaktu.

Adam J. od kilku lat poza pracą na Politechnice Wrocławskiej jest prorektorem prywatnej uczelni w Świdnicy, wykłada za granicą, a resztę czasu spędza w swoim domu w Łomnicy Starej w

malowniczej Kotlinie Kłodzkiej. Do Wrocławia przyjeżdża rzadko: wykłady prowadzą za niego doktoranci, pojawia się głównie w środy, gdy obraduje rada wydziału.

– Chcecie wiedzieć, co o nim myślą studenci? – pyta Karol, jeden z jego ubiegłorocznych studentów. Otwiera stronę wewnętrznego, nieoficjalnego forum studentów Politechniki Wrocławskiej. Tu żacy mogą anonimowo oceniać kadrę naukową. Opinie na temat Adama J. są dość zbieżne: „Człowiek widmo. Nie radzę zapisywać się na projekt do tego człowieka. I tak nie on sprawdza prace, tylko prowadzący ćwiczenia. Na terminach przeznaczonych na projekt również dyżur ma ktoś inny", „Niby prowadzi kurs, ale nigdy go na zajęciach nie ma. Uzyskanie wpisu masakra, bo ciężko go spotkać na uczelni", „Nasz rocznik miał okazję zobaczyć profesora, bo przyszedł na pierwszy wykład przedstawić zasady projektu. Potem widziałem go kilka razy na korytarzu i do końca semestru słuch o nim zaginął", „Prawdopodobnie w ogóle nie istnieje, poprawia tylko statystyki uczelni. Zajęcia prowadzi ktoś inny, wpisy daje ktoś inny".

Chciałem zapytać rektora politechniki, dlaczego trzymał na uczelni wykładowcę, którego praca wedle powszechnej wiedzy była fikcją. Rzeczniczka poinformowała, że rektor nie skomentuje tej sprawy.

– „Salus Politechnicæ suprema lex" (z łac. dobro politechniki najwyższym prawem) – tłumaczy mi także inny profesor, odmawiając wypowiedzi na temat Adama J. Słyszę tylko anonimowo: – Mógł jednym telefonem pozbawić kogoś szans na doktorat, wstrzymać habilitację, relegować z uczelni. W jego rękach tkwił klucz do wielu naukowych karier – mówi jeden z pracowników uczelni.

Inny pracownik: – Niech pan zwróci uwagę, jakie stanowiska piastował: był przewodniczącym komisji ds. doktoratów, członkiem komisji ds. rozwoju kadry naukowej, członkiem komisji programowej dla kierunku informatyka. A wcześniej również instytutowej komisji oceniająco-odwoławczej i wydziałowej komisji ds. habilitacji. Znał wszystkich i mógł wszystko.

Książkę „Scheduling in Computer and Manufacturing Systems" zadedykował swojemu zmarłemu psu. W dedykacji napisał „Pamięci mojego najwierniejszego przyjaciela – Byzi – która odeszła przedwcześnie". Wiadomo było też, że ma hopla na punkcie ekologii, czystości i zdrowego trybu życia. W Łomnicy zaraz po przeprowadzce angażuje się w walkę z planowaną na tym terenie budową elektrowni wiatrowej. Do uczelnianych anegdot przeszła jego obsesja na punkcie zarazków. – Sali wykładowej nigdy nie otwierał gołą dłonią, tylko przez sweter – opowiada jeden ze studentów. – Ale zwykle kazał to robić studentom i odpowiednio wcześniej, by przed jego przyjściem dokładnie salę wywietrzyć.

Są naukowcy bez kręgosłupa, ale system jest szczelny

Granty są rozdzielane dwa razy do roku. Do wniosku trzeba dołączyć szczegółowy temat projektu oraz dokładną charakterystykę naukową wszystkich członków zespołu pracującego nad projektem. Gdy grant zostaje przyznany, pieniądze wypłacane są w transzach na konto uczelni, na której prowadzony jest dany projekt. Ta wypłaca je później osobom wskazanym przez kierownika. – Skład zespołu jest przy przydzielaniu grantu bardzo istotny – tłumaczy osoba zajmująca się zawodowo ich rozliczaniem. – Łatwiej jest uzyskać dofinansowanie, gdy w zespole są znane nazwiska o konkretnym dorobku.

Wiedział o tym Adam J. – we wnioskach, jakie składają osoby z jego zespołu, pełno jest uznanych naukowców (prokuratura nie zdradza ich nazwisk). To jednak tylko słupy. Prace w rzeczywistości zlecane są komu innemu. Zakwestionowane umowy podpisywane przez członków zespołu Adama J. zawierano m.in. z rodzinami członków zespołu, ich znajomymi, ludźmi w ogóle niezwiązanymi ze światem naukowym. Wśród nich byli m.in. katechetka i wydawca książek telefonicznych. Dlaczego nikt nie zwrócił uwagi, że w specjalistycznych badaniach, takich jak choćby zakwestionowane przez prokuratora „Opracowanie algorytmów, rozwiązywanie problemów, harmonogramowanie zadań i alokacji zasobów w systemach komputerowych, systemach przemysłowych i usługowych", biorą udział ludzie bez żadnego doświadczenia? W tym przypadku zakwestionowane zostały wydatki na kwotę 205 tys. zł. Ale w projekcie „Komputerowe metody optymalizacji i szeregowania w złożonych systemach informatycznych i produkcyjnych" było to już blisko 440 tys. zł.

– Wykonania tak specjalistycznych badań nie weryfikuje się. Pieniądze wypłacane są na podstawie deklaracji: to i to zostało zrobione, i opisaniu efektu tych prac – mówi mój rozmówca od rozliczania grantów. – Oszukujący wykorzystują fakt, że podstawową funkcją grantów nie jest przeprowadzanie konkretnych prac, lecz podnoszenie kwalifikacji przez naukowców prowadzących badania.

Czy Adam J., wpisując we wnioski o granty nazwiska innych naukowców, dzielił się z nimi pieniędzmi? Gdy o to pytam w prokuraturze, słyszę, że śledztwo cały czas jest prowadzone i nie jest wykluczone, że obejmie inne osoby, a zarzuty będą się zmieniać. Zakwestionowane przez prokuraturę granty dotyczą okresu, gdy ich

przyznawaniem zajmowało się Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Od 2010 r. funkcję tę przejęła nowo powstała instytucja – Narodowe Centrum Nauki. Jego dyrektor prof. Andrzej Jajszczyk nie zgadza się z zarzutem o słabości procedur chroniących przed przekrętami: – Badania naukowe to delikatna materia. Trudno ją kontrolować, dlatego przy ocenie przyjmuje się dużą dozę zaufania. Obecnie kryteria przyjęte przez NCN są i tak dużo bardziej rygorystyczne niż te, które obowiązywały jeszcze kilka lat temu – odpowiada profesor. – Wierzę, że polscy naukowcy posiadają kręgosłup moralny. To jednak społeczność licząca dzisiaj ok. 80 tys. Wśród nich zdarzają się jednak i tacy bez niego. To jednak, mam nadzieję, jednostki. Każda sytuacja jak ta, do której doszło we Wrocławiu, powoduje, iż procedury się uszczelniają. Sam fakt wykrycia nieprawidłowości to dowód na to, że system działa poprawnie.

Imiona i inicjały byłych współpracowników profesora na ich prośbę zostały zmienione

Tekst ukazał się w „Dużym Formacie" w 2013 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Pomnik depresji

Czarodziejka Medea po stracie męża Jazona w obłędzie zabiła dwóch synów. Ale to mit. Cyganka Marianna Dolińska po stracie męża złodzieja w

obłędzie zabiła dwóch synów i dwie córki. To fakt. Wydarzył się 85 lat temu we wsi pod Radomiem.

PIOTR GŁUCHOWSKI

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Powieszone dzieci Marianny Dolińskiej i ona sama

Szaleństwo Medei uwiecznił Eurypides, autor kilkunastu tragedii.

Szał Dolińskiej miał zostać uwieczniony – w centrum Warszawy – przez Mariana Koniecznego, autora kilkunastu pomników, z których najgłośniejszy to Nike.

– To tu – 78-letni Stanisław Zagożdżan, jeden z najstarszych mieszkańców wsi Antoniówka, prowadzi nas przez gęstą puszczę. Kompletna cisza, wśród przerośniętych pokrzywami gęstych krzewów czerwienią się dojrzałe maliny, na ścieżce kupka piór. Jastrząb zjadł tu – najdalej wczoraj – gołębia. Kiedy Marianna Dolińska wieszała dzieci, nie było tego wszystkiego. Było pole porośnięte niewielkimi olchami, śnieg i kilka drzew, których już nie ma. Wybrała wysoki, gruby na człowieka, samotnie stojący świerk.

– Skąd pan wie? – pytamy Zagożdżana.

– Ojciec mi mówił, że świerk, on to jeszcze widział.

– I co jeszcze mówił?

– No, że Cyganka powiesiła, bo nie mieli jak wziąć zjeść. Ani znikąd pomocy, chłopa jej aresztowali. I tułała się zimą po lesie z tymi dzieckami.

– Nie mogła przyjść do wsi? Choćby do waszej zagrody?

– A pany byśta Cygana do domu wpuścili? Swoi jej też nie pomogli. Choć prosiła, chodziła do tej ichniej zwierzchności płakać. Coś tam musiało między tymi Cyganami być, że ją tak odparli.

Zupełnie ciemno

Początek zimy 1923 roku. W Warszawie formuje się w bólach drugi rząd Grabskiego, bliżej – w Radomiu – inżynierowie kreślą plany budowy wielkiej Fabryki Broni, pod miastem Policja Państwowa rozprasza grasujące po lasach cygańskie bandy, które nieustannie kradną żywność i zwierzęta okolicznym chłopom.

Nędza panująca w podradomskich wsiach po wojnach ciągnących się nieprzerwanie od 1914 do 1920 roku jest niewyobrażalna. Baby pieką chleb z perzu, na przednówku dzieci jedzą koty i żaby, szukają ptasich jaj, umierają z głodu i zwykłego przeziębienia. Nie ma szkoły, lekarza, nie ma butów. Żadne z dzieci Marianny Dolińskiej nigdy ich nie miało. Tydzień wcześniej policjanci na koniach zatrzymali jej męża, „40-letniego cygana Dolińskiego", pod zarzutem wielokrotnej kradzieży.

– Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, jakim dramatem jest dla całej rodziny cygańskiej aresztowanie jednego z jej członków – mówi Stanisław Kruszyński, duszpasterz Romów w Holandii. – To coś przeżywanego tak samo intensywnie jak śmierć. Aresztowanie ojca jest dla całej rodziny stanem porównywalnym do raka lub gorączki, wywołującym u członków rodziny nie udawane, lecz autentyczne stany histerii.

Pozostawiona przez policję żona błąka się po zamarzających właśnie bagnach między wsiami Antoniówka, Dąbrowa Kozłowska i Siczki. Pada śnieg, każda kolejna noc coraz zimniejsza. Kiedy Dolińska przerzuca sznur przez konar świerka, jest zupełnie ciemno. Najmłodsza córka, Zosia, ma dopiero pół roku. Jeszcze nie zdążyły jej urosnąć włosy.

Była piękna

Radomskie „Słowo" z 13 grudnia 1923 roku:

„W dniu 12 grudnia o 13.00 zgłosiła się do komisariatu PP miasta Radomia Marjanna Dolińska, cyganka, lat 32, ostatnio zamieszkała we wsi Kozłów tejże gminy powiatu radomskiego i zameldowała, że w dniu 11 grudnia ok. godz. 20 pozbawiła życia czworga swoich

małoletnich dzieci wieszając ich na drzewie w lesie Antoniówce gm. Radom w rejonie posterunku PP Rajec Poduchowny.

Poniższe dzieci były w latach:

– córka Zofia – 6 miesięcy

– syn Antoni – lat 3

– córka Bronisława – lat 5

– syn Stefan – lat 7.

Po zameldowaniu udano się natychmiast na miejsce przestępstwa, stwierdzono, że czyn miał miejsce. Wymieniona cyganka została aresztowana. Zeznała, że czyn ten popełniła z nędzy i dochodzenie wraz z Dolińską przekazano sędziemu śledczemu powiatu radomskiego".

„Słowo" nie wydrukowało przy artykule żadnego zdjęcia. Ale zdjęcia zbrodni zostały zrobione: policyjny fotograf z Radomia sporządził co najmniej dwa ujęcia powieszonych dzieci, prawdopodobnie pięć. Do tego co najmniej trzy zdjęcia Cyganki.

– Ojciec mówił, że jemu mówił dziadek, że una była pono bardzo piękna – Zagożdżan, w gumofilcach, znoszonych spodniach od brązowego garnituru i w podkoszulku bez rękawków, prowadzi nas z powrotem do Antoniówki. Idąc po wąskiej dębowej kładce bez poręczy, przekraczamy bezimienną rzeczkę. Nad wodą krążą ciemnoturkusowe ważki. Z jakiegoś powodu nie ma tu komarów. Podobno nigdy nie było.

Miejsce przeklęte

Najstarszą osobą w Antoniówce jest Stefania Zagożdżan, stryjeczna siostra Stanisława. Kiedy Marianna wieszała swe dzieci, Stefcia miała pięć lat i mama czesała ją w warkoczyki.

– Pamiętam Cyganów, wozy, kunie. Zawsze tam w lesie między Rajcem a Dąbrową obóz mieli. Cały rok siedzieli. Ludzie się bali... oooo! Niemce potem im tego obozowania zakazali.

– Pamięta pani dzieci powieszone na drzewie?

– Kazania w kościele były: Cyganka, wariatka, diabeł ją opętał. Dzieciątka, małe aniołki, poduszone. Matko Boska. Toż to miejsce przeklęte było.

– Zrąbali potem to drzewo specjalnie – przypomina sobie Stanisław Zagożdżan.

– Krzyż jakiś stał? Kapliczka? Pamiętają państwo?

– Nic nie stało. To miejsce przeklęte, toć ona dzieci swe własne pomordowała, no to przecież nie boski jest czyn, a diabelski. Gdzie tu krzyż stawiać?

Neutralny sprawca

Śledztwo trwa pół roku, Marianna Dolińska siedzi w kolejnych celach w Radomiu i w Warszawie. Ma napady szału, autoagresji albo popada w kilkudniowy stupor i nie sposób nawiązać z nią kontaktu.

– To była historia porównywalna ze sprawą Gorgonowej – mówi dr Bartosz Łoza, psychiatra, dyrektor szpitala w Tworkach.

Rita Gorgonowa, z pochodzenia Chorwatka, gospodyni domu i kochanka mieszkającego w Brzuchowicach pod Lwowem architekta Henryka Zaremby, została w 1932 roku oskarżona o zamordowanie jego córki. W pierwszym – poszlakowym – procesie skazano ją na karę śmierci. Ostatecznie uznana przez Sąd Najwyższy za działającą w afekcie odsiedziała siedem lat. Procesem Gorgonowej, a dokładnie kwestią „wieszać czy nie wieszać?", żyła w latach 1932-34 przedwojenna opinia publiczna.

– W przypadku Dolińskiej też byli oczywiście i tacy, którzy chcieli natychmiast wieszać, ale na szczęście mieliśmy wtedy porządne państwo, z oświeceniowym spojrzeniem na kwestię winy. Cygankę zbadali najlepsi ówcześni psychiatrzy. Ostatecznie orzeczono, że była tylko neutralnym sprawcą zbrodni, osobą pozbawioną w momencie dokonania czynu świadomości konsekwencji. Została skierowana do nas na obserwację i leczenie. Zaopiekował się nią osobiście dyrektor Łuniewski.

Dr Łoza mówi powoli, z namaszczeniem, które pasuje do jego eleganckiego garnituru w prążki, podobnie jak cały utrzymany w stylu art deco pokój. Jesteśmy w Tworkach, w części szpitala, która 80 lat temu była mieszkaniem Witolda Łuniewskiego. Stoją tu jeszcze kupione przez niego meble: głębokie, obite czerwoną materią fotele i stylowa kanapa. W tym pokoju w 1943 roku Łuniewski popełnił samobójstwo.

Przyczyny pozostały nieznane.

Tajemnic nie zdradzamy

– Jak by pan określił relacje między dyrektorem Łuniewskim a Dolińską? – pytamy dyrektora.

– Była dla niego osobą ważną – gospodarz gabinetu uśmiecha się, patrząc na nas uważnie. – To wynika z akt.

– Więc zachowały się akta?

– Szczęśliwie tak. Mamy teczkę. Jest w niej kompletna historia choroby pacjentki.

– Pokaże nam pan te dokumenty?

– Nie pokażę – dyrektor nie przestaje się uśmiechać. – Obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

– Po 80 latach?!

– My tajemnic swoich pacjentów nie zdradzamy nigdy.

– To niech pan powie to, co panu wolno.

– Teczka Marianny Dolińskiej jest zrobiona z szarej tektury – mówi z uśmiechem.

– Jest jej zdjęcie? Podobno była piękna.

– Nie ma.

Psychoza

Dolińska spędza w szpitalu cztery lata. Dzień podobny do dnia. Do śniadania, obiadu i kolacji brom na uspokojenie. Litu jeszcze nie wynaleziono, elektrowstrząsy wprowadzą dopiero za 15 lat lekarze we Włoszech. Pozostaje praca w szpitalnym gospodarstwie rolnym, spacery parkowymi alejkami. Doktor Łuniewski rozpoznaje u chorej „psychozę szałowo-posępniczą".

– Bardzo trafnie – mówi jego następca. – Współczesna psychiatria postawiłaby identyczną diagnozę. Tylko nazywamy to inaczej: choroba afektywna dwubiegunowa. Najmocniej inwalidyzująca choroba świata.

„Dwubiegunówkę" znali jeszcze starożytni Grecy: opisywali przebieg zaburzeń nastroju i przypisywali go brakowi równowagi fluidów i humorów w organizmie. Dzisiejsza medycyna właściwie to potwierdza, choć – znowu – nazywa inaczej: brak równowagi między poziomem monoamin a liczbą ich receptorów w naszych głowach.

Biegunami cyklu szałowo-posępniczego są depresja, czyli stan głębokiego smutku, oraz mania: okres niekontrolowanego podniecenia. W fazie manii pacjentów rozsadza energia, są radośni i gadatliwi. Szastają pieniędzmi, nawiązują romanse, mają po sto pomysłów na życie, z których najczęściej nic nie zostaje zrealizowane, ale to nie szkodzi. Ewentualnie szkodzi, lecz wina jest zawsze po stronie wiadomych sił.

W fazie depresji czas płynie wolno, a świat jest przerażający. Chory widzi przyszłość jako beznadzieję, życzy śmierci sobie i najbliższym. Zgon wydaje mu się wybawieniem.

– Badania pokazały bez wątpliwości, iż w feralnej chwili Dolińska zakładała urojeniowo, w ramach głębokiego stanu depresyjnego, że powieszenie dzieci jest rozwiązaniem najlepszym – tłumaczy dr Łoza.

Chciała uratować

Marianna Dolińska umiera w Tworkach w 1928 roku.

– Na podstawie archiwalnego materiału można stwierdzić, że cierpiała – poza chorobą dwubiegunową – również na inne, zaostrzające jej ogólny stan zdrowia poważne choroby somatyczne – dr Łoza jest tradycyjnie oszczędny w słowach. – To były choroby, powiedzmy... w ówczesnym czasie nieuleczalne.

– Gdzie ją pochowano?

– Na szpitalnym cmentarzu. Tym samym, gdzie później spoczął doktor Łuniewski. Ale tych grobów już nie ma – mówi z uśmiechem.

W roku śmierci pacjentki Witold Łuniewski opublikował w „Roczniku Psychiatrycznym" artykuł „Psychoza szałowo-posępnicza w kazuistyce sądowo-psychiatrycznej". Pierwsza część pracy to opis wielu zbrodni popełnionych w afekcie przez niepoczytalnych.

Na przykład.:

„A.Sz., kobieta 45-letnia, żona zamożniejszego gospodarza rolnego, wstawszy nad ranem ok. 6.00 dnia 11 V 1923 chwyciła siekierę i poczęła bić nią swoje śpiące jeszcze w łóżkach dorosłe dzieci. Oskarżona motywowała swój czyn rozpaczą, w którą popadła pod wpływem niekorzystnej transakcji zamiany majątku".

Albo – mężczyzna, który w fazie „szałowej" podpalił dom sąsiada za to, że ten nie użyczył mu koni do przejażdżki.

Przypadek Dolińskiej zajmuje ćwierć strony:

„M.D., 32-letnia cyganka w nocy z 11 na 12 XII 1923 r. powiesiła na drzewie w polu czworo swoich własnych dzieci (...) D. motywowała swój czyn tym, że zostawszy bez środków do życia chciała swoje

dzieci uratować od śmierci głodowej. (...) Trudności zebrania danych dotyczących osoby i przeszłości D., która całe swoje życie spędziła koczowniczo, wpłynęły na to, że materiał śledztwa nie wyświetlił należycie psychopatologicznych właściwości oskarżonej".

Obok tekstu dr Łuniewski zamieszcza w „Roczniku" dwie fotografie.

Dwa zdjęcia, jeden pomnik

Pierwsze zdjęcie przedstawia Mariannę. Zrobione w szpitalnym ogrodzie. Cyganka ma na sobie białą, zapinaną z przodu bluzkę, która odcina się od jej ciemnej cery. Mocne kości policzkowe, prosty nos, gęste brwi. Czarne włosy przycięte w grzywkę zasłaniającą czoło. Dwa warkocze z tyłu. Twarz zmęczona, na policzkach głębokie cienie. Ale wcześniej – Stanisław Zagożdżan chyba się nie myli – mogła być pięknością.

Drugie zdjęcie przedstawia drzewo. Od prawej wiszą: Bronka, Zosia, Antoś i Stefan. Bose nogi, łachmany. Na twarzach nie widać oznak bólu. Dzieci wyglądają, jak gdyby spały.

Fotografia jest nieostra, a postacie dzieci przecinają ukośne, jasne, poszarpane linie – może to rysy na negatywie, a może ślady zginania odbitki.

Nie wiadomo, kto pierwszy uznał, że są to ofiary ukraińskich rzezi na polskim Wołyniu i Podolu w 1943 roku. Tak się jednak stało i od lat w dziesiątkach publikacji i na setkach stron internetowych prowadzonych przez organizacje patriotyczne powieszone cygańskie dzieci występują w roli pomordowanych przez OUN-UPA. Rysy na negatywie większość autorów odczytuje jako drut kolczasty, którym

– według relacji świadków – banderowcy krępowali wieszanych Polaków.

Drut został nawet uwieczniony na pomniku w Przemyślu.

W lipcu 2003 roku, w 60. rocznicę apogeum rzezi wołyńskich, na tutejszym cmentarzu wojskowym kresowiacy odsłonili kamienny obelisk: czworo związanych drutem dzieci wisi wokół drzewa. Z pnia strzela w niebo prosty, żelazny krzyż. Dziatki z przemyskiego pomnika wiszą w tej samej pozycji, w jakiej zastygli synowie i córki nieszczęsnej Marianny z Antoniówki. Drut wbija się w ich małe ciałka w miejscach, w których zarysowany jest negatyw.

Poniżej białego pomnika metalowa tablica: „Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże, zapomnij o mnie". Pod płaskorzeźbą ukrzyżowanego Chrystusa otoczonego herbami Lwowa, Łucka, Tarnopola i Stanisławowa tekst: „W hołdzie Polakom pomordowanym w latach 1943-45 na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej (...). Rodacy".

Dzieci zamęczone

Historię zmiany ofiar szalonej Cyganki w ofiary banderowców odtworzył pół roku temu historyk PAN prof. Dariusz Stola. Nie ustalił istnienia Dolińskiej – nie to było celem jego badań – ale razem ze współpracownicą Adą Rutkowską prześledził drogę, jaką fotografia „powieszonych dzieci 32-letniej M.D." pokonała z archiwum radomskiej policji na łamy książek poświęconych ukraińskiemu ludobójstwu.

Okazuje się, że najwcześniejsza odnaleziona publikacja przypisująca zbrodnię Ukraińcom to wydawane we Wrocławiu pismo „Na Rubieży". 14 lat temu fotografia pojawia się w nim opatrzona

podpisem: „Dzieci polskie zamęczone i pomordowane przez oddział UPA w okolicy wsi Kozowa w woj. tarnopolskim (ze zbiorów dr Stanisława Krzaklewskiego)".

Dwa lata później zdjęcie powieszonych dzieci Dolińskiej zjawia się w pracy Jerzego Węgierskiego „Armia Krajowa w okręgach Stanisławów i Tarnopol". Tym razem podpis głosi: „Zamordowane przez oddziały SS-Galicja dzieci polskie w rejonie Kozowej".

Pięć lat temu we Wrocławiu ukazuje się najmocniejsza praca Aleksandra Kormana „Stosunek UPA do Polaków na ziemiach południowo-wschodnich II Rzeczpospolitej". Autor twierdzi, że zdjęcie pochodzi ze wsi Kozowa lub Łozowa, powiat Tarnopol, skąd grupa ocalałych z rzezi Polaków dostarczyła je do konspiracyjnej placówki AK na przedmieściach Lwowa.

Według Kormana żołnierze UPA w 1943 i 1944 roku poczynili wiele takich wianuszków z dzieci, przybijając je do drzew w alei, którą nazwali „drogą do samostijnej Ukrainy".

Odtąd prac reprodukujących fotografię dzieci nieszczęsnej Cyganki w rolach ofiar ukraińskiej rzezi jest coraz więcej. W 2003 roku Korman wydaje album „Ludobójstwo UPA na ludności polskiej" – zdjęcie z Antoniówki jest jego okładką. Rok później Henryk Komański i Szczepan Siekierka publikują to samo ujęcie w książce „Ludobójstwo dokonane przez nacjonalistów ukraińskich na Polakach w województwie tarnopolskim". Autorzy informują, że to klisza niemieckiego fotografa wojskowego powstała we „wsi Kozówka, powiat Brzeżany, listopad 1943".

Od 2006 roku zdjęcie jest już w Wikipedii, a witryna internetowa Ludobojstwo.pl do dziś prezentuje zdjęcie jako swoje logo. Podpis:

„Łobozowa (?), powiat Tarnopol, jesień 1943 lub 1944 r.”.

Wyrwane żyły

Tarnopol jest małym jak na skalę ukraińską miastem – 230 tys. ludzi. Jego główna atrakcja to jezioro w centrum. Prawie nic nie zostało z pięknego grodu, który w 1540 roku założył hetman wielki koronny Jan Amor Tarnowski. Zostały jeszcze dwa kościoły pamiętające czasy, gdy miasto należało do królowej Marysieńki.

Od rozbiorów w tej okolicy było tylko gorzej. Coraz bardziej prowincjonalny Tarnopil-Tiernopol przypadał kolejno Rosjanom, Austriakom, znowu Rosjanom, w 1941 roku miasto zajęli hitlerowcy, a powiat stał się częścią Generalnej Guberni. Dwa lata później ukraińscy nacjonaliści rozpoczęli na tym terenie czystki etniczne zakończone uśmierceniem – według różnych źródeł – od 60 do 100 tysięcy Polaków.

Sotnie UPA wchodziły do wiosek i zabijały polskich mieszkańców w najokrutniejszy sposób – bo bez użycia broni palnej. Mordowano widłami, kijami, maczugami, piłami, drutem kolczastym, gwoździami. Rusini i Ukraińcy gwałcili polskie kobiety, palili żywcem dzieci i starców. Osobny rozdział tej potwornej historii dopisali członkowie Ochotniczej Strzeleckiej Dywizji SS Galicja. Stworzona przez Niemców i przez nich dowodzona, oficjalnie pobłogosławiona przez greckokatolickie duchowieństwo, przyjęła w swe szeregi 53 tysiące ludzi, w większości sympatyków Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN).

Między 1943 i 1945 rokiem Haliczanie – jak nazywali ich oficjalnie Niemcy – w ramach walki z polską partyzantką pacyfikowali (często razem z UPA) wsie w województwach tarnopolskim, zamojskim,

tarnobrzeskim i w sąsiednich. Ich „szlak bojowy" znaczyły trupy Polaków spalonych w stodołach i kościołach, dzieci uduszonych w studniach razem z matkami, ludzi powieszonych, wbitych na pale itd. Historycy wymieniają wśród tortur takie, które przywodzą na myśl rewoltę Chmielnickiego: skalpowanie, obcinanie nosów, obcinanie kobietom piersi i posypywanie ran solą, wyrywanie żył od pachwiny do stóp, wieszanie ofiar za wnętrzności, przecinanie tułowia piłą, rozrywanie żywego człowieka za pomocą łańcuchów ciągniętych przez konie...

Wśród tych koszmarnych opisów relacje o wieszaniu na kolczastym drucie czy zakopywaniu żywcem w ziemi wydają się już banalne.

Próżno jednak wśród nich szukać świadectwa dotyczącego rzezi w Kozowej, Łozowej, Kozówce czy Łobozowej.

Na pochodzących sprzed wojny mapach powiatu tarnopolskiego nie ma w ogóle takich miejscowości.

Nikt by się jednak pewnie nie zorientował, że zdjęcie jest nieautentyczne, gdyby w Warszawie nie powołano komitetu budowy kolejnego opartego na nim pomnika.

Ta trauma

Odlane z brązu pięciometrowe skrzydlate drzewo, do którego przybite są jak do krzyża małe dzieci, wyobraził sobie i zaprojektował krakowski rzeźbiarz prof. Marian Konieczny, autor m.in. pomników Lenina w Nowej Hucie i Jana Pawła II w Licheniu.

Płk Jan Niewiński, przewodniczący Ogólnopolskiego Komitetu Budowy Pomnika Ofiar Ludobójstwa OUN-UPA, zaakceptował pomysł. – Tylko coś niebywale wstrząsającego jest w stanie

przyciągnąć dziś uwagę ludzi – powiedział „Gazecie" w lutym tego roku.

– Zaprezentowaliśmy makietę pomnika w Galerii Porczyńskich – wspomina dziś żona rzeźbiarza, Maryla. – Oglądał to Lech Kaczyński, pomnik mu się podobał. Panowie mówią teraz, że to pod Radomiem było... że Cyganka... Ale przecież na Kresach naprawdę mordowano ludzi. Są ludzie do dziś noszący w sobie tę traumę, wspaniali kresowiacy. My nie jesteśmy przecież przeciw Ukraińcom, tylko przeciw nacjonalizmom! A na pomniku są zaprojektowane tablice z tekstem o pojednaniu.

Tekst z tablic – prof. Konieczny, sam urodzony w woj. lwowskim, określa go jako swoje credo – brzmi: „Czyż mamy się bać własnej pamięci? Ukrywać pamięć Wołynia i Podola? Zapomnienie o zbrodniach to prosta droga do nowych zbrodni".

„Ten pomnik z całą pewnością pojednaniu nie służy" – napisali do przewodniczącego rady miejskiej stolicy intelektualiści i artyści. W marcu pod listem-protestem podpisali się m.in. Tadeusz Mazowiecki i Andrzej Wajda. W kwietniu radni Warszawy z powodów formalnych nie zgodzili się, by monument stanął na placu Grzybowskim. A w maju prof. Stola ogłosił w „Rzeczpospolitej" wyniki swych badań.

– Pomnik nie jest dokumentem. To artystyczna wizja pokazująca martyrologię najbardziej niewinnych – odpowiedział pułkownik Niewiński.

– Nawet jeśli nie jest to prawda co do konkretnego mordu, jest to prawda o zjawisku – dodał Stanisław Michalkiewicz, rzecznik komitetu budowy pomnika.

Wojna na pomniki

W 2007 r. Teresa Torańska – na łamach „Dużego Formatu" – poprosiła Mariana Koniecznego, by nie stawiał „ukrzyżowanych dzieci" w centrum Warszawy. Rzeźbiarz zgodził się: – Trzeba zmienić lokalizację na cmentarz. Ze względu na międzynarodowy wydźwięk.

Wersję cmentarną zaakceptował też Jan Niewiński. Ale ostatecznie w łonie komitetu budowy przeważyła inna koncepcja: zmienić formę monumentu i pozostać przy placu Grzybowskim.

– Chcemy, żeby odsłonięcie mogło nastąpić 17 września 2008 roku – mówi Michalkiewicz. – Byłaby to pewna symetria, bo we Lwowie planowane jest w tym czasie wzniesienie olbrzymiego monumentu ku czci Stepana Bandery. To chyba dobrze byłoby i w Polsce przypomnieć o banderowcach? Tylko może w inny sposób...

– Mówił pan o cmentarzu, a teraz jednak plac Grzybowski; to jak to wreszcie będzie, panie profesorze? – zapytaliśmy Mariana Koniecznego.

– Ależ panowie! Nie ma się już o co pieklić... Zrobiłem przecież nową wersję.

– Bez ukrzyżowanych dzieci?

– Zapraszam na pokaz.

Chcemy sprawiedliwości!

Pokaz odbył się w Towarzystwie Naukowym Polska-Wschód przy Marszałkowskiej. Do ponurego gmachu dawnego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej przyszła setka kombatantów i

kresowiaków. Eleganckie damy dźwigające na piersiach przedwojenne brosze siadły na wyświechtanych fotelach obok siwych mężczyzn w beretach AK. Prelegent powitał jednego polityka (z PSL), kilku weteranów Września i redaktora Michalkiewicza. – Nie możemy dziś milczeć – zaczął. – Dziś, gdy na Ukrainie znów podnosi łeb hydra zbrodniczego nacjonalizmu, gdy ideologia postbanderowska odżywa, chcemy sprawiedliwości! Chcemy, by zbrodniarze zostali potępieni. By młode pokolenia Ukraińców nie wychowywały się już w oparach banderowskiego szowinizmu!

Nim jeszcze na scenę wszedł redaktor naczelny prawicowego periodyku „Myśl Polska", zebrani ujrzeli nową wersję pomnika, w pierwszej chwili trudną do odróżnienia od poprzedniej: oto drzewo, którego konary przechodzą płynnie w wyciągnięte do nieba skrzydlate ręce. Dramatycznie rozczapierzone palce przywodzą na myśl gest warszawskiej Nike, rozłożone skrzydła – postać Nike z Samotraki. Na drzewie – frontalnie – powieszona młoda kobieta. Jej kształtne nagie piersi nieco odciągają uwagę widza od wiszących obok dzieciątek. Nie ma drutu kolczastego.

– Zbyt wiele to pan nie zmienił, profesorze – mówimy Koniecznemu nazajutrz po spotkaniu.

– Poszedłem nieco bardziej w klimat liryczny – tłumaczy powoli artysta. – Będę jeszcze nad tym pracował dalej, w kierunku symbolizmu...

– Ale dzieci Cyganki jak wisiały, tak wiszą.

– Panowie, tam się takie rzeczy działy. Wieszano na drzewach całe rodziny: dla odstraszenia. To była informacja dla Polaków: uciekajcie

stąd, bo też tak skończycie. A przecież Polacy mieszkali tam od wieków!

– To prawda. Ale przekopaliśmy dziesiątki książek i stron internetowych poświęconych zbrodniom UPA. Oglądaliśmy potworne zdjęcia: ludzi z obciętymi nosami, z wydłubanymi oczami, kobiety z rozprutymi brzuchami. Jednak powieszonej wokół pnia rodziny nie było, zresztą przecież nie o to chodzi, tylko...

– No właśnie! Nie o to chodzi. Chodzi, panowie, o to, żeby się Ukraińcy wreszcie przyznali do zbrodni!

Dyrektor Łoza zamyśla się w swym gabinecie w Tworkach: – Jeśli ten pomnik powstanie, będzie zapewne pierwszym w dziejach monumentem poświęconym upamiętnieniu depresji – najpowszechniejszego problemu współczesnej medycyny.

Tekst ukazał się w „Dużym Formacie" w 2007 r. Pomnik na podstawie zdjęcia ostatecznie nie powstał.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Czy niepełnosprawny po litrze może popełnić mord doskonały?

Poszarzała twarz. 29 lat, z tego ponad sześć za kratami. W więziennym mundurku opada na krzesło. – Wie pan, za co pan siedzi? – pytam. Kiwa głową. – Ale tego nie zrobiłem. – To dlaczego pan tu jest? – Bo się przyznałem.

LUDMIŁA ANANNIKOVA

FOT. SHUTTERSTOCK (ZDJĘCIE ILUSTRACYJNE)

Bronisława i Monika z Tłokini Wielkiej w powiecie kaliskim zostały zabite siekierą. Każda dostała od kilku do kilkunastu ciosów

Do więzienia Wierzchowo w woj. zachodniopomorskim dotrzeć jest niełatwo. Nie dojeżdżają tu pociągi ani dalekobieżne autobusy. Więźniowie, jeśli nie są z okolicy, nie mogą liczyć na częste odwiedziny. Mogą za to dzwonić. Piotr dzwoni do Marty, kuzynki, która jako jedyna odwiedza go regularnie.

Dziadka i brata nie widział kilka lat. Matka bywa raz w roku, jak Marta ją przywiezie. Z domu Piotra w Brzegu koło Sieradza do

więzienia jest 600 kilometrów. Dla niepełnosprawnej intelektualnie kobiety to ogromna odległość.

Piotr też jest niepełnosprawny. IQ 62, rozwój umysłowy na poziomie 12-latka. Mówi niewyraźnie, myli daty. Na większość pytań odpowiada „nie wiem". Pewnie się czuje tylko, gdy opowiada o czymś dobrze znanym, na przykład o więziennym życiu, na które nie narzeka. Ma zapewnione jedzenie, dach nad głową, ubrania. Poza murami żył w biedzie.

Pracuje w szwalni i jako porządkowy przy obiedzie. Żyje od widzenia do widzenia. – Gdybym był blisko domu, matka bywałaby częściej. A tak widzimy się raz w roku przez dwie godziny. O czym tu rozmawiać? – opowiada Piotr.

O istnieniu Piotra Mikołajczyka dowiedziałam się ze strony Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. „Wmówione morderstwo" – brzmiał tytuł komunikatu. Wynikało z niego, że został niesłusznie skazany na 25 lat więzienia.

Kuzynka Piotra Marta Kaźmierczak-Mielczarek, instruktorka jazdy z Warszawy, od sześciu lat zachodzi w głowę, jak jej niepełnosprawny kuzyn zdołał popełnić zbrodnię doskonałą.

Piotr urodził się w 1988 roku, ojciec – rolnik, matka – niepełnosprawna intelektualnie. Od dziecka jest lękliwy, często płacze. Powtarza zerówkę i pierwszą klasę, w piątej wciąż nie umie płynnie czytać ani obliczyć miary kąta w trójkącie. Gdy ma 14 lat, lekarze diagnozują lekkie upośledzenie umysłowe. Edukację kończy na gimnazjum, żyje z dorywczych zleceń. Czasem wypije piwo z kolegami. Nie ma kłopotów z prawem.

W 2010 roku u producenta płotów w Opatówku poznaje Zdzisława ze wsi Tłokinia Wielka w powiecie kaliskim. W maju zaczyna u niego pracę. Ma pomagać jemu i jego bratu w gospodarstwie. Bracia kwaterują Piotra w stodole. Pracuje od rana do wieczora. Płacą mu 200 złotych miesięcznie, czasem dostaje piwo i ubrania. Matka braci, emerytka, pilnuje, żeby pracownik zjadł i się wykąpał.

Krew i siekiera

Tłokinia to kilkadziesiąt murowanych domów, dwa sklepy i kościół. Tylko jeden dom jest drewniany, stoi u zbiegu dwóch głównych dróg. Choć jest pusty od siedmiu lat, w oknach wciąż wiszą białe koronkowe firanki. Jeszcze w 2010 roku mieszka w nim 78-letnia Bronisława z najmłodszą, 44-letnią córką Moniką i 12-letnią wnuczką Kasią. Starsze dzieci Bronisławy – Barbara i Stanisław – też mieszkają w Tłokini. Dostali od rodziców działki i się pobudowali.

Monika jest niepełnosprawna intelektualnie, rodzice zapisali jej w testamencie swoje gospodarstwo – około 3 hektarów i dom. Gdy ojciec zmarł, odziedziczyła po nim połowę. Druga połowa nadal należy do matki. Według policyjnej notatki wartość majątku Moniki może sięgać nawet pół miliona złotych.

Kobiety żyją jednak biednie. Utrzymują się z emerytury Bronisławy, renty Moniki i alimentów na Kasię. Rolę oddały w dzierżawę, ale dochody z tego marne. Czasem dostają od dzierżawców warzywa.

3 listopada 2010 roku, kilka minut przed ósmą, Monika odprowadza córkę na przystanek autobusowy. Kasia jedzie do szkoły. Do domu wraca o piętnastej. Wchodzi do sieni. W drzwiach do pokoju, w kałuży krwi, leży babcia. Stęka. W głębi widzi leżącą matkę. Biegnie

do mieszkającej naprzeciwko ciotki Barbary, ale nie ma jej w domu. Dzwoni na pogotowie.

Ratownicy wzywają policję. Monika już nie żyje, ale Bronisława jeszcze oddycha. Pytają ją, kto to zrobił. Rusza ustami, ale żaden dźwięk się nie wydobywa. Umiera dwie godziny później w szpitalu. Bronisława i Monika zostały zabite siekierą. Każda dostała od kilku do kilkunastu ciosów, ile dokładnie, nie ustalono.

Przesłuchania sąsiadów i krewnych niewiele dają: nic nie widzieli, nie słyszeli, wszyscy mają alibi. Córka Barbara mówi policjantom, że między jej matką a rodziną brata był konflikt majątkowy – omal nie doszło do licytacji gospodarstwa rodziców za długi, które w rzeczywistości były długami brata. Twierdzi, że z domu ofiar zginął testament i 8 tysięcy złotych, ale śladów plądrowania nie ma. Sama też przyznaje się do konfliktu z bratem. Mówi, że się go boi.

Marcin, syn brata Stanisława, przedstawia odwrotną wersję. Jego zdaniem to Barbara chciała przyjąć gospodarstwo rodziców. Rzuca również cień na jej syna: jest niezrównoważony, skatował psa, podpalił krzewy na podwórku.

Policyjna ekipa znajduje w domu ofiar poplamiony krwią kaptur z kurtki Moniki. Prawdopodobnie oderwał go morderca. Technicy ustalają, że jedna z plam krwi na kapturze nie należy do ofiar. Na kostce mydła odkrywają zmieszane DNA, a na drzwiach – krwawy odcisk palca. Z podłogi pobierają ślad buta.

Policjanci oglądają monitoring z posesji naprzeciwko, robią notatkę, ale nie zabezpieczają nagrania. Według notatki Monika odprowadza córkę, a potem wraca do domu z zakupami. Świadkowie zeznają później, że była w sklepie jeszcze raz, ale notatka milczy, by znów

wychodziła. Podobnie jak o tym, że na posesji obok, należącej do brata Stanisława był tego dnia komornik. Nie wiadomo też, czy ktoś poza Moniką i Kasią wchodził i wychodził z domu ofiar.

Trzy dni po zabójstwie kaliska policja występuje o zgodę na założenie podsłuchu Marcinowi, synowi Stanisława. Uzasadnienie: mają materiał wskazujący, że może być sprawcą podwójnego zabójstwa, muszą zebrać dowody. Z podsłuchów policjanci dowiadują się, że ma sprawę o alimenty i kilka tysięcy złotych długu, ale nic o zabójstwie. „Nic na mnie nie znajdą" – mówi do matki na jednym z nagrań.

Policja porównuje DNA Marcina ze śladami znalezionymi na miejscu zbrodni. Nie zgadza się. Badanie wariografem wykazuje, że Marcin mógł kłamać na przesłuchaniu. „Reakcje (...) nie pozwalają na wykluczenie go z kręgu osób bezpośrednio związanych ze zdarzeniem w sensie aktywnego uczestnictwa" – piszą eksperci.

W styczniu policyjni psycholodzy profilerzy odtwarzają prawdopodobny przebieg zdarzenia i sporządzają profil sprawcy. Według nich to mężczyzna w wieku 25-40 lat, o przeciętnej inteligencji, silny i sprawny fizycznie. Myśli racjonalnie, dobrze radzi sobie ze stresem, jest agresywny, nastawiony na realizację celów. W sytuacji porażki działa gwałtownie, ma niski poziom empatii i lęku, jest znany ofiarom. Wykluczają motyw seksualny. Ich zdaniem sprawca przyszedł do ofiar, bo chciał uzyskać dla siebie coś ważnego, niekoniecznie pieniądze. A kiedy kobiety się nie zgodziły, wpadł w furię, chwycił kuchenny tasak albo siekierkę i zaatakował. Przypuszczają, że miał wspólnika, który pomagał mu zacierać ślady.

Zimny prysznic

Osiem miesięcy po zabójstwie policja wciąż nie ma podejrzanego. W lipcu prokurator z Kalisza Marcin Urbaniak wydaje postanowienie o przedłużeniu śledztwa o dwa miesiące. Nakazuje uzupełnić dowody, w tym zbadać wariografem siostrę Marcina Milenę. Wariograf wykazuje, że siostra z pewnością nie zabiła, ale może wiedzieć, kto to zrobił, i celowo wprowadzać w błąd organy ścigania. Podobny wynik ma ojciec Marcina. Ale wariograf to żaden dowód, a innych nie ma.

8 sierpnia 2011 roku policja zjawia się w Brzegu u Mikołajczyków. Ktoś doniósł, że Piotr był w Tłokini w czasie zabójstwa i wyjechał następnego dnia. Policjanci wiedzą już od pracodawców Piotra, że może być niepełnosprawny. Zabierają go na komendę. Ma tak brudne spodnie, że na siedzenie w radiowozie kładą tekturę, żeby go nie pobrudził.

– Obiecali, że jeszcze tego samego dnia odwiozą go do domu. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że przyznał się do podwójnego zabójstwa – wspomina kuzynka Marta.

– Miałem być jako świadek, ale potem oni powiedzieli, że mają wszystkie dowody, więc niech pan lepiej się przyzna. I się przyznałem niepotrzebnie. No bo jak mają dowody, no nie? Powiedzieli, że będę miał mniejszy wyrok. Naciskali, wrzucali pod prysznic, pod zimną wodę. Byłem po alkoholu, chciałem mieć spokój, w końcu się przyznałem – opowiada Piotr podczas naszego spotkania w więzieniu. Opowiadał to też w sądzie. Policjanci zaprzeczyli, a sąd im uwierzył.

W zaprotokołowanych zeznaniach złożonych na komendzie 8 sierpnia jest znacznie bardziej wylewny. O zdarzeniu opowiada tak:

Poznał Monikę na podwórku u pracodawców. Spotkali się u niej w domu i uprawiali w kuchni seks. Dziecka wtedy nie było, a matka Moniki była w pokoju obok. Tydzień później Piotr znów poszedł do Moniki, ale jej nie zastał. Zaczął rozmawiać z Bronisławą. Po kwadransie wróciła Monika i zaczęła się z matką szarpać. Chciał je rozdzielić, a wtedy Monika upadła, a on uderzył Bronisławę w głowę. Monika próbowała uciec, więc złapał ją za kaptur i uderzył trzy razy młotkiem, który „zawsze nosił ze sobą". Następnie uderzył Bronisławę. Po czym udał się na posesję, gdzie mieszkał, przebrał się w stodole, zakrwawione ubrania spakował do siatki i wywiózł do Brzegu, a młotek wyrzucił na stojącą na posesji ciężarówkę ze złomem.

Pod zeznaniami widnieje ciąg krzywych liter: „Piotr Mikołajczyk". Taki sam jak pod oświadczeniem, że nie żąda powiadamiania nikogo o zatrzymaniu, nie będzie składał zażalenia i nie żąda kontaktu z adwokatem.

Pytam Piotra, jak powstawały zeznania.

– Oni wymyślili, ja tylko potwierdziłem.

– Czytał pan protokół?

– Z grubsza...

– Po co się pan przyznał?

– Żeby mieć spokój. Skoro mają świadków...

– Ale jakich świadków, skoro mówi pan, że pana tam nie było?

– Dopiero później zacząłem się zastanawiać. Jak drzwi celi się zamknęły.

Brunatna plama

Policja przeszukuje dom Piotra. Zabiera krótkie dżinsowe spodenki, bo mają brunatne plamy.

Tego samego dnia Piotra przesłuchuje prokurator. Teraz jest już podejrzanym, inaczej też zeznaje: zamiast młotkiem zabił toporkiem, który wziął z garażu pracodawcy; przed pójściem do zamordowanych wstał o szóstej rano i wypił litr wódki i cztery piwa; nie poszedł spotkać się z Moniką, tylko żeby „uciszyć babkę", która poprzednio go „zwyzywała".

Piotr dodaje, że kiedy uprawiał seks z Moniką, w domu była jej córka Kasia. I że po morderstwie opłukał się w kuchennym zlewie. Co z odzieżą? Zakrwawione ubranie i trampki spakował do siatki razem z siekierą i zawiózł do Brzegu. Siekierę wyrzucił do akwenu Jeziorsko niedaleko domu, a buty i koszulkę spalił. Zostawił tylko spodenki. Czemu? Prokurator nie pyta, a Piotr nie odpowiada.

Dzień później w prokuraturze dodaje: mówił o młotku zamiast o siekierze, bo liczył, że zostanie łagodniej potraktowany.

Zeznania Piotra są napisane bogatym słownictwem, zdaniami złożonymi, których nikt od niego nigdy nie słyszał. – Z reguły odpowiada tak, nie, nie wiem. Nie wierzę, że w protokole są jego słowa – mówi kuzynka Marta.

Ma więcej wątpliwości: – Majtek nie zmieni bez napominania, a tu nagle się sam umył, przebrał i spalił ubrania? A co ze spodenkami? Zostawił na pamiątkę? Te krótkie spodenki w ogóle nie były jego,

tylko jego wujka. Znam Piotra od dziecka i nigdy nie widziałam go w krótkich spodenkach, nawet jak było 35 stopni na plusie. A wtedy był listopad!

Według policyjnej notatki temperatura w dniu zabójstwa wynosiła 5 stopni Celsjusza.

We wrześniu Marta odwiedza Piotra w areszcie. – Musiałam mu powiedzieć, że jego ojciec nie żyje. Załamał się po jego zatrzymaniu, zmarł na serce. Piotrek siedział za szybą, nie mogłam go nawet przytulić. W kółko pytałam, czy jest winny, czy był w tym domu, czy ktoś go namówił. Straszyłam: „Przyznaj się, bo więcej nie przyjadę". Nie powiem, że nie miałam wątpliwości. Ale Piotr powtarzał, że tego nie zrobił. Pamiętam też, jak się zachowywał po powrocie z Tłokini – wspomniał, że zabito jakieś kobiety, ale to tyle. Nie chciał uciekać, nie był zmartwiony. A w areszcie powiedział mi, że nie wolno mu mówić o sprawie, bo „oni słuchają". To było dziwne. Nawiązałam nawet kontakt z osobami, z którymi siedział w areszcie w Potulicach, Łodzi, Ostrowie Wielkopolskim. Wszyscy mówili, że nie przyznał się przed nimi do zabójstwa.

Wszyscy wszystkiemu zaprzeczają

Piotra badają biegłe z zakresu psychologii i psychiatrii. Zalecają, by przyznać mu prawnika z uwagi na „obniżony potencjał intelektualny". Potwierdzają, że ma IQ 62, znacznie poniżej normy, deficyty poznawcze i obniżoną zdolność myślenia abstrakcyjnego, jest podatny na sugestie innych. Nie tworzy wyrafinowanych zdań, mówi pojedynczymi słowami. Dłuższe wypowiedzi – jeśli naprowadzi się go pytaniem.

W rozmowie z biegłymi Piotr nie przyznaje się do winy. Twierdzi, że wcześniej się przyznał, bo policjanci obiecali mu łagodniejszy wyrok. Mimo to biegli orzekają, że rozumie „zasady życia społecznego" i zdawał sobie sprawę ze swoich czynów, a fakt, że się teraz nie przyznaje, może być jego linią obrony.

W październiku Piotr pierwszy raz spotyka się z adwokatem z urzędu – Moniką Krenc. Od tego momentu odmawia składania zeznań. Krenc wraz z asystentem Tomaszem Górskim jedzie do Mikołajczyka do aresztu. – Ciężko było cokolwiek od niego wyciągnąć, bardzo nieskładnie mówił. To na pewno człowiek upośledzony – wspomina dziś Górski.

Opowiada, jak się spotkali później w sądzie. – Był radosny, jakby nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Krzyczał do mnie na cały korytarz „Czeeeść!". A potem na rozprawie szturchał panią mecenas w ramię, żeby jej powiedzieć, że się spotkaliśmy.

Krenc: – Opowiadał, że Marta przywiezie mu krzyżówki. To go interesowało bardziej niż sąd.

Na zabezpieczonych spodniach zamiast krwi biegli znajdują farbę. Nie ma dowodów obecności Mikołajczyka na miejscu zbrodni, a przecież muszą być, skoro otwierał kran, a potem zamykał za sobą drzwi. Brak też narzędzia zabójstwa.

Bracia pracodawcy zeznają na policji, że odwieźli Piotra do domu, bo się wystraszyli: po zabójstwie policjanci chodzili po domach, a oni trzymali go na czarno. Zaprzeczają, by Piotr kiedykolwiek rozmawiał przy nich z Moniką, a ciężarówka ze złomem została wywieziona na długo przed zabójstwem. Nie odnotowali też, by zginęły im jakieś narzędzia. Córka Moniki twierdzi, że nigdy Piotra

nie widziała. Nie słyszała, by babcia i mama kłóciły się o mężczyznę. Kłótnie były o wujka Stanisława i ziemię.

Tylko policjanci są przekonani o winie Piotra. Przesłuchiwani jako świadkowie (przez kolegę policjanta i prokuratora) twierdzą, że podał szczegóły. Poza tym był nerwowy: dużo pił, wymiotował, korzystał z toalety. Ale jeden przyznaje, że podpuścił Mikołajczyka: powiedział, że mają dowody jego winy, a ten „po przedstawieniu mu prawdopodobnego przebiegu zdarzenia potwierdził w nim swój udział".

Prokurator: umówili się na współżycie

W grudniu 2011 roku prokurator Marcin Urbaniak uznaje Mikołajczyka za winnego. Nie podważa motywu seksualnego. Jego zdaniem 23-letni Piotr i 44-letnia Monika to osoby „o obniżonym poziomie rozwoju intelektualnego", więc nic dziwnego, że umówili się na współżycie bez głębszej znajomości.

Według aktu oskarżenia Mikołajczyk wieczorem 3 listopada chciał odwiedzić Monikę, ale wiedział, że jej matka będzie przeszkodą, dlatego z rana się upił, poczekał, aż Monika wyjdzie z domu, i poszedł się rozprawić ze starszą kobietą. Zabrał ze sobą „siekierę czy też toporek", po wejściu do domu spytał Bronisławę, czy jest Monika, a kiedy kobieta zaczęła na niego krzyczeć, zdenerwował się i uderzył ją siekierą w głowę. Następnie zaatakował Monikę, która wróciła z zakupów. Próbowała uciec, ale złapał ją za kaptur. Po zabójstwie wrócił do stodoły, a nazajutrz poprosił pracodawcę o odwiezienie do domu. Było mu to na rękę, więc go zawiózł.

Prokurator przyjmuje, że narzędzie zbrodni spoczywa w Jeziorsku, ale jego szukanie uważa za „bezprzedmiotowe". Mikołajczyk nie

powiedział, gdzie je wyrzucił, a zbiornik ma 42 kilometry kwadratowe. Prokurator podkreśla, że Piotr trzykrotnie przyznał się do winy – dwa razy przed prokuraturą i raz przed sądem, gdy ten decydował o jego aresztowaniu.

Sędzia kontra ławnik

W lutym 2012 roku zaczyna się proces. Piotr się nie przyznaje. Nie umie wytłumaczyć, czemu wcześniej się przyznał. Na większość pytań odpowiada „nie wiem". Mówi, że podczas przesłuchań odpowiadał policjantom, a układ ciał widział na zdjęciach, które mu pokazano.

Policjanci zeznają różnie – jeden twierdzi, że Piotr opowiedział o zabójstwie „spontanicznie", drugi, że dopiero po dłuższej rozmowie, a wcześniej zaprzeczał. Córka Moniki Kasia powtarza, że nigdy Piotra nie widziała, a pracodawcy Mikołajczyka, że nie pamiętają, by pił, i że nigdy nie chodził w krótkich spodenkach. Zdzisław przypomina sobie, że w dniu zabójstwa wieczorem Piotr był u nich w domu, oglądał telewizję i „zachowywał się normalnie". Oraz że przebierał się ostatni raz na 1 listopada, a jak go odwoził, to śmierdział od niemycia. „Gdyby się przebierał, toby nie śmierdział" – wywodzi w sądzie.

Matka Piotra zeznaje, że to ona rozpakowywała siatki syna po powrocie i nie widziała w nich siekiery ani zakrwawionych ubrań, choć część z nich rzeczywiście spaliła – były zbyt brudne i zniszczone, by je zostawić.

A co ze spodniami, na których zamiast krwi znaleziono farbę? Prokurator sugeruje, że Mikołajczyk mógł użyć wybielacza. Choć nie ma na to dowodów, sąd uznaje tę tezę za wiarygodną.

Na piątej rozprawie, w kwietniu 2012 roku, sędzia Andrzej Miller skazuje Mikołajczyka na dożywocie, choć prokurator wnioskował o 25 lat. W uzasadnieniu tłumaczy, że najwyższy wymiar kary ma chronić społeczeństwo przed takimi zdemoralizowanymi osobami jak Mikołajczyk.

– Wiedzieli, że nie ma komu o niego zawalczyć – mówi Marta. Nie tylko ona nie zgadza się z wyrokiem. Po wyroku zdanie odrębne składa jeden z ławników. Widzi zbyt wiele wątpliwości, które „nie pozwalają przyjąć jednoznacznie, że zabójcą jest Piotr Mikołajczyk". „Moje sumienie nie pozwalało mi na doprowadzenie do skazania tego człowieka (...). Według mnie skazanie go jest pomyłką, a zabójca bądź zabójcy nadal pozostają na wolności" – pisze.

Wieś wie swoje

W trakcie procesu Marta jeździ do Tłokini, prowadzi własne śledztwo. – Chodziłam od domu do domu, pytałam ludzi. Dziwna wioska. Prawie wszyscy spokrewnieni, spowinowaceni. Byli uprzejmi, ale mnie zbywali. Nikt nie rzucił nazwiska, podejrzenia, ale mówili, że to na pewno nie Piotrek. A najlepszy był ksiądz. Powiedział, że wieś wie, kto zabił, ale skoro milczy, on też będzie milczał – opowiada Marta.

– To była nadinterpretacja moich słów – mówi proboszcz parafii w Tłokini ksiądz Jacek Paczkowski. – Powiedziałem tylko, że ludzie mają wątpliwości, bo choć człowieka skazano, to nie znaleziono wyraźnego motywu, narzędzia zbrodni i innych dowodów. Nie znałem skazanego, więc nie mogę ocenić, czy był zdolny do zabójstwa, ale znałem osoby zamordowane. To były porządne kobiety, spokojne, niebogate, więc tym bardziej to zabójstwo było dziwne.

– Co ksiądz myśli o konflikcie majątkowym w tej rodzinie?

– Konflikty są w wielu rodzinach, jak to na wioskach, „ten nie przepisał tego, ten tamtego". Nie powiem, żebym do momentu zbrodni słyszał o jakimś dramatycznym konflikcie.

Do Tłokini docieram wczesnym popołudniem. W wiosce pusto, mieszkańcy wyjechali do pracy. Zastaję tylko Barbarę, córkę i siostrę zamordowanych. Przez dziurę w ogrodzeniu przeciskamy się na działkę jej matki i siostry. Jest przekonana, że to nie Piotr zabił.

Apelacja: uchylić wyrok

– To jedyna sytuacja w mojej karierze, gdy mogę powiedzieć z niemal stuprocentową pewnością, że skazano niewłaściwą osobę. Dlatego choć była to sprawa z urzędu, cała kancelaria się w nią zaangażowała – mówi Monika Krenc, adwokatka.

– W więzieniu ma zapewniony byt. Ale to nie znaczy, że powinien tam przebywać, kiedy brak jest dowodów jego winy. Od momentu uzyskania przyznania się sąd i prokuratura zrobiły zbyt mało, aby je zweryfikować – mówi Marcin Wolny z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, która dołączyła do sprawy jako obserwator.

Adwokatka odwołuje się od wyroku. Zarzuca sądowi, że wybiórczo potraktował fakty i skazał Mikołajczyka bez dowodów. Nikt nie potwierdził, że miał konflikt z Bronisławą, że spotykał się z Moniką, że chodził w listopadzie w krótkich spodenkach. A fakt, że to potwierdził sam Piotr, wskazuje, że zeznania stworzyli policjanci. Nie ma dowodów na pranie spodenek w wybielaczu. Nielogiczny wydaje się też motyw – jeśli chciał uprawiać seks z Moniką, to

czemu nie w stodole? Dlaczego wybrał pójście do niej i zabicie jej matki?

Krenc kwestionuje również sam przebieg zdarzenia. Bo według prokuratury Monika po powrocie z zakupów, zamiast rzucić siatki i podbiec do zakrwawionej matki lub uciekać, przeszła przez nią w głąb pokoju, by odłożyć zakupy.

Krenc chce też, by zbadano, czy po wypiciu litra wódki i czterech piw osoba postury Mikołaczyka dałaby radę dojść niezauważona do domu ofiar i zabić, nie pozostawiając śladów. Oraz jakim cudem, przy tylu promilach i problemach z pamięcią, Piotr po roku dokładnie pamiętał ułożenie ciał, dzień tygodnia i datę, kiedy doszło do zabójstwa, skoro mieszkał w stodole bez zegarka, telefonu i kalendarza? Niemożliwe też, żeby nie wytropił go pies z odległości stu metrów, skoro śmierdział alkoholem i brudem.

Adwokatka ma zarzuty do biegłych. Czy nie zauważyły, że Mikołajczyk zeznawał różnie tego samego dnia? Dlaczego ich opinia nie pokrywa się z wcześniejszymi opiniami lekarzy? Czy nie zdziwiło ich, że sposób, w jaki się Piotr wypowiada, ma się nijak do treści protokołu? Chce też przesłuchania policyjnych psychologów, który stworzyli profil sprawcy. Jak to możliwe, że Mikołajczyk w ogóle do niego nie pasuje?

Sąd *A*pelacyjny w Łodzi uchyla wyrok. Zarzuca organom ścigania, że przez 10 miesięcy, mimo „obfitości materiału genetycznego", ujawnionego „zakorzenionego konfliktu na tle majątkowym" w rodzinie, a także licznych czynności weryfikujących, nie zdołały ująć zabójcy. Wytyka również zaniechania na etapie zbierania dowodów. Przykład? Policja nie przebadała czterech siekier znalezionych dzień po zabójstwie na posesji zamordowanych, ale

przebadała kilof znaleziony trzy tygodnie później. Nie zbadano, czy w mieszaninie DNA z miejsca zbrodni są ślady Mikołajczyka. Oraz czy znaleziony ślad buta odpowiada jego rozmiarowi obuwia.

Sąd: odwołał zeznania, ale jednak je złożył

W lutym 2014 roku rusza drugi proces. Piotr nadal się nie przyznaje.

Sąd, próbując naprawić wcześniejsze błędy, każe zabezpieczyć monitoring z posesji naprzeciwko, ale po czterech latach nagrań nie ma. Nakazuje zbadać, czy był użyty wybielacz. Biegli odpowiadają, że po tylu miesiącach nie da się tego ustalić. Przesłuchiwani są pracodawcy Piotra i ich matka, ale nie pamiętają, co robił on tego dnia. Nadal nie ma dowodów, że Piotr był na miejscu zbrodni. Ale sąd uznaje, że nie ma alibi. I znów skazuje go, tym razem na 25 lat. „Sąd nie znalazł powodów, by uznać wyjaśnienia oskarżonego, w części, w której przyznaje się do sprawstwa, za niewiarygodne" – pisze w uzasadnieniu sędzia Krzysztof Patyna.

Tłumaczy, że choć Mikołajczyk odwołał zeznania, to nie zaprzeczył, że je złożył. Znajduje też wyjaśnienie dla innych wątpliwości. Dlaczego córka Moniki nie widziała, jak odwiedzał jej matkę? Pewnie spała. Skąd pewność, że Monika miała kontakt z Piotrem? Spotykała się z innymi mężczyznami. Budowa zdań w zeznaniach? Zostały zredagowane przez przesłuchującego, a Piotr rozumiał, co podpisuje. Sąd nie wierzy, by policjanci grozili Piotrowi pobiciem ani by wmówili mu zabójstwo. Nie wymyśliliby przecież, że zabójca zaatakował młotkiem, skoro wiedzieli, że to była siekiera. Nie widzi też motywu zbrodni w rodzinnym konflikcie majątkowym.

Kasacja oddalona

Monika Krenc znów składa apelację, ale tym razem Sąd Apelacyjny w Łodzi ją oddala.

Prosi o pomoc Helsińską Fundację Praw Człowieka, a ta znanych adwokatów – Jana Mydłowskiego i Jacka Dubois – żeby napisali kasację. Przekonują w niej, że w przypadku Mikołajczyka mogło dojść do zjawiska „zinternalizowanego fałszywego przyznania się" – przesłuchiwany o określonych właściwościach psychicznych, z uwagi na zastosowane wobec niego techniki przesłuchania, zaczyna wierzyć, że popełnił przestępstwo, albo przyznaje się, chcąc poprawić swoją sytuację. Według amerykańskich badaczy najbardziej narażone na wymuszone przyznanie się są osoby niepełnosprawne intelektualnie, młode, ufne, podatne na sugestie, o niskim ilorazie inteligencji.

Kasacja zostaje jednak oddalona. Zdaniem Sądu Najwyższego nie ma dowodów, by w tej sprawie wystąpiło to zjawisko oraz by policja stosowała psychomanipulację. Piotr mógł swobodnie się wypowiadać w sądzie i prokuraturze, a więc już wtedy mógł odwołać zeznania złożone na policji. Sąd wątpi też, by w sytuacji stresowej i przy swojej słabej pamięci mógł zapamiętać wszystkie szczegóły podane przez policję, co ma pośrednio wskazywać na jego winę. Dodaje też, że choć w sprawie jak ta samooskarżenie należy traktować szczególnie ostrożnie, nie można zarzucić sądowi II instancji, że tego nie zrobił.

– Sąd Najwyższy mógł poruszać się w wyznaczonych dla niego ramach i badał jedynie postępowanie drugiej instancji. Tymczasem największe grzechy popełniono w pierwszej, co miało wpływ na cały proces – wyjaśnia Marcin Wolny z Fundacji Helsińskiej. I wymienia: – Źle pobrano odciski palców z ciał ofiar, nie

zabezpieczono monitoringu i oparto śledztwo na absurdalnym motywie, który nie został potwierdzony. Od razu nasuwa się przypuszczenie, że motyw seksualny podsunęli policjanci, bo z reguły rozpatruje się go jako jeden z pierwszych.

Fundacja: wmówili morderstwo

W lutym 2017 roku Fundacja Helsińska składa skargę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Uważa, że w sprawie Mikołajczyka naruszono art. 6 europejskiej konwencji praw człowieka gwarantujący każdemu prawo do rzetelnego procesu. Zwraca uwagę, że konwencja zakazuje zmuszania podejrzanego do oskarżenia samego siebie. Gwarantuje mu też dostęp do obrońcy. „Te uchybienia przesądziły o braku rzetelności postępowania" – pisze Fundacja.

Także według polskiego prawa obrońca musi uczestniczyć w postępowaniu od samego początku, jeśli są wątpliwości co do poczytalności oskarżonego. – Takie wątpliwości były, a mimo to do pierwszego spotkania Piotra z adwokatem doszło dopiero po dwóch miesiącach, kiedy już złożył obciążające go zeznania – mówi Wolny. – Policjanci, wiedząc, że może być niepełnosprawny, powinni byli lepiej pouczyć go o przysługującym mu prawie do obrony, ale tego nie zrobili. Nie został wyraźnie zapytany, czy chce adwokata. Pouczono go jedynie, że może go mieć.

Inny zarzut to wprowadzenie Mikołajczyka w błąd co do jego roli w procesie. – Najpierw był przesłuchiwany nieformalnie, potem jako świadek, a więc musiał mówić prawdę pod rygorem odpowiedzialności karnej. Dopiero na końcu został podejrzanym. Jako podejrzany mógł odmówić składania wyjaśnień, ale Piotr tego

nie rozumiał. Nawet osoba sprawna intelektualnie mogłaby się pogubić. To było naruszenie jego praw – mówi Wolny.

Fundacja pisze też, że funkcjonariusze wykorzystali fakt niepełnosprawności Piotra i wmówili mu, że jest mordercą. „Świadczą o tym zeznania. Nie ma rozgraniczenia na pytania i odpowiedzi, zawierają zdania złożone, metafory, wyszukane słownictwo, którym skarżący się nie posługuje. Tezę tę potwierdza brak innych dowodów" – pisze fundacja.

Wolny: – Policjanci bardzo chcieli wykryć sprawcę zabójstwa, bo psuło im to statystyki. Mieli też obiecaną nagrodę od komendanta.

Prokurator Marcin Urbaniak nie chce rozmawiać o szczegółach. Bo „sprawa zakończona, kasacja oddalona, więc on nie ma nic do dodania". Pytam, czy samooskarżenie to wystarczający dowód, by skazać człowieka na 25 lat. Urbaniak tłumaczy, że prokuratura, gdy ma uzasadnione podejrzenie co do sprawstwa, musi skierować akt oskarżenia. Dodaje, że nie on skazał Piotra, tylko sąd, ale zgadza się z wyrokiem.

Rzeczniczce Sądu Okręgowego w Kaliszu zadaję jedno pytanie: dlaczego mimo tylu wątpliwości, zeznań świadków, a także braku dowodów rzeczowych Piotr został skazany? Kiedy jedna z głównych zasad prawa głosi, iż sąd przy braku dowodów musi rozstrzygać wątpliwości na korzyść oskarżonego.

– Sąd po przeprowadzeniu materiału dowodowego uznał, że posiadane dowody są wystarczające do wydania wyroku – mówi Ewa Głowacka-Andler, rzeczniczka sądu. Podkreśla, że dla sądu wina Mikołajczyka nie budziła wątpliwości. – Sprawa przeszła przez wszystkie instancje odwoławcze. Gdyby były wątpliwości co do

orzeczenia sądu kaliskiego, to wyrok zostałby uchylony, ale sądy kontrolujące nie miały wątpliwości – dodaje.

Ile jest niesłusznych skazań?

W 2012 roku Polska ratyfikowała konwencję praw osób niepełnosprawnych: zobowiązała się do dostosowania procedury prawnej do potrzeb osób niepełnosprawnych, ale wciąż tego nie zrobiła. – Zeznania nie zawsze są nagrywane, nie ma wdrożonych form komunikacji alternatywnej ani standardów postępowania w przypadku osób z niepełnosprawnością intelektualną, a świadomość przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości na ich temat wciąż jest niska – mówi dr Monika Zima-Parjaszewska, doktor nauk prawnych, prezeska Polskiego Stowarzyszenia Osób z Niepełnosprawnością Intelektualną. – Gdyby ten człowiek był pokrzywdzonym, prawdopodobnie zostałby uznany za osobę niewiarygodną, niezdolną do postrzegania, zapamiętywania i relacjonowania faktów – tak wskazuje doświadczenie wielu organizacji pozarządowych. Ale kiedy jest oskarżonym, okazuje się, że jest komunikatywny, świadomy, można go oskarżyć i może ponosić odpowiedzialność karną. Takie praktyki to dyskryminacja i naruszenie konwencji o prawach osób z niepełnosprawnościami. Oczywiście nie znaczy to, że wśród osób z niepełnosprawnością nie ma przestępców, ale muszą być szczególne zasady postępowania w stosunku do nich – komentuje ekspertka.

– Mam nadzieję, że ta sprawa pomoże ruszyć temat niesłusznych skazań, o których w Polsce się nie mówi – mówi Wolny. Przypomina sprawę niepełnosprawnego Tomasza skazanego – też na podstawie samooskarżenia – na 15 lat za zabójstwo i zgwałcenie dziecka. – Trzy lata później w okolicy doszło do podobnego przestępstwa. Złapano sprawcę, który przyznał się również do

tamtego zabójstwa. Pan Tomasz został uniewinniony, otrzymał 300 tysięcy złotych odszkodowania, ale trzy lata z życia miał wyjęte. Piotr, czekając na Strasburg, może stracić nawet dekadę.

Prezydent Andrzej Duda podpisał ustawę o Sądzie Najwyższym, która wprowadza możliwość składania skarg nadzwyczajnych na prawomocne wyroki sądów z ostatnich 20 lat. Będą mogli to zrobić m.in. prokurator generalny i rzecznik praw obywatelskich. Rzecznik Adam Bodnar zapowiedział już, że będzie korzystał z tego prawa. Przepis zacznie obowiązywać w marcu.

Pytam Wolnego, czy Fundacja zwróci się do rzecznika z prośbą o złożenie skargi w sprawie Mikołajczyka. – Rozważamy taką opcję w przypadku każdej sprawy dotyczącej pomyłki sądowej, którą się zajmowaliśmy. Również w sprawie Piotrka – odpowiada adwokat.

Tekst ukazał się w „Dużym Formacie" w 2018 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Krystynę zabili mąż z synem, dostali rok i siedem lat

Sąsiad zeznał: Pani z opieki społecznej powiedziała jej, że Niebieska Karta to wstyd dla rodziny. Może by ją wycofała? Tak zrobiła.

PAWEŁ PIOTR RESZKA

FOT. SHUTTERSTOCK (ZDJĘCIE ILUSTRACYJNE)

Patolog zwrócił uwagę na siniaki. Na ciele Krystyny było ich sporo – starych i nowych

Siniaki były wszędzie: na ręce, na łydce, na udach, na kolanach. Wystarczyło tylko dotknąć, nawet niezbyt mocno, i już. Taka właściwość. Siniak, gdy krowa machnie ogonem; kolejny, kiedy człowiek otrze się o framugę, wychodząc z pokoju; następny, gdy niechcący uderzy, niosąc bańkę z mlekiem, albo przyklęknie na chwilę. I tak cały czas. A kiedy ktoś zapyta, wciąż trzeba tłumaczyć. Więc gdy sąsiedzi pytali, Krystyna wyjaśniała – ma wrażliwe ciało. Na przykład wtedy, gdy tydzień przed świętami zaszła do sąsiadki pożyczyć maść na te siniaki. Tłumaczyła, że Rysiek, mąż, przewrócił

się koło altanki, pomagała mu wstać. Stąd strupy na łokciach, siniaki na nogach. Pytała sąsiadkę, czy ta maść na pewno skuteczna. I czy na święta te jej siniaki będzie widać.

Więc przez lata siniaki Krystyny oglądała cała wieś, całe Dęby. Jedne schodziły, pojawiały się kolejne. Siniaki na szyi, na plecach, podbite oko.

Sądzili, że jednak wytrzyma, powinna

Wychowała czworo dzieci, dwie córki, dwóch synów. Na gospodarce z ojcem i matką został najmłodszy Mariusz. Mieszkali razem w niewielkim, zadbanym domu o beżowych ścianach. Mieli trzydzieści krów mlecznych, piętnaście młodzieży, trochę pola. Ani biedni, ani bogaci, przeciętni. Pracy było sporo, choćby podpiąć krowy pod dojarkę, potem przenieść te kilkaset metrów mleka.

Wiele razy mówiła ludziom, że ma dość i coś sobie zrobi, ale kto by tam w to wierzył? Gadanie takie tylko. Kiedyś, jak rzuciła, że idzie się wieszać, mąż z synem znaleźli ją w lesie, przyprowadzili do domu. Innym razem, to było za oborą, Mariusz sam zabrał jej sznur.

Kolejny przypadek: Ryszard zadzwonił do sąsiadki, żeby przyszła, bo nie daje rady z żoną. Krystyna leżała pod kołdrą, miała pocięte nadgarstki, obok był nóż. Z drugą sąsiadką opatrzyły Krystynę. Karetki nikt nie wzywał, cięcia nie były głębokie. Zresztą Krystyna za bardzo nie chciała pomocy, była wypita, krzyczała głośno, klęła. Wstała z łóżka, wyszła z domu, sąsiadki za nią. Co ona tam niesie? – przyjrzały się. – Sznur? Zabrały, Krystyna poszła spać i po sprawie. Sąsiadki wróciły do siebie, bo każdy ma przecież swoje życie.

A nawet miesiąc przed tymi świętami – przy metalowych, zewnętrznych schodach, które prowadzą na poddasze – sznur zabrało Krystynie dwóch sąsiadów, w tym jeden, co prawie codziennie przychodził pomagać przy krowach.

Więc ludzie sądzili, że jednak wytrzyma, powinna. To, co się stało, mocno ich zaskoczyło.

– Wszyscy dostali szoku, że odeszła. Po prostu nie wierzyliśmy – mówi sąsiadka.

Mogło być po 14. Zauważył ją sąsiad, ten, co mieszka najbliżej. Była przy metalowych schodach, na linie, czerwonej, od krów, tej, co zwykle. – Krysia wisi! – krzyknął.

Był kwiecień 2019 roku, Wielki Piątek.

Pętla na twarzy, prokurator zleca sekcję

Lekarz zwrócił uwagę na siniaki. Na ciele Krystyny było ich sporo, stare, nowe, nie zdążyły zejść do świąt, maść od sąsiadki nie pomogła. Było coś jeszcze. Ciało Krystyny leżało oparte o schody. Podtrzymywał je sznur przywiązany do jednego ze schodków. Ale czy można się powiesić, gdy człowiek ma pętlę na twarzy, a nie na szyi? Prokurator zlecił sekcję zwłok.

Na miejsce przyjechał starszy syn z żoną. Mieszkają w Ostrołęce, to pięćdziesiąt kilometrów od wsi. Nie był w stanie patrzeć na ciało matki, na prośbę prokuratora zwłoki obejrzała synowa.

– Zamknę oczy i wciąż je widzę. Do końca życia tego nie zapomnę – opowiada synowa. – Ciało w siniakach. Było ich mnóstwo, w tym

takie małe, okrągłe. Od razu się domyśliłam, skąd są. To ślady po kuli, takiej rehabilitacyjnej.

Ryszard, mąż Krystyny, ma zwyrodnienie stawów. Kilka lat wcześniej przeszedł operację. Porusza się o kulach. Na kulasach, jak mówią ludzie.

Pobicie – sprawa rodzinna

Kto chciał, to wiedział, jak to z tymi siniakami Krystyny było naprawdę. Kiedyś sąsiad, co przyjechał krowę inseminować, zobaczył, jak Rysiek bierze zamach i chce przyłożyć żonie kulasem. Za nic, bo źle spojrzała. Na widok sąsiada się zawahał, odpuścił. Albo kierowca, który mleko odbiera dla mleczarni, opowiadał ludziom, co widział: – Na środku obory Rysiek żonę tłukł, kopał ją.

Czasem Krystyna mówiła też wprost. Na przykład temu sąsiadowi, co pomagał przy krowach. Kiedyś zauważył, że ma podbite oko. „Rysiek mnie uderzył, kulą" – wyjaśniła. Sąsiad nie drążył. To sprawa rodzinna, czyli nie jego. Dawno temu sąsiadce pokazywała siniaki i mówiła, że to od męża. Ale przez lata nikt we wsi Ryśkowi złego słowa nie powiedział. Może dlatego w końcu Krystyna zaczęła opowiadać, że siniaki stąd, że ciało ma takie wrażliwe.

Bała się, że będzie gorzej

Lodówkę przed świętami miała pełną, garnek z zupą w kuchni. Codziennie obiad musiał być. Był też w Wielki Piątek.

– Teściowa bardzo dbała o dom, obejście, ogród, dobra gospodyni – mówi synowa, żona starszego syna, pracownica biurowa w prywatnej firmie.

Taką Krystynę zapamiętała. I jeszcze zwyczajną, pogodną babcię dla wnuków. Lata temu, zaraz po ślubie, podrzucali dziadkom małe dzieci z Ostrołęki, gdy chcieli się gdzieś na chwilę wyrwać; nie robiła problemów.

– Skakała koło teścia. Zawsze posprzątane, zawsze uprane. Obiad podany pod nos, on przychodził, siadał, jadł bez słowa, zawsze swoją łyżką, nie daj Boże któreś z naszych dzieci mu ją wzięło, zaraz wojna, krzyk. Kiedy mu smakowało, wstawał i odchodził bez słowa, gdy coś było nie tak, nawrzeszczał: „Coś ty ugotowała?! Za słone!". Nieraz to słyszałam. Ale to wtedy, gdy był trzeźwy, bo kiedy wypił, było dużo gorzej. Kiedyś po pijaku zaczął nagle wywalać wszystko z szafek: garnki, szklanki, talerze. Lato było, gorąco, siedzieliśmy pod domem, okno otwarte, krzyk i dźwięk tych naczyń lecących na podłogę. Ale gdy pytałam ją o siniaki, machała ręką: „A, krowa mnie bodła". Mój mąż o wielu rzeczach mi nie mówił. Teraz wciąż o tym rozmawiamy, wciąż i wciąż. Jemu też matka nie mówiła wszystkiego. Może chciała go ochronić. Dużo się od ludzi dowiedzieliśmy już po tym wszystkim. Przez rok brałam antydepresanty. Nie ma dnia, by tego tematu nie było.

Starszy syn Krystyny, pracownik fizyczny w zakładach mięsnych, nie pamięta, kiedy pierwszy raz zobaczył, jak ojciec bije matkę. – Miałem może z dziesięć lat? Mamie zawsze się nie podobało, że ojciec pije, walczyła z tym, gadała mu, jak się napił. Jak był trzeźwy, to był spokój. Ale po alkoholu dostawał białej gorączki, tak było zawsze, i tyle. Więc bił ją, ręką zazwyczaj, z liścia, różnie. Co miał pod ręką, to rzucał. Ale tak codziennie to źle przecież nie było, tylko jak się napił. Choć ostatnio to pił cały czas.

Synowa: – Ostatni raz byłam u nich sześć lat temu. Mieliśmy kryzys w małżeństwie, mąż opowiedział o tym teściom. Wtedy teść do mnie zadzwonił, darł się, zwyzywał mnie od kurew, suk, powiedział, że nie mam do nich wstępu, że nie zasługuję na ich syna, że na matkę się nie nadaję i że na policję zadzwoni. Czy pan to sobie wyobraża?! Dla niego kobieta to jest po prostu nikt. Nie byłam w stanie tam pojechać. Mąż jeździł cały czas, starałam się to zrozumieć, ale nie podobało mi się. Teściowa zadzwoniła, rzucał wszystko, jechał. Tylko że później, jak wracał, długo nie mógł znaleźć sobie miejsca, chodził zdenerwowany, kłóciliśmy się, nie mogłam do niego dotrzeć. Widać, że go to wszystko strasznie gryzło.

Kilka lat wcześniej Krystyna i Ryszard przepisali gospodarkę na Mariusza, młodszego syna, który został z nimi. Po tym było już tylko gorzej. Pił ojciec, pił Mariusz. Starszy syn wciąż odbierał telefony od matki: „Znów się nachlali, przyjedź, pomóż przy krowach". Jechał.

Opowiada: – Odciągałem ojca od mamy, wyzywał i mnie, „ty chamie", „skurwysynu", ale nie uderzył nigdy. Ja jego też nie byłem w stanie. Mama cały czas miała nadzieję, że to się skończy, że będzie lepiej. Kiedyś znów telefon, stary szaleje, zadzwoniłem na policję, przyjechał patrol. Potem mama miała pretensje, dlaczego się wcinam, nie trzeba było. Ale tego bicia było coraz więcej. Z żoną wynajmujemy mieszkanie, z dwójką dzieci, nie bylibyśmy w stanie wziąć mamy do siebie. Nie mieliśmy warunków. Ustaliliśmy więc z siostrami, że zamieszka na stancji, będziemy się dokładać, samej nie byłoby jej stać, miała tysiąc złotych emerytury rolniczej. Znaleźliśmy już mieszkanie w okolicy. „To może jeszcze na razie nie" – powiedziała na to. Temat zamknięty.

Synowa: – Ona po prostu się bała, że będzie jeszcze gorzej.

Syn: – To będzie siedzieć we mnie do końca życia, nigdy sobie nie wybaczę. Czy mogłem zrobić coś więcej? Uratować ją? Dwa tygodnie przed tym wszystkim z mamą jeszcze rozmawiałem. Była zrezygnowana. „Mam dość" – mówiła mi. Sądziłem, że może być jakieś pobicie, że któreś w szpitalu wyląduje, ale że śmierć – to nie.

Synowa: – Czy pan ma pojęcie, że zanim oni to zrobili teściowej, wcześniej jeszcze zeżarli tę jej zupę?

Święta nie była, miewała pretensje

Biegły uznał, że powodem śmierci Krystyny nie było powieszenie. Wcześniej ktoś złamał jej kręgosłup. Prawdopodobnie gdy leżała na brzuchu, szarpnięciem odgiął głowę do tyłu. Biegły wykluczył, by taki uraz Krystyna mogła spowodować sobie sama, na przykład spadając ze schodów – wtedy na głowie miałaby też inne ślady, otarcia, pęknięcia skóry.

Ze złamanym kręgosłupem mogła zachować jeszcze świadomość nawet przez dwadzieścia minut. Wstrząs urazowy, zgon. Prokuratura Rejonowa w Ostrołęce uznała, że została pobita przez ojca i młodszego syna. Kiedy się zorientowali, że nie żyje, upozorowali jej samobójstwo, wieszając ciało. Wszyscy troje byli pijani. Ryszard i Mariusz zostali oskarżeni o zabójstwo oraz o znęcanie się nad Krystyną, co zdaniem prokuratury miało miejsce od 2014 roku. Z tego powodu co najmniej trzy razy próbowała popełnić samobójstwo. W śledztwie ojciec przyznał się do zarzutu znęcania się, ale tylko do wiosny 2018 roku, bo jak powiedział, od tego czasu już nie pije wódki, a tylko piwo, więc jest z zasady trzeźwiejszy. Wyjaśnił, że żona go prowokowała.

Do znęcania się przyznał się też syn. Matka miała pretensje, że jest leniwy, że nie robi w gospodarstwie, że pije. Ona zresztą też święta nie była, zauważył młodszy syn, krzyczała i bywało, że wypiła. Mariusz nie wspomniał nic o wrażliwym ciele matki. Powiedział za to: „Ja widywałem na ciele matki obrażenia ciała w postaci sińców i było to po tym, jak się z ojcem pokłóciła. Takich sytuacji przez lata było wiele".

Opowiedział, jak wyglądał tamten dzień. Krystyna i Ryszard się ścieli. O co? Nie wie. „W czasie tej kłótni ojciec jak zwykle matkę bił, kopał ją nogami po ciele, bił rękoma zarówno z otwartej dłoni, jak i pięścią. Bił ją, gdzie popadło. Bił ją wszędzie".

„Potem ojciec z matką wyszli na dwór i na podwórzu znów się kłócili. Ja się dołączyłem do tej kłótni na dworzu i razem z ojcem matkę biłem. Biłem ją »po łebkach«, po trochu, czyli ze dwa razy ją uderzyłem pięścią w ramiona i może z raz pięścią w nogę". Potem poszedł spać.

Niebieska Karta to wstyd

Roman jest niepijącym alkoholikiem już dziesiąty rok. Mieszka wieś obok, żona, czworo dzieci, trochę krów, ani biedni, ani bogaci, zwyczajni, trochę jak Krystyna i Ryszard.

– Była też u nas przemoc – mówi Roman – i psychiczna, i fizyczna. Wobec żony, wobec dzieci. Syn się mnie bał, nie jest to miłe wspomnienie.

Maryla, żona: – Z początku, jak mąż podnosił na mnie rękę, nie zgłaszałam tego nigdzie, dusiłam w sobie. Tak to działa: jest wstyd, bezradność, no i strach. Że zgłoszę, jego zamkną, a ja co? Sama z

dziećmi zostanę? Gdzie pójdę, co zrobię? Ale w końcu już miałam dość awantur. Jakaś taka siła wlazła we mnie. Zaczęłam opowiadać znajomym, lekarzowi rodzinnemu też, może by jakoś na męża wpłynął.

Roman: – Aż kiedyś było takie zajście, spałem po południu w tym pokoju, co rozmawiamy, nawalony oczywiście, syn wrócił ze szkoły i słyszę, jak mówi głośno: „Co? Ojciec znów się napierdolił? Ale wstyd". Poczułem, że już nie chcę, by ktoś się za mnie wstydził. Zadzwoniłem do kolegi, przyjechał rano, zawiózł mnie do psychiatry, dostałem relanium, potężne dawki, zacząłem dojeżdżać do ośrodka, do pani psycholog, a potem grupy wsparcia w Ostrołęce.

Od kiedy nie pije, właściwie przestali chodzić w gości, bo na wsi przy herbacie przecież gościny nie ma. I jeszcze, mówi żona, każdego chciałby uratować, każdemu pomóc. Krystynie też. Znali się od dziecka, to daleka rodzina Maryli. Razem żniwa, wykopki, len. Krystyna bywała u nich często, więc wiedzieli doskonale, co jest u niej w domu.

Roman namówił ją, by poszła do punktu konsultacyjnego w gminie, może w nim uzyskać pomoc dla ofiary przemocy domowej. Potem przekonał ją jeszcze, że powinna założyć Niebieską Kartę. Poszła na posterunek policji.

Maryla: – Mąż Kryśki to się z tego tylko śmiał.

Było to w kwietniu 2015 roku. Dokumentacja z policji została przekazana do ośrodka pomocy społecznej w gminie Łyse.

Tematem zajęła się Teresa C., doświadczona pracownica socjalna (prawie piętnaście lat w terenie). Powołała grupę, która miała się pochylić nad problemem przemocy w rodzinie Krystyny. W jej skład weszli sama pani C. oraz policjant z posterunku. Następnie pracownica socjalna odwiedziła Krystynę w jej domu. W rozmowie udział brał też Ryszard. Para wyjaśniła, że incydent przemocowy miał charakter jednorazowy. Kłótnie, owszem, czasem się zdarzają, gdy Ryszard wypije, ale takie raczej zwykłe, małżeńskie. W mieszkaniu był porządek, było zadbane – zanotowała jeszcze Teresa C. Przygotowała potem notatkę urzędową, trafiła ona do dokumentacji. „Następnie w związku z brakiem zasadności podejmowania działań karta została zamknięta" – tak zeznała w śledztwie Teresa C.

Roman natomiast zeznał: „Po tym, jak Krystyna założyła Niebieską Kartę, przyjechała pani z gminnego ośrodka pomocy społecznej, która z tego, co mi powiedziała Krystyna, robiła z nią wywiad. Wspomniała mi też, że pracownik GOPS-u powiedział jej, że Niebieska Karta to wstyd dla rodziny i żeby to wycofała. Krystyna powiedziała mi, że była to pani C.".

Kobieta pić nie powinna

Ludzie komentowali, że wczoraj od męża dostała, a dziś razem do sklepu jadą. Może dlatego, zastanawia się Maryla, sąsiedzi nic głośno przeciwko temu biciu nie mówili. A może i jeszcze z innego powodu Krystyna u ludzi poparcia nie miała: jakoś tak rok przed tym wszystkim zaczęła pić, pamięta Roman. Coraz więcej i więcej.

Podwórko wciąż było zadbane, ale zdarzało się, że ktoś widział, jak Krystyna się zatacza, czuć było od niej piwo. Choć wcześniej ten

problem jakoś specjalnie widoczny nie był, bo przecież to ona dbała o to, by krowy były wydojone, by to wszystko jakoś wyglądało.

Maryla: – Kryśka przychodziła do nas, piła piwo i mówiła: „Ja już nie wytrzymuję. Piją oni, to i ja. Tak mi łatwiej. A krowy niedojone niech ryczą". Rozsypała się psychicznie po prostu. Boże kochany, jak Rysiek ją kopał, to nawet po kroczu, pokazywała mi te siniaki na udach, sadysta! A potem i tak wracała do domu. Bała się, że jak jej zabraknie, to wszystko przepiją, nic nie zostanie.

Roman: – Była zmęczona. Proponowałem: „Zgłoś sprawę do prokuratury, sam cię tam zawiozę". Ale ona nie i nie! Myślę, że czuła się w tym wszystkim sama. I bała się męża. To wiem na pewno.

Z Ryśkiem żadnej dyskusji i tak nie było. Szkoda czasu, dodaje Roman. Kiedyś Maryla zabrała Krystynę i pojechały do protetyka. Tylko wróciły, gdy na komórkę Romana zadzwonił Rysiek. I pyta go: „Czy jest tam u was ta moja kurwa?".

Roman: – „Nie – mówię mu na to – jest tylko twoja żona Krystyna, u protetyka były". A on: „Jak ta kurwa wróci, to jej tę protezę w trzech miejscach połamię". Nie, nie zaskoczyło mnie to, wiedziałem przecież, jak się do niej odzywa.

Maryla: – „Ty świnio, kurwo", wyzywał ją cały czas.

Roman: – I „spierdalaj" ciągle było.

Maryla: – Albo „kurwo amerykańska", bo ona ma siostrę w Ameryce.

Roman: – Gdyby miała odrobinę zaufania do instytucji, myślę, że dałaby sobie pomóc. Są przecież psychologowie, mądrzy ludzie,

mogliby jej pomóc, przekonać jakoś, by coś z tym biciem zrobiła.

Pojedynczy ślad przemocy

Teresa C., która zajmowała się Niebieską Kartą Krystyny, odkłada słuchawkę. Wcześniej stwierdza: – Nie będę z panem rozmawiać na ten temat.

Przesłuchiwana przez policję zaprzeczyła, by miała mówić Krystynie, że karta to wstyd dla rodziny. Nic takiego nie miało miejsca. Wiosną 2017 roku, czyli dwa lata po Niebieskiej Karcie, Krystyna znów do niej przyszła. Skarżyła się, że mąż i młodszy syn piją, jest problem z robotą. Czy można by coś z tym zrobić?

Teresa C. sporządziła stosowną notatkę i zaczęła regularne wizyty w domu Krystyny. Odbywała rozmowy z Ryszardem i Mariuszem o szkodliwości picia alkoholu. Mobilizowała do rzucenia nałogu. Wyjaśniała, gdzie można znaleźć pomoc, dawała adresy ośrodków uzależnień, groziła wnioskiem o odwyk. Zdarzało się, że Krystyna mówiła, by już nie przyjeżdżała, że jest lepiej, a potem znów prosiła o wizytę. Spotkań było w sumie jedenaście, ostatnie w lutym 2019 roku (potem jej obowiązki przyjęła inna pracownica socjalna, która już nie jeździła do Krystyny).

Na dowód Teresa C. przedstawiła karty informacyjne z opisem z każdej z wizyt. Przyznała policjantowi, że choć powinna je była wypełniać na bieżąco, zrobiła to dopiero po śmierci Krystyny, tuż przed przesłuchaniem, w maju 2019 roku. Wcześniej nie było czasu.

Na pytanie policjanta, czy to, co napisała w kartach informacyjnych, jest zgodne z prawdą, odparła: „Odmawiam odpowiedzi na powyższe pytanie, korzystam z przysługującego mi prawa”.

Zeznała jeszcze, że Krystyna o przemocy jej nie mówiła. Śladów Teresa C. nie widziała. Choć raz zauważyła u Krystyny siniaka na ręce, a ta wyjaśniła, że popchnął ją mąż. Kłótnia po prostu. Pracownica socjalna nic z tym nie zrobiła. Było to pod koniec 2018 roku, w karcie informacyjnej z tej wizyty wątku siniaka w ogóle nie ma.

Jedenaście wizyt, Teresa C. musiała mieć z Krystyną dobry kontakt. O jej próbach samobójczych nic jednak nie wiedziała. Nie rozmawiała o niej z sąsiadami ani z policją, więc zapewne nie miała również wiedzy o pięciu interwencjach, które miały miejsce w domu Krystyny w okresie, który pokrywał się z jej wizytami. W jednym przypadku funkcjonariusze użyli gazu wobec Ryszarda („był bardzo pobudzony"), w kolejnym wobec niego i syna, jeszcze w jednym ojciec uspokoił się dopiero, gdy został skuty kajdankami. Wcześniej krzyczał, że u siebie w domu może robić, co chce, i uderzył policjanta kulą.

Podczas jednej z interwencji Krystyna powiedziała policjantowi, że mąż wcześniej ją bił, funkcjonariusz odparł, że może to zgłosić. „To ja jeszcze się zastanowię, porozmawiam z dziećmi, na razie nic nie zgłaszam" – odpowiedziała.

Znęcanie się jest przestępstwem ściganym z urzędu, policja sama może wszcząć postępowanie, oczywiście jeżeli ma informacje, które na to wskazują.

Halina Nicewicz, kierowniczka ośrodka pomocy społecznej w gminie Łyse, zaznacza, że nie zna sprawy Krystyny (choć ośrodkiem kieruje od 2016 roku). – Nie zajmowałam się tą rodziną osobiście – zapewnia. – Gdyby pracownik socjalny zauważył jakiś ślad przemocy, na przykład zasinioną rękę, na pewno by zareagował.

Sprawa zostałaby zgłoszona do mnie i poszedłby wniosek na policję. Że pani Krystyna mówiła naszej pracownicy o popchnięciu przez męża? Nie mam wiedzy na ten temat.

Zdaniem kierowniczki system działa sprawnie. – Czy pan uważa, że ośrodek pomocy społecznej mógł zapobiec temu, co się stało? Ja tak nie myślę. Przecież pracownik socjalny nie jest z rodziną całą dobę.

Nicewicz, która nie zna sprawy Krystyny, zauważa, że przecież raz twierdziła ona, że jest bita, a potem, że nie, i że urzędnicy widywali ją, jak z synem i mężem w zgodzie przyjeżdżała do gminy załatwiać sprawy urzędowe. – Przychodziła tu do nas i mówiła, że syn pije i trzeba go skierować na leczenie, a potem zmieniała zdanie, bo kto będzie doił krowy.

Prokuratura badała wątek niedopełnienia obowiązków służbowych przez Teresę C., ale ostatecznie nie dopatrzyła się przestępstwa. „Brak znamion czynu zabronionego". C. nie pracuje już w pomocy społecznej, zwolniła się na własną prośbę, teraz jest zatrudniona w urzędzie gminy.

Wyrok zapadł w październiku 2020 roku przed Sądem Okręgowym w Ostrołęce. Sąd stwierdził, że nie ma dowodów na zabójstwo, nie ma też motywu. Mariusz K., młodszy syn, został skazany za znęcanie się nad matką oraz spowodowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, który doprowadził do jej śmierci. Dostał siedem lat. Zdaniem sądu to właśnie on złamał matce kręgosłup. Ojciec pomógł mu upozorować samobójstwo Krystyny, chciał chronić syna. Ryszard K. został za to skazany na rok więzienia, za znęcanie się nad żoną otrzymał sześć miesięcy, kara łączna – rok.

Starszy syn: – Nie ma sprawiedliwości w tym kraju.

Synowa: – Szok.

Roman: – Kabaret.

Pojedyncze uderzenia

Starszy syn, synowa i córki Krystyny nie chcieli zeznawać przy Ryszardzie i Mariuszu. Sąd jednak nie zgodził się na wyprowadzenie oskarżonych z sali. Zeznań więc nie było. Zgodnie z prawem w tej sytuacji sąd nie mógł też wziąć pod uwagę tego, co starszy syn, jego żona i córki Krystyny powiedzieli w śledztwie.

Sędzia Marek Konrad, który orzekał w sprawie, tłumaczy mi, że oskarżeni mają prawo przebywać na sali rozpraw podczas procesu, a wniosek o ich wyprowadzenie nie był racjonalnie uzasadniony.

Synowa: – Mąż i jego siostra w sądzie byli w takim stanie, że się bałam, że będę musiała ich reanimować. Przecież mieli oskarżać ojca i brata, którzy zamordowali ich matkę.

Starszy syn: – Emocje nie do opisania, nawet nie jestem w stanie o tym mówić.

Sąd uznał, że próby samobójcze Krystyny de facto takimi nie były, bo nie było też realnego zagrożenia jej życia. W ten sposób tylko chciała zwrócić na siebie uwagę. Zdaniem sądu znęcanie się nad matką przez Mariusza nie miało charakteru drastycznego, podobnie było w przypadku Ryszarda. U niego były to „głównie wszczynane pod wpływem alkoholu awantury i pojedyncze uderzenia". Taką ocenę sąd przyjął na podstawie materiałów zebranych przez policję i prokuraturę, wyjaśnia sędzia Marek Konrad. Cała trójka piła alkohol, były kłótnie. No i Niebieska Karta, Krystyna jednak ją

wycofała, takie są fakty. Miała dość specyficzną budowę, zeznał to któryś ze świadków, zauważa sędzia, łatwo jej się robiły siniaki.

Kolejna ofiara

Starszy syn nie wie, czy będzie kiedyś w stanie rozmawiać z bratem. Może, jeżeli Mariusz opowie prawdę, co się wtedy stało.

Synowa: – On nie odzywał się do niej, jak powinien do matki. To wiedzieliśmy. Był wybuchowy, mówił chamsko, zaczepnie, sadził się do teściowej. Ale dopiero potem ludzie nam powiedzieli, że potrafił ją też uderzyć. A Mariusz to był dla niej najukochańszy syn, wszystko by mu oddała, duszę nawet. Tego nie możemy przeżyć, to nas tak strasznie boli. I wie pan co? Mariusz też jest ofiarą teścia. Nieraz widziałam, jak stary go wyzywał, kulą strzelił. Nie bronię Mariusza, tylko trochę nam go szkoda.

Starszy syn: – Gdyby mój ojciec był inny, gdyby dał wzór, toby tej tragedii nie było. A w tym domu nigdy nie było miłości, nie było zrozumienia. Nie było rozmów takich jak ojca z synem. Dobrych, normalnych. Ja chcę, by w moim domu było inaczej.

Mąż: była dobrą żoną

Z Ryszardem rozmawiam pod jego domem, tuż przy schodach, na których powiesił z synem żonę. Wyszedł zaraz po wyroku, tymczasowo aresztowany spędził w więzieniu piętnaście miesięcy, o trzy dłużej, niż ostatecznie dostał. Będzie się starał o odszkodowanie. Należą się przecież za te trzy miesiące, niewinnie siedział. Krów już nie ma, po śmierci Krystyny wszystkie zostały sprzedane.

Żona sama się powiesiła, twierdzi Ryszard. – Nie wiem, dlaczego to zrobiła, tajemnicę zabrała ze sobą, ja pretensji do niej żadnych nie mam, żadnego żalu – zapewnia. – Czterdzieści sześć lat życia razem. Była dobrą żoną. Bilim się, kochalim i okej. Ale więcej o tym tematować nie będziemy! Przeszło, poszło. Ja się niczego nie wstydzę. A czego? A za co?!

I jemu nie jest dziś łatwo. Dzieci nie odwiedzają. Sąsiad pomaga, drzewa przywiezie, do sklepu podrzuci, na cmentarz, na grób żony zawiezie. Sam Ryszard rady by nie dał, chodzi przecież o kulach.

Tak, bardzo brakuje Krystyny. Ryszard płacze. – Śni mi się na okrągło. Tak zwyczajnie. Siedzimy w samochodzie razem, jedziemy do kościoła. Co niedzielę byliśmy.

Bóg los przemieni

Był Wielki Piątek, rano do Krystyny zadzwoniła sąsiadka. Chciała jej złożyć świąteczne życzenia. Krystyna źle się czuła, wiadomo, jak jest. Sąsiadka poradziła, że może by poszła się pomodlić, Koronkę do miłosierdzia zmówić, może Bóg los Krystyny przemieni, będzie lepiej. Dzień wyjątkowy przecież, Chrystus umarł na krzyżu umęczony. Krystyna rozłączyła się bez słowa. Dziwne.

Tekst ukazał się w „Dużym Formacie” w 2021 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Dziewczyna z ogłoszenia

„Szukam faceta, który potrafi się ze mną zrelaksować. Nie tępaka, który przyjdzie sobie popieprzyć i nic sobą nie reprezentuje. Nie oczekuję kasy, bo nie jestem dziwką. Ale zakupami i dobrą restauracją czy hotelem nie pogardzę" – pisała w internecie Żaneta. W jej sidła wpadli robotnicy, przedsiębiorcy, adwokat i polityk.

JACEK HARŁUKOWICZ

FOT. SHUTTERSTOCK (ZDJĘCIE ILUSTRACYJNE)

Krystian, adwokat: Od razu zaczęła mnie rozbierać. Powiedziała, że ma fantazję – skuje mnie kajdankami i zawiąże oczy

Waldemar, 52 lata, prowadzi działalność gospodarczą: – Facebook połączył mnie automatycznie z portalem randkowym Badoo. Tak ją poznałem. Rozmawialiśmy przez tydzień. Ona wysyłała mi swoje zdjęcia twarzy. Ale też zdjęcia z partnerem i synów w wieku osiem i sześć lat. Twierdziła, że prowadzi kancelarię i chce się ze mną spotkać w celach biznesowych oraz towarzyskich w jej mieszkaniu we Wrocławiu. Wiedziałem, że jadę na seks. Miała być sama, nie mówiła, gdzie będzie w tym czasie jej facet. Mówiła, że poznała go, jak była bardzo młoda, dlatego teraz szuka innych partnerów.

Kiedy wszedłem do mieszkania, od razu zaprowadziła mnie do sypialni i powiedziała, żebym się rozebrał. Zaczęła rozpinać moją koszulę. Zaproponowała, że zawiąże mi oczy apaszką. Położyłem się na łóżku. Powiedziała, że posmaruje mnie pianką. Po chwili usłyszałem śmiech mężczyzny. Gdy zdjąłem opaskę, zobaczyłem wysokiego mężczyznę. „Chcesz przelecieć moją żonę!" – krzyknął. Ja odparłem, że przecież do niczego nie doszło, nic się nie wydarzyło. Wyzywał mnie: „Jak tak, kurwa, mogłeś z moją żoną?!", „To ja jestem, kurwa, przywódcą stada!", „Zajebię cię". Potem kazał mi zmyć piankę i się ubrać.

Michał, lat 54, polityk, kandydat Nowoczesnej na burmistrza miasteczka w centralnej Polsce:

– Poznaliśmy się na spotkaniu izby gospodarczej. Wymieniliśmy się numerami telefonów. Przez pół roku nie miałem z nią żadnego kontaktu. Aż w połowie marca 2019 Żaneta napisała do mnie na Messengerze. Nasze wiadomości zaczęły być coraz bardziej intymne. Omawialiśmy kwestię niezobowiązujących spotkań. Wiedziałem, że ma męża i dzieci. 28 marca umówiliśmy się w jej mieszkaniu we Wrocławiu. Przyjechałem kilka minut po czternastej. We

wcześniejszych wiadomościach wymyśliła, żeby podczas spotkania zastosować kajdanki, na co ja się zgodziłem. Od razu zaproponowała seks. Zgodziłem się, żeby apaszką zawiązała mi oczy. Zaczęła smarować moje ciało bitą śmietaną, a kiedy jej zabrakło, wyszła z pokoju, żeby poszukać kolejnej puszki. Wtedy usłyszałem odgłosy, które zaczęły mnie niepokoić. Zdjąłem apaszkę i zobaczyłem przy łóżku młodego mężczyznę w wieku 25-30 lat, około 180 centymetrów wzrostu, krępej budowy ciała. Trzymał rurę od odkurzacza. Żaneta stała w drzwiach z telefonem w ręce i robiła mi zdjęcia. Mężczyzna cały czas mówił, że mnie załatwi, że wybije mi z głowy swoją żonę. Słuchałem tego, ubierając się jednocześnie.

Nie szukam tępaka

Marek, 54 lata, prywatny przedsiębiorca z branży budowlanej: – Polecił mi ją znajomy. Ja jestem sam, moja żona mieszka w Niemczech. W pewnym momencie zaczęliśmy rozmowę przez WhatsAppa.

Ona: Hej, Marek, co porabiasz?

Marek: Witaj, Romina, szukam fajnej kobiety do spotkań. A Ty?

O.: Szukam faceta, który potrafi się zrelaksować razem ze mną. Zabrać na ciekawe spotkanie czy na tajemniczą randkę. Nie szukam tępaka, który przyjdzie sobie mnie popieprzyć i poza prostym słownictwem nic sobą nie reprezentuje. Nie oczekuję kasy, bo nie jestem dziwką. Ale zakupami i dobrą restauracją, kinem czy hotelem nie pogardzę. Rozumiesz? A odpowiedź na twoje pytanie jest jasna jak słońce: zawsze ciągnęło mnie do starszych facetów.

M.: Masz piękne imię, w Polsce nieczęste, może porozmawiamy na żywo?

O.: Dziękuję, możemy.

M.: Masz wpisane w profilu „nieśmiała". Nie wyglądasz na nieśmiałą.

O: Nie, raczej nie jestem nieśmiała. A powinnam być?

M.: Czemu chcesz być pieprzona przez starszego?

O.: Bo w swoim wieku mam męża.

M.: Możemy się spotkać gdzieś w Rynku?

O.: Po co w Rynku? Chcesz się pieprzyć pod Pręgierzem?

Przyjechałem około 17. Poszliśmy do sypialni. A potem usłyszałem krzyk: „Co ty, chuju, robisz z moją żoną?!".

Wywiozę cię do lasu

Krystian, lat 48, adwokat: – Korespondowaliśmy przez WhatsAppa. Wypytywała, czy mam żonę i dzieci. Napisałem, że mam, choć nie jest to zgodne z prawdą. Jestem po rozwodzie. Ona pisała, że ma męża i dwójkę dzieci. Dlatego bardzo zależy jej na dyskrecji. 10 kwietnia postanowiliśmy się spotkać. Otworzyła mi kobieta ze zdjęcia z portalu Badoo. Od razu zaczęła mnie rozbierać. Powiedziała, że ma fantazję – skuje mnie kajdankami i zawiąże oczy. Skutego położyła na łóżku i wyszła z pokoju. Po chwili usłyszałem męski głos. Odsłoniłem oczy, przede mną stał muskularny mężczyzna w wieku około 30-35 lat, wzrostu około 190 centymetrów. Miał w ręku telefon, filmował mnie albo robił

zdjęcia. Zaczął krzyczeć na nią: „Miałem przeczucie, że mnie zdradzasz! Czy ty wiesz, ile wydaliśmy na terapię?!". Do mnie krzyczał, że powinien mnie wywieźć do lasu. Bałem się, że zrobi mi krzywdę, cały czas byłem skuty kajdankami.

Aleksander 48 lat, młynarz: – Na portalu Badoo miała nick Romina31. Zaczęliśmy pisać do siebie. Pytała, czy mam żonę, ja odpisywałem, że mam, ale to jest na ukończeniu. Zaproponowała spotkanie w mieszkaniu swojej koleżanki, która miała być na wyjeździe. 13 kwietnia stawiłem się na godzinę 19.40, czekałem przed budynkiem, bo podała mi tylko numer bramy. Po chwili zadzwoniła i wskazała numer. Zaproponowała, że zawiąże mi oczy i mnie zwiąże, a ja nic nie muszę robić. Wziąłem whisky, ona nie chciała pić, kazała mi przejść do sypialni i się rozebrać. Wykonałem to polecenie. Przez opaskę na oczach nic nie widziałem. Zapięła mi na rękach kajdanki. Poczułem, jak mnie polewa bitą śmietaną. Po chwili zdjęła mi opaskę z oczu. Wtedy zobaczyłem mężczyznę, który nas filmował komórką. Ona wydawała mu rozkazy. Ja wykonywałem polecenia Rominy i tego mężczyzny. Mówił, że jak nie będę stosował się do jego poleceń, to obetnie mi jaja.

Rozcięła majtki nożyczkami

Ona: Żaneta vel Romina, lat 31. Wykształcenie: średnie. Stan cywilny: rozwódka, jedno dziecko. Miejsce pracy: nie pracuje. Znaki szczególne: tatuaż na prawym przedramieniu z wizerunkiem zegara, kotwica na prawym przedramieniu, jastrząb na prawym barku, na lewym udzie róża. Niekarana.

On: Adrian, lat 33. Wykształcenie: technik budownictwa. Stan cywilny: rozwodnik, jedno dziecko. Miejsce pracy: własna działalność gospodarcza. W latach 2004-07 leczony odwykowo z

powodu uzależnienia od narkotyków. Uzależnieniom przeczy. W przeszłości karany za stalking i jazdę w stanie nietrzeźwym.

Ona: – Rozwiodłam się, bo byłam bita. To sprawiło, że straciłam szacunek do facetów. Później przez pięć lat byłam kompletnie sama i w końcu poznałam Adriana. Zamieszkaliśmy razem. Pokochaliśmy się, bo oboje byliśmy po rozwodzie.

Jakoś w połowie marca założyłam sobie aplikację Viber, to taki komunikator. To Marek się ze mną skontaktował. Był moim klientem, kiedy pracowałam jako doradca klienta biznesowego w firmie windykacyjnej. On pisał do mnie dwuznaczne wiadomości. Ja mu odpisywałam.

Pewnego dnia Adrian szukał czegoś w moim telefonie i znalazł te wiadomości. Był strasznie zazdrosny. Temat ciągle wracał. Powiedziałam Adrianowi, że ja nie mam sobie nic do zarzucenia i jak mi nie wierzy, to możemy się spotkać z tym Markiem. Na to Adrian, że jak się z nim spotka, to chce od niego 5 tysięcy złotych za to, że próbował mnie jemu odbić. Powiedziałam wtedy, że dla tego klienta 5 tysięcy jest jak dla nas 5 groszy. Chciałam pokazać Adrianowi, jak bardzo jestem mu wierna. A Markowi mieliśmy dać nauczkę, że żony się nie zdradza.

On: – Kiedy w telefonie Żanety przeczytałem rozmowy z tymi facetami, wkurzyłem się. Powiedziałem jej, że albo się rozstajemy, albo doprowadzi do spotkania z nimi. A ja jej udowodnię, że oni po prostu chcieli ją uwieść. Ona tłumaczyła, że taki miała kiedyś charakter pracy, że taki ma styl rozmowy. Ja miałem jednak swoje obawy. Poprosiłem, żeby ona pisała do nich, co jej powiem. Żeby doprowadziła do spotkania. Już jak pisała, okazało się, że oni chcą seksu. Powiedziałem jej: umów się na spotkania, a ja ich ukarzę.

Jak przyjechał Marek, Żaneta otworzyła mu drzwi w seksownym ubraniu i zaprosiła do sypialni. Rozebrał się, zawiązała mu chustą oczy, położyła na łóżku i rozcięła majtki nożyczkami. Gdy spytała go, czy dobrze mu, odpowiedział, że czuje się jak przywódca stada. Wtedy ja zawyłem jak wilk i wrzeszcząc, wpadłem do pokoju. Kazałem, żeby się ubrał.

Marek sam zapytał, czego oczekujemy. Zaproponował 50 tysięcy złotych. Ja podbiłem do 100. On powiedział 80, na co ja powtórzyłem: 100 tysięcy. Zgodził się.

Waldemar: – Kiedy już się ubrałem i wszedłem do kuchni, zauważyłem, że na stole leżą jakieś dokumenty. Mężczyzna kazał mi je przeczytać, a następnie podpisać. To była umowa pożyczki na 40 tysięcy złotych. Znajdowały się w niej wszystkie moje dane. Mężczyzna szantażował mnie, że jak nie podpiszę tej pożyczki, to on nagrania rozpowszechni w internecie i wyśle do moich znajomych. Mówił: „Jak tego, kurwa, nie podpiszesz, to przyjedzie czterech gości i cię załatwią". Powiedziałem, że niczego nie podpiszę. Wtedy z mojego telefonu zamówił taksówkę, którą w trójkę, z Rominą, pojechaliśmy do mojego miejsca zamieszkania. Kazali mi płacić za kurs: „Masz, kurwa, zapłacić za taksówkę i masz, kurwa, dać napiwek kierowcy". Powiedziałem kierowcy, żeby zadzwonił po policję, bo to są przestępcy. On to zignorował. Następnie poszliśmy do mojego mieszkania. Tam między tym mężczyzną, Rominą i moją żoną doszło do awantury. Opowiedzieli Dorocie, że ją zdradzam. Na dowód pokazali moje zdjęcie z Rominą. Żona się zdenerwowała i poprosiła, aby opuścili nasze mieszkanie. Wyszedłem z nimi, bo chciałem od mężczyzny odzyskać swój telefon, który zabrał mi w mieszkaniu Rominy. Wtedy powiedział mi, że mam mu oddać 1000 złotych za roletę, którą rzekomo uszkodziłem w mieszkaniu Rominy.

Bałem się, że naprawdę zrobią mi krzywdę. Niedaleko jest bankomat, więc wypłaciłem 1000 złotych. Gdy wyjąłem pieniądze, mężczyzna wydarł mi je z ręki. Ja wydarłem mu z jego ręki mój telefon. Następnie wsiedli do taksówki i odjechali.

Nie powiadamiałem policji

Michał: – Kiedy zaczęli mi grozić, powiedziałem, że przemoc w celu wymuszenia pieniędzy będzie kwalifikowana jako rozbój i pójdą siedzieć na długie lata. Wiedziałem, że nie mogę być ofiarą, bo będę zdany na ich łaskę. Postanowiłem przejąć inicjatywę. Gdy zaczęli straszyć, że upublicznią moje zdjęcia, jeśli nie podpiszę umowy pożyczki na 40 tysięcy złotych, płatnych natychmiast w dniu podpisania, zaśmiałem im się w twarz. Powiedziałem, że nie mają co marzyć o takiej sumie. Wtedy mężczyzna zaczął mnie straszyć, że powie o wszystkim mojej żonie i rozbije moje małżeństwo. A ja przy podziale majątku stracę znacznie więcej. Odpowiedziałem, że moja małżonka jest tolerancyjna, że mam pozamałżeńskie dziecko. Wtedy on zaczął obniżać kwotę pożyczki do 20 tysięcy. Powiedziałem im, że są amatorami, że nie sprawdzili, z kim mają do czynienia, i że mam zobowiązania wobec dużo poważniejszych niż oni osób. I mogą mieć przez to kłopoty. Wtedy on zaczął mnie straszyć, że sprzeda moje zdjęcia do prasy i zaszkodzi mi jako sobie publicznej. Powiedziałem, że w zamian za zdjęcia mogę dać im wszystkie pieniądze, jakie mam przy sobie. To była kwota 1800 złotych. Wzięli pieniądze. Wtedy zażądałem od nich telefonów i sam wykasowałem zdjęcia. Wstałem, założyłem płaszcz i zapytałem, czy sprawę uważamy za zakończoną. Nie powiadamiałem o niczym policji.

Marek: – Powiedzieli, że chcą 100 tysięcy złotych. Zaproponowałem 10, ale Żaneta na to, że chyba mi się w głowie popierdoliło.

Powiedziałem, że mam na koncie tylko 10 tysięcy, więc ten mężczyzna zaproponował, że sporządzi umowę pożyczki na 100. Na kontach mam zaniżone debety, więc zmusili mnie do ich podniesienia. Kazali dzwonić do banku. Okazało się, że od razu mogę pobrać z bankomatu tylko 50 tysięcy. Drugie tyle po północy. Kiedy wybrałem pierwszą kwotę, Żaneta od razu mi ją zabrała i zniknęła. Zostałem w mieszkaniu sam z Adrianem. Zażądałem, żeby oddał mi kluczyki od auta i komórkę. Zaczął popijać whisky, którą przyniosłem ze sobą. Próbowałem negocjować, że 50 tysięcy powinno im wystarczyć. Poprosiłem o oddanie moich rzeczy. On na to, że jeśli nie dam kolejnych 50 tysięcy, to obetnie mi jaja. Kiedy to mówił, trzymał w ręku nóż kuchenny. Dał mi 20 minut, żebym się zastanowił, czy czekam do północy i wypłacam kasę, czy ma mi obciąć jaja. Ja nie bałem się ujawnienia tych zdjęć, tylko tego, że skoro oni wiedzą, gdzie mam firmę, to mogą mi ją np. podpalić. Po północy poszedłem więc po kolejne 50 tysięcy i na tym sprawa się zakończyła.

Krystian: – Zasugerował, że za 100 tysięcy nie powie nic mojej żonie ani nigdzie nie ujawni tych zdjęć. Zaśmiałem się mówiąc, że nie mam tyle pieniędzy. Zaproponowałem 10 tysięcy złotych. On na to, że chce 15 tysięcy. Z szuflady wciągnął umowę pożyczki. Moje dane były już wpisane, Romina dopisała tylko mój PESEL. Podpisałem. Następnego dnia na Badoo Romina wysłała do mnie wiadomość: „Robaczku, widzimy się dzisiaj? Gdzie?", po czym wpisała adres mojej kancelarii i adres zamieszkania. Odpisałem, że możemy się spotkać na komendzie policji, bo zamierzam to zgłosić. Ona: „Nie ma problemu, weź ze sobą córkę, niech zobaczy, jaki z tatusia bohater". Wysłała też zdjęcie zrobione mi w jej mieszkaniu. Wtedy ja wysłałem jej artykuł kodeksu karnego mówiący o szantażu. Na

co ona: „Po co mi te paragrafy? Ja chcę tylko, żebyś oddał pieniążki, które pożyczyłeś".

Jedźmy na komisariat

Aleksander: – Mężczyzna zapytał, ile im zapłacę, bo w przeciwnym razie nagranie pokażą mojej żonie, udostępnią w internecie i zmienią moje życie w piekło. Kazałem się rozwiązać, oddać mi rzeczy i oświadczyłem, że mi nie zależy. Powiedziałem, że pójdę na policję. Na to Romina kazała mężczyźnie wziąć paralizator i mnie nim potraktować. On odpalił go, ale nie użył. Tylko mnie nim straszył. Romina cały czas pytała o numer mojego konta, chciała, żebym dzwonił na infolinię i przelał im pieniądze. Powiedziała, że jak nie zapłacę, to mnie nie wypuszczą. Zaproponowałem więc, żebyśmy podjechali do mnie do domu, że wezmę z niego kartę do bankomatu i wypłacę gotówkę dla nich. Pytała, jaki mam limit dzienny, bo żądała 15 tysięcy złotych. Cała sytuacja trwała około dwóch godzin. Wreszcie Romina rozpięła mi kajdanki i pozwoliła się ubrać. Zamówiła taksówkę, do której we trójkę wsiedliśmy, by jechać do mojego domu. Powiedziałem jednak kierowcy, by jechał na komisariat. Odparł, że kurs jest zamówiony na konkretny adres i jak mi się nie podoba, to mogę wysiąść. Pod moim blokiem jeszcze raz zażądałem od kierowcy, by zadzwonił na policję. Wtedy Romina i ten drugi mężczyzna sobie poszli.

Waldemar, Marek, Krystian i Aleksander po spotkaniach z Żanetą od razu składają zawiadomienia na policję. Michał odpuszcza, ale jest później wzywany do sądu jako świadek.

Śledztwo idzie błyskawicznie: gdy policjanci przyjeżdżają do mieszkania, w którym na schadzki umawiała się Żaneta, spotykają tam i ją, i Adriana. Oboje zostają tymczasowo aresztowani. Na

procesie odpowiadają już jednak z wolnej stopy. Wyrażają skruchę. Chcą pokrzywdzonym zwrócić pieniądze, których już jednak nie mają. Za część z nich Adrian kupił bmw, reszta poszła na spłatę długów u znajomych, wycieczki i własne wydatki, m.in. nowy telefon komórkowy.

W sądzie

– Przyznaję się. Tak naprawdę do tego przestępstwa doszło przez przypadek, z powodu zazdrości mojego narzeczonego. Pomysł ten miał być zabawą, nauczką. Dopiero potem przeistoczył się w formę zarabiania pieniędzy. Nigdy nie chcieliśmy zrobić krzywdy żadnemu z poszkodowanych. Sceny gróźb były inscenizowane, odgrywane tak, żeby wyglądały na wiarygodne. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że robię coś aż tak złego. Jest mi wstyd przed pokrzywdzonymi, przed rodziną i przed samą sobą. Zawiodłam jako człowiek. Największą karą jest, że od czterech miesięcy nie widziałam syna. Moje dziecko nie wie, że jesteśmy z Adrianem aresztowani, myśli, że jesteśmy za granicą. Tęskni za nami. Ominęły mnie jego urodziny. Chcieliśmy dać poszkodowanym nauczkę. Ci mężczyźni sami do mnie pisali. Chciałabym oddać pieniądze wszystkim pokrzywdzonym, wszystkich przeprosić i deklaruję, że nie zrobię tego więcej.

– Bardzo żałuję wszystkich rzeczy, przez które się tu spotkaliśmy. Jest mi wstyd, chciałbym przeprosić pokrzywdzonych i nasze rodziny, którym przynieśliśmy wiele zmartwień i wstydu za to, co zrobiliśmy. Ostatnie 128 dni były dla mnie najtrudniejsze w życiu. Nikomu nie chciałem zrobić krzywdy. Nikomu krzywdy fizycznej zresztą nie zrobiłem. Chciałem dać tym panom nauczkę. A dałem ją sobie. Nie byłem świadom konsekwencji moich czynów, nie wiedziałem, że mogę stracić przez to rodzinę. Ominęły mnie święta,

urodziny syna i Żanety, a nawet nasz własny ślub, który mieliśmy zaplanowany na Dzień Dziecka. Zrozumiałem wiele rzeczy. Zawiodłem jako człowiek, ojciec, syn i chrześcijanin. Moim głównym grzechem była chciwość.

Sąd we Wrocławiu nie dał wiary skrusze Żanety i Adriana.

W styczniu 2021 skazał ich na trzy (on) i dwa (ona) lata bezwzględnego więzienia. Wyrok jest prawomocny. Żaneta i Adrian oczekują obecnie na przyjęcie do zakładu karnego. Przed wyrokiem zdążyli się pobrać. Do momentu skazania pieniędzy pokrzywdzonym nie zwrócili.

Imiona bohaterów zostały zmienione

Tekst ukazał się w „Dużym Formacie" w 2021 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Martwy, ale ubezpieczony

Syn jest na liście do zlikwidowania – mówi mi ojciec Dariusza, który został ubezpieczony jako piąty i jedyny żyje.

PIOTR GŁUCHOWSKI

FOT. MACIEJ WASILEWSKI

Torunianin Andrzej Koczan ze zdjęciem nieżyjącego syna Rafała

Krótko po zmroku 28 listopada 2020 roku na leśnym odcinku lokalnej drogi pod miejscowością Starogród Dolny (powiat Chełmno, woj. kujawsko-pomorskie) przejeżdżający kierowca dostrzega najpierw czerwoną łunę i czarny dym, a potem płonące w głębokim rowie małe auto. Pojazd leży na boku. Ogień z otworów okiennych i spod maski wali tak, że palą się nawet otaczające wóz chaszcze. Wezwani strażacy znajdują w dopalającym się już dæwoo matizie dwa poczerniałe ciała. Trudno rozpoznać, jakiej są płci – nie mówiąc o identyfikacji.

Sadze w tchawicy

Droga 550 wznosi się w tym miejscu trzy metry ponad rów. To wystarczy, by auto przekoziołkowało. Zakręt, z którego miał wypaść matiz, nie jest jednak ostry. Kierowca, który wezwał strażaków, mówi o nim „śmieszny łuk". Mieszka trzy kilometry dalej i zapewnia, że jak żyje, nie pamięta tu żadnego wypadku.

Dæwoo nie nosi śladów wcześniejszego zderzenia z innym autem, barierą czy drzewem. Na drodze nie ma oznak ostrego hamowania. Wezwany na miejsce lekarz stwierdza zgon („zwłoki praktycznie zwęglone z rozległymi zwęgleniami tkanki kostnej"). Nie wiadomo, czy kierowca i pasażer spłonęli żywcem, czy zginęli wcześniej. Pierwsza wersja wydaje się, niestety, bardziej prawdopodobna, bo sekcja wykazuje „cząstki sadzy w górnych drogach oddechowych i pokarmowych". Jeden z denatów ma złamaną kość udową. Biegły od medycyny kryminalnej dr Przemysław Sopel orzeka, iż „bezpośrednią przyczyną zgonu mógł być wstrząs poparzeniowy, jednakże (...) nie można wykluczyć urazu czaszkowo-mózgowego". Badań toksykologicznych policja nie zleca.

Kolarz czy kajakarz

Po trzech dniach już wiadomo, że w aucie zginęli 25-letni Rafał Koczan i 45-letni Sławomir Śliwiński, obaj z Torunia. Koczan był w chwili śmierci trzeźwy, Śliwiński miał we krwi 3,5 promila alkoholu.

– Ciała były tak splątane, że nawet nie dało się stwierdzić, który z nich kierował, a który był pasażerem – mówi mi toruński adwokat Andrzej Pazdyga, pełnomocnik ojca Rafała Koczana.

Chełmińska policja i prokuratura ustalają, że obie ofiary od dwóch tygodni pracowały dorywczo dla Przedsiębiorstwa Handlowo-Usługowego Macieja B., zarejestrowanego w wynajętym

mieszkaniu przy ulicy Wawelberga 3 na warszawskiej Woli. Dziś mieszkają tam inne osoby. Macieja B. nikt na klatce nie kojarzy.

Z krajowego rejestru ewidencji gospodarczej wynika, że w 2015 roku jego spółka była podwykonawcą dla operatora strefy płatnego parkowania w podtoruńskiej Chełmży. Czyli zatrudniała inkasentów sprzedających kierowcom bilety parkingowe. Bywałem w tamtym czasie w Chełmży. Inkasenci już na pierwszy rzut oka sprawiali wrażenie ludzi w życiowych kłopotach – to się okaże ważne.

Pytam o Macieja B. w chełmżyńskim magistracie – nie pamiętają. W dokumentach jest tylko adnotacja o głównym operatorze strefy parkowania, za 12 miesięcy usługi skasował 94 tys. złotych. Ustalam jednak, że po roku 2018 Maciej B. zjawia się w Toruniu jako pośrednik w handlu nieruchomościami. Zamieszkuje na strzeżonym osiedlu przy ulicy Polnej 8. Macieja B. nie zastaję ani za pierwszym, ani za drugim, ani za trzecim razem. Rozmawiam z sąsiadami.

Ten z góry: – Słabo go znam, ale wydaje się kulturalnym człowiekiem. Przystojny albo raczej: mocno zbudowany. Jeździ dostawczakiem, ma jakieś przedsiębiorstwo. Mieszka sam. Kiedyś się zgadało, że jest byłym sportowcem, ale już nie pamiętam: kolarz czy kajakarz, jakoś tak… Ostatnio o niego policja pytała. Mówili, że chodzi o alimenty.

Ten z naprzeciwka: – Wiem tyle, że to biznesmen i chyba ma kłopoty. Szukają go ostatnio różni, nie tylko policja. Przez prawie dwa tygodnie jacyś w samochodzie pod klatką siedzieli, zdjęcia robili.

Ojciec i syn

Spalony matiz realnie należał do PHU Macieja B., chociaż formalnie do innej firmy, bydgoskiej. Kupiony krótko przed wypadkiem nie został przerejestrowany. Kupującymi w imieniu PHU byli B. i Rafał Koczan.

– Był kochanym, dobrym człowiekiem, wesołym – mówi mi ojciec Rafała, Andrzej. Rozmawiamy w mieszkaniu na piętrze gomułkowskiego bloku na toruńskim Podgórzu. Ojciec i syn mieszkali tu razem, co także będzie istotne. Na stole stoją: pudełko czekoladowych ciastek i portret Rafała w ramce. – Uprawiał sporty: pływał, jeździł na rolkach, na nartach, ćwiczył podnoszenie ciężarów. Alkoholu nie nadużywał, narkotyków nie brał. Skończył liceum, a po maturze robił policealną szkołę dla informatyków. Obaj z bratem to umysły techniczne. Robota u Macieja B. miała być jego dodatkową, bo na stałe pracował w Dortechu.

Ta firma jest podwykonawcą spółki Multimedia – jednego z potentatów w branży domowego internetu i telewizji. Spółka matka ma 15 procent rynku w całej Polsce. Spółka córka działa w Toruniu i okolicy.

– Syn zakładał kablówkę w Chełmnie, w Chełmży, Wąbrzeźnie, Brodnicy. Miał mnie przyuczyć i mieliśmy pracować razem. Ale w połowie listopada, robiąc montaż na osiedlu Rubinkowo, poznał klienta, który go skontaktował z Maciejem B., a ten mu zaproponował dorobek w nieruchomościach. I od razu zatrudnił na umowę o pracę. Mnie coś śmierdziało, bo syn nie umiał powiedzieć, jak firma się nazywa, ani nie miał jednej choćby wizytówki, nie wziął też kopii umowy.

Bo kopii nie było. A oryginał B. i Koczan podpisali w dostawczaku na parkingu pod toruńskim Cinema City. Pracodawca sfotografował

komórką dowód osobisty i prawo jazdy nowego pracownika, dał mu do podpisania kwit in blanco, dalej mieli się zdzwaniać.

– Doradziłem Rafałowi, aby zablokował dowód jako zaginiony, żeby ten B. nie wziął na niego kredytu i nie znikł – mówi mi Andrzej Koczan. – Ale facet się rzeczywiście odezwał. Dał pierwsze zlecenie.

Zleceniem była pomoc przy zakupie matiza w Bydgoszczy. Rafał pojechał tam razem z B. A potem odprowadził nowy nabytek na przegląd do umówionego wcześniej mechanika. Maciej B. wieczorem zapłacił mu 100 złotych, z ręki do ręki. I obiecał, że wkrótce Rafał dostanie matiza jako służbowe auto. Koczan wrócił do domu – i do ojca – bardzo zadowolony.

Trzeci raz pracodawca skontaktował się z Rafałem 28 listopada 2020, około 13. Dał kolejne zadanie: natychmiast obejrzeć pod Chełmnem działkę budowlaną. Ocenić, czy atrakcyjna.

– Syn nie miał żadnego doświadczenia ani w działkach, ani w mieszkaniach, więc byłem przekonany, że pojechał na miejsce z B. jako jego szofer. Noc nadchodzi, Rafał nie dzwoni, telefon ma wyłączony, ja już cały w nerwach, bo jemu się nie zdarza nie wrócić na noc do domu i jeszcze nie informować. Nazajutrz była niedziela, poszedłem na policję, tutaj, na Podgórzu, zgłosiłem zaginięcie. W poniedziałek dostałem przez znajomych wiadomość, że pod Chełmnem rozbił się jakiś matiz. Poszedłem na komisariat raz jeszcze. Zadzwonili przy mnie do Chełmna i mówią, że syn chyba nie żyje, a druga ofiara wypadku to nie jest Maciej B., tylko jakiś inny, nazwiskiem chyba Śliwiński.

Razem ponad 3 miliony

Pogrzeb Rafała odbył się 28 grudnia. 40 dni później na adres ojca i syna przychodzi informacja o zaległej racie ubezpieczenia Rafała na życie. W ten sposób ojciec dowiaduje się, że syn miał polisę w Allianz. Nazywała się „Pakiet Bezpieczne Życie" i w związku z nieopłaceniem składki wygasła dwa dni po wypadku.

Na wezwaniu jest numer „opiekuna polisy". Ojciec dzwoni i słyszy, że wypłaty za śmierć jego dziecka – która ma wynieść przeszło 200 tysięcy – nie dostanie rodzina, lecz Maciej B. – tak zwany uposażony. To on ubezpieczył pracownika i zapłacił pierwszą składkę.

– 9 kwietnia przyszło kolejne pismo, z Avivy – ojciec pokazuje drugi list. „Panie Rafale! Informuję, że do dnia dzisiejszego nie otrzymaliśmy składki w wysokości 187 zł. W trosce o kontynuowanie ochrony ubezpieczeniowej proszę o jej uregulowanie na nr konta (...). Dyrektor Centrum Kontaktów z Klientami".

– Następne wezwanie dostałem z Warty. A potem jeszcze jedno pismo i jeszcze...

W połowie roku ojciec już wie, że syn był ubezpieczony przez swego pracodawcę w co najmniej pięciu towarzystwach. Suma należnych odszkodowań przekracza 3 miliony. We wszystkich przypadkach beneficjentem jest Maciej B.

– Już po odebraniu pierwszego listu, z Allianz, umówiłem się z policjantem prowadzącym śledztwo. Dowiedziałem się, że sprawa idzie na umorzenie. Zażądałem widzenia z prokuratorem nadzorującym. Trzy razy musiałem prosić. W końcu dostałem numer prokuratora Witolda Preisa. Pojechałem do niego wiosną, jeszcze

było zimno. Miał dla mnie mało czasu, mówiłem o tych ubezpieczeniach, a on odpowiadał, że wie, co ja czuję, ale jest zajęty. W końcu dał mi do podpisania dokument, że chcę być świadkiem w śledztwie, i uspokoił, że na pewno sprawy łatwo nie zostawią. Dwa miesiące później wezwali mnie na przesłuchanie. Jadę do Chełmna, rozmawiam z policjantem i widzę, że ten nic nie pisze. Zażądałem zrobienia protokołu. Ale i tak w maju śledztwo umorzyli. Wtedy postanowiłem nająć adwokata.

Sprawa nabiera rumieńców

Chełmińska policja i prokuratura coś tam jednak zrobiły. Ustalono, że drugi mężczyzna z matiza też był ubezpieczony na życie w kilku towarzystwach. I w jego przypadku uposażonym też jest Maciej B.

– Nie zapaliła się panu czerwona lampka? – pytam prokuratora Witolda Preisa. – Przecież is fecit, cui prodest. Sprawca to ten, kto odnosi korzyść.

– A ja panu powiem: audiatur alteram partem, niech pan wysłucha drugiej strony – odpowiada śledczy. – Ludzie giną w wypadkach i mają różne polisy. Nie możemy się zastanawiać nad każdym ubezpieczonym. Szatański pomysł na ubezpieczenie w kierunku późniejszego zabójstwa nikomu nie przyszedł do głowy. Przynajmniej początkowo. Bo potem sprawa faktycznie nabrała rumieńców.

– Ojciec Koczana wpadł na ten trop, zanim umorzyliście śledztwo. Można go było potraktować serio.

– Śledztwo zostało umorzone na podstawie opinii biegłych. Nie ustalono, kto kierował autem, i stąd umorzenie. Ale są prowadzone

czynności zgodnie z artykułem 327 paragraf 1 i 3.

Czyli śledztwo de facto się toczy (chociaż umorzone). Teraz prokuratura szuka nie tyle sprawcy wypadku, ile jego organizatora. I prokuratura nie tylko w Chełmnie, ale też w Toruniu, bo na początku roku tutejsza rejonówka odebrała doniesienie o możliwości popełnienia przestępstwa od jednego z ubezpieczycieli. Wewnętrzny audyt w towarzystwie asekuracyjnym dopatrzył się sfałszowanego podpisu na wniosku o zawarcie umowy. Czy był to podpis Koczana, Śliwińskiego czy kogoś innego, śledczy nie chcą zdradzić.

– Wezwano pana Macieja B. i postawiono zarzut usiłowania wyłudzenia ubezpieczenia – mówi prokurator Jarosław Kilkowski z toruńskiej okręgówki, która przejęła śledztwo od niższej instancji.

– Nie zawnioskowaliście o areszt? – dziwię się.

– Nie. Ale śledztwo jest rozwojowe. Mamy wielu ubezpieczycieli, którzy zgłaszają zastrzeżenia co do polis Rafała K. i Sławomira Ś. i innych osób.

– Czyli gdyby Maciej B. nie fałszował podpisów pracowników, nikt by do prawdy nie doszedł?

– To pańska opinia.

Inne osoby z noclegowni

Znalezienie owych „innych osób" zajmuje mi kilka dni. Spalony w matizie Sławomir Śliwiński (mieszkaniec Podgórza, jak Koczan) też został zatrudniony na wspomnianym parkingu pod kinopleksem. Potem spotykał się z Maciejem B. m.in. pod podgórskim kościołem

św. Piotra i Pawła. Składał podpisy na jakichś papierach, dostawał drobne kwoty, które wydawał na wódkę. Był alkoholikiem w ostatnim stadium nałogu. Wyrzucany przez żonę z domu nocował na ulicy. A czasem w schronisku dla bezdomnych. Tam mógł mieć kontakt z Dariuszem Świtajskim, Leszkiem Czarnowskim i Dariuszem Rudawskim. Wszyscy byli zatrudnieni jako specjaliści w PHU, żaden nie sprzedał ani nie kupił dla swojego szefa żadnej nieruchomości, wszyscy mieli po kilka polis na życie i – uwaga! – dwaj pierwsi nie żyją od jesieni 2020. Odszkodowania za nich – polisy były niższe niż u spalonych w matizie – odebrał Maciej B.

Noclegownia to długi parterowy barak. Otwierany od 19. Rozmawiam z opiekunem Markiem Bukowieckim, potem z podopiecznymi, w końcu z kierownikiem Tomaszem Jurkiewiczem. Dowiaduję się, że Świtajski mieszkał w przytulisku zimą i wiosną 2020. Podobnie jak Śliwiński był uzależniony. Potrafił wypić stojący w korytarzu płyn do dezynfekcji rąk (właśnie zaczęła się pandemia). Zmarł w toruńskim szpitalu z powodu ogólnego wyniszczenia organizmu. Czarnowski był pensjonariuszem od 2016 do 2018 roku. Później pojawiał się w ośrodku sporadycznie. Zmarł prawdopodobnie na ulicy. Lokatorzy przytułku mówią: „Zapił". Mimo że między zawarciem polis na życie a śmiercią obu bezdomnych minęło raptem kilka tygodni, żadnego śledztwa nie wszczęto.

Rudawski przemknął przez noclegownię „chyba pół roku temu". Nie wiadomo, czy żyje.

– Żaden nie miał ani wykształcenia, ani przygotowania do handlu i nieruchomości – mówi pracownik schroniska. – Nie wyglądali na

fachowców w jakiejkolwiek dziedzinie, źle wyglądali po prostu, a chyba żeby sprzedać mieszkanie, trzeba wyglądać dobrze.

Mecenas Andrzej Pazdyga w swoim gabinecie na toruńskim rynku: – Klasycznymi słupami byli. Kiedyś na dane takich ludzi przestępcy zamawiali towary z odroczonym terminem płatności. Potem było popularne branie drogich kredytów na ich dokumenty. A teraz, jak widać, takie grube zagranie…

Pracownik schroniska: – Takich ludzi różni wykorzystują cwaniacy. Niedawno był u nas komornik, bo ktoś na dowód podopiecznego kupił nowe porsche za pół miliona i wywiózł do Rosji. A inny nasz klient miał na siebie firmę ze Szczecina, i to jedną z większych na tamtym terenie. Teraz piszą do nas i przyjeżdżają detektywi z towarzystw ubezpieczeniowych. Słyszałem, że się już tych polis na życie zebrało jedenaście.

Po prostu przypadek

Jedynym ubezpieczonym spoza schroniska był Rafał Koczan. – Do mnie też detektywi z towarzystw przyjeżdżali – mówi mi dalej jego ojciec. – Bardzo dużo wiedzieli. Przyznali, że gdyby nie to, że Rafał miał kogoś, kto się po jego śmierci zainteresował, sprawy by nie było. Poradzili mi ci detektywi, że jak chcę wyjaśnić sprawę śmierci syna, muszę pójść do mediów. Umówili mnie nawet z Polsatem.

Reporter Polsat News Lech Dawidowicz miał więcej szczęścia ode mnie. Złapał Macieja B. przy domu. Zdaniem sąsiadów po tym właśnie spotkaniu „biznesmen” znikł z osiedla. Na nagraniu, które dostałem od Dawidowicza, dziennikarz pyta: „Dokąd jechali matizem Rafał Koczan i Sławomir Śliwiński?”.

Właściciel PHU: „Do końca nie wiem. Ja się nie włączam jeszcze na tym etapie. Jeżeli zna pan zasady pracy przedstawiciela handlowego, to doskonale pan wie, że dopiero kiedy pracownicy mają już klienta, który chce rozmawiać, dają mi informację, żeby temu tematowi poświęcić czas".

„Przyczynił się pan w jakikolwiek sposób do wypadku samochodowego?".

„Udam, że tego pytania nie słyszałem, bo to jest tragiczne wydarzenie i to pytanie jest szalone po prostu".

„Cztery ubezpieczone przez pana osoby nie żyją".

„Ja to określam po prostu jako przypadek losowy".

Piąty człowiek

Tym, który przeżył ubezpieczenie, jest Dariusz Rudawski, lat 55, rozwiedziony, uzależniony od alkoholu. Próbował zarabiać, handlując proszkiem do prania na wagę. Brał zasiłki z MOPS. Maciej B. pojawił się w jego życiu wiosną tego roku.

– Dał synowi do użytku starą, rozklekotaną škodę – mówi jego matka. Oboje rodzice mieszkają w wieżowcu, dwieście metrów od biura prokuratora Kilkowskiego. – Miał niby tym samochodem jeździć i załatwiać dla pana B. jakieś jego sprawy.

– Sprzedawać nieruchomości?

– A gdzie tam, to przecież jest pijak! – wtrąca Rudawski senior. – Ja mu pieniądze dawałem, a on wszystko przechlał.

Matka: – Ten pan B. od razu syna musiał ubezpieczyć. Bardzo mu zależało. Wziął od Darka dowód.

Ojciec: – Nawet takiej roboty nie umiał trzymać.

Matka: – Zwolnił się po dwóch dniach chyba.

Ojciec: – Zawsze na manowcach.

Matka: – Škoda się zepsuła. To było wiosną.

Ojciec: – A teraz policja go zaprowadziła na świadka do prokuratury.

Matka: – Syn będzie najważniejszym świadkiem przeciw temu panu. Szczęście, że nie zdążyli go zabić. Policja dała synowi numer, że jak tylko coś podejrzanego zauważy, naciska guzik i będzie radiowóz.

Ojciec: – Bo on jest na liście do zlikwidowania.

Matka: – Przecież ten pan B. ciągle jest na wolności.

Pytam prokuratorów Kilkowskiego i Preisa, czy celowo puścili podejrzanego wolno, aby go obserwować i zbadać dalsze kontakty. Gdyby udało mu się odebrać wszystkie odszkodowania, zgarnąłby przecież około 6 milionów. Może pracuje dla kogoś większego od siebie? Może operacja „ubezpieczyć i zgarnąć odszkodowania" była (albo jest) prowadzona też w innym mieście?

Prokuratorzy nie chcą się odnieść do tych spekulacji.

Andrzej Koczan mówi, że podobne przypuszczenia wyraził jeden z detektywów z firmy ubezpieczeniowej.

Tekst ukazał się w „Dużym Formacie” w 2021 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI

Włamywaczki

Szukaj okien, w których nie ma firanek, i decyduj się szybko, poradziła Monice ciotka. I dała jeszcze łom.

PAWEŁ PIOTR RESZKA

FOT. SHUTTERSTOCK (ZDJĘCIE ILUSTRACYJNE)

Tylko w Lublinie corocznie zdarza się ok. 20 przypadków bezprawnego zajęcia mieszkań należących do miasta

W życiu trzeba sobie jakoś radzić. Najpierw należy zrobić rozpoznanie. Sylwia wykorzystała do tego celu Biedronkę. Jest na końcu ulicy. Nie trzeba nic kupować, wystarczy reklamówka. Przez tydzień więc Sylwia rano i wieczorem wędrowała do Biedronki. Dwa razy dziennie przechodziła pod oknami na parterze. Żadnego ruchu, wieczorem nigdy nie paliło się tam światło. Los się do Sylwii uśmiechnął.

Magda dostała cynk od koleżanki mamy. Nie zastanawiaj się, powiedziała, bo ci to sprzed nosa sprzątną. Miała rację, popyt jest spory. Magda wobec tego nie zastanawiała się, przyjechała obejrzeć dokładnie miejsce, a potem niezwłocznie umówiła się z bratem i kolegą, bo jednak o wyważaniu drzwi wiedzę ma niewielką.

Informację od znajomych dostała też Agnieszka. Mnóstwo ludzi tak robi i nic się nie dzieje, zachęcali. Nie potwierdziło się do końca.

Monika dostała dokładne instrukcje od ciotki. Ciotka mieszka na tym osiedlu i można powiedzieć, że zna realia. Szukaj okien, w których nie ma firanek, i decyduj się szybko, poradziła Monice ciotka. I dała jeszcze łom.

Przejęcie

Do wszystkich włamań doszło wieczorem.

Ułożyła do snu maluchy, została z nimi koleżanka. Sylwia ruszyła w stronę Biedronki. Tym razem w reklamówce miała żelazny pręt.

– Sama bym z tymi drzwiami nie dała rady, ale dziecko mi pomogło – wspomina. Tomek ma 14 lat, ale to już kawał chłopa. Namęczył się mocno przy zamku firmy Gerda, ale w końcu coś w drzwiach chrupnęło i można było wejść do środka. (Tomek: – Było super!). Narobili trochę hałasu na klatce, ale żaden sąsiad nawet nie wyjrzał. Sąsiedzi są tu naprawdę w porządku.

Magda najadła się nerwów. Bo okazało się, że brat i kolega o wyważaniu drzwi też niewiele wiedzą. Zdjęli je w końcu z zawiasów, ale tak, że zawiasy już do niczego się nie nadawały. Trzeba też przyznać, że drzwi były solidne, to w końcu przedwojenna kamienica. A Magdzie bardzo, ale to bardzo zależało, żeby niczego nie zepsuć. I tak wystarczy już, że się włamała. Na ręku miała córkę, w torbie materacyk, dwie bułki z wędliną i wodę. Wzięła jeszcze kojec dla dziecka.

Agnieszce poszło szybko. Mąż się postarał i zamek rozwiercił raz-dwa.

Monika miała łom od ciotki (w torbie jeszcze młotek), mąż niósł materac. Firanek nie było w oknie na parterze. Poszło szybko, drzwi puściły. Tylko zdążyli się rozejrzeć po mieszkaniu, a w drzwiach stanął jakiś chłopak. Był wytatuowany, wyraźnie niezadowolony i dopytywał, o co chodzi. Szybko wyjaśniło się, że ten lokal nieco wcześniej został przez niego już zajęty. I że zamek, który zniszczyli, właśnie sobie założył. Monika i jej mąż wyjaśnili lokatorowi, że poszukują mieszkania, bo ona niedługo rodzi. Chłopak miał niewielką przeszłość, parę miesięcy, ale okazał się zupełnie normalny (a tatuaże na tym osiedlu ma prawie każdy facet). Okazał się przy tym bardzo sympatyczny. Oznajmił, że w związku z tym, że Monika jest w dużej ciąży, on się z nimi zapozna i im pomoże. Nie

tylko, że nie chciał nic za zamek, ale zapowiedział, że pokaże im, gdzie tu jest wolne mieszkanie. Zaprowadził ich blok dalej, do lokalu na pierwszym piętrze, zawołał kolegów. Ci potraktowali drzwi z kopa i z bara i już można się było wprowadzać. Na koniec jeszcze zapukał do sąsiadów, że tu będzie mieszkać dziewczyna z dzieckiem i żeby nie robić problemów. Ludzie nie mają nic przeciwko jak rodzina jest normalna. Mąż jeszcze wieczorem pojechał do pracy, a Monika zaczęła się urządzać. Do ściany przybiła trzy obrazki z komunii – swoje, męża i ojca. Na wypadek gdyby musiała na chwilę wyjść. W nowo zajętym mieszkaniu trzeba koniecznie mieć coś swojego, coś, co podkreśli, że ma ono już lokatora, inaczej inni poszukujący mogą je przejąć. Gdy już się uporała z obrazkami, ułożyła materac pod drzwiami (po tych kopach nie chciały się zamykać), pod spód włożyła młotek i starała się usnąć.

Powody

Sylwia i Magda mieszkają w zajętych nielegalnie lokalach komunalnych w kamienicach przy ul. Lubartowskiej w centrum Lublina, Agnieszka i Monika – przy ul. Grygowej w tym samym mieście. Ten ostatni adres to osiedle socjalne jednopiętrowych bloków.

Sylwia włamała się dla dzieci. Pierwszy raz Rafał przyłożył jej jakoś tak dwa lata po ślubie. Stało się to tuż przed Wigilią, za długo była w sklepie, a on w tym czasie musiał siedzieć z dzieckiem w domu. Wywołało to napięcia. Dostała z pięści i usłyszała, że jest kurwą i szmatą. Na pomoc pośpieszyła teściowa. Głos rozsądku. Jesteście młodym małżeństwem, dotrzecie się, uspokajała Sylwię.

Sylwia przestała wierzyć, że się dotrą, gdy Rafał rzucił w syna szafką. Mieli już piątkę dzieci. Ona miała też notorycznie opuchniętą twarz. Nie hamował się nawet, gdy była sprawa. Co się pani stało w oko, dopytywała sędzina. Na szczęście nie musiała odpowiadać. – Poniosło mnie – odparł szybko mąż. Dostał półtora roku, siedzi. – Tak że nie za wesoło miałam – zauważa Sylwia.

Żyje z alimentów, pomaga opieka społeczna (on był kierowcą, ale pieniądze i tak wydawał na chlanie, ona, krawiec odzieży damskiej lekkiej, nie pracowała, wiadomo, dzieci). Mieszkali na stancji, na poddaszu kamienicy. Pokój, kuchnia, toaleta. Szczury łaziły po dzieciach, a gdy padało, to też na dzieci. Wchodziła na stołek i gipsem zatykała dziury w suficie, ale niewiele pomagało.

A potem, gdy akurat była na zakupach, synek wszedł na dach, dla zabawy. Był dość dobrze widoczny, więc policja przyjechała szybko. Okazało się, że z powodu złych warunków mieszkalnych może stracić dzieci.

Aż w końcu los się do niej uśmiechnął.

Magda zajęła mieszkanie, bo nie układało jej się. Nie ma pewności, co się dzieje z ojcem dziecka. Niedawno na targu spotkała jego matkę. Poinformowała ją, że syn wyjechał za granicę, do pracy. Było to jednak półtora miesiąca temu, a Magda nie ma od niego żadnego znaku życia. Wcześniej dawał jej 250 złotych miesięcznie na córkę. Teraz jest problem, bo nie wiadomo, czy czekać, czy podawać go za alimenty. I czy faktycznie wyjechał? Skończył gimnazjum albo liceum, Magda nie ma pewności. Poznali się na dyskotece, byli ze sobą dwa lata, zerwali zaraz po urodzeniu małej.

Uważa, że wkrótce uda jej się stanąć na nogi. Ma dopiero 20 lat. Do studium florystycznego poszła trochę z przypadku, po prostu lubi coś układać. I to był dobry wybór, najbardziej podeszły jej wieńce pogrzebowe. Teraz robi jeszcze technika kosmetologii. Gdy mała pójdzie do przedszkola, Magda zacznie szukać pracy.

Mieszkała u matki, z czwórką rodzeństwa w jednym pokoju, w lokalu pracowniczym. Nie dogadywały się. Wiadomo, małe dziecko płacze. Matka Magdy życzyła sobie spokoju, a przede wszystkim wiedziała wszystko o wychowaniu. Magda jednak nie chciała córki tresować, ale wychowywać. Na to usłyszała, że ma się wyprowadzić i że zostanie wymeldowana, koniec rozmowy. Jak się okazuje, nie każda matka jest mamą.

Agnieszka wprowadziła się, bo musiała iść na swoje. Z lepszych czasów zostały im dwa telewizory. Jeden 30-calowy w dużym pokoju i drugi, mniejszy, w kuchni. Lepsze czasy były trzy lata temu, gdy wraz z konkubentem mieszkała na wsi pod Lublinem. On jako palacz w szkole nie zarabiał zbyt dużo, ale dorabiał w sklepie, ona z kolei dostawała rentę, gdyż słabo widzi. Wiodło im się przyzwoicie, tym bardziej że najstarsza córka już się usamodzielniła i pracuje na kasie. Mają jeszcze trójkę dzieciaków.

Lepsze czasy skończyły się, gdy jej matka postanowiła sprzedać dom, w którym mieszkali, a pieniądze sprawiedliwie podzielić pomiędzy rodzeństwo.

– A mówiłam mamie – zwierza się Agnieszka – niech przepisze go tylko nam, a my w końcu już zaczniemy o niego dbać. Ale nie chciała słuchać.

Trafili więc do pustostanu, ZUS przestał płacić rentę (sprawa jest w sądzie, cud jakiś chyba musiałby zaistnieć, by Agnieszka zaczęła lepiej widzieć), a partner nie może znaleźć pracy.

Monika chciała ratować rodzinę. Gdy po raz drugi zaszła w ciążę, uznała, że małżeństwo jednak powinno mieszkać razem. Wcześniej wprawdzie starali się wynajmować stancję, ale było ciężko. Poznali się w zawodówce, on uczył się na montera maszyn i urządzeń, ona na fryzjerkę, jednak zaszła w ciążę i edukację musiała zakończyć. On zresztą też, choć na rodzinę stara się zarobić, pracując przy wykończeniówkach.

Mieszkali osobno, bo innych możliwości po prostu nie było. On u swoich rodziców, ona u mamy. Pokój miała z babcią, jej część oddzielona była regałem, miała tam swoje rzeczy, plakaty z Eminemem, Rihanną, różne takie. Ciasno, a dodatkowo babcia miała swojego psa, więc można sobie wyobrazić. Męża rodzina nie interesowała, nie pomagał przy dzieciach, wniosła o separację.

Dziś między nimi znów jest dobrze. Mają trzecie dziecko, córkę.

– Młodzi powinni mieszkać razem – przekonuje Monika.

Pierwsza noc

Pierwszej nocy Sylwii spało się znakomicie. Mieszkanie okazało się dwupokojowe, piękne, jasne. Dzieci mogą się wybiegać, jest gdzie odrobić lekcje, nie kapie na głowę.

Szwagier poszedł po nowy zamek, kolega szybko zamontował. Sylwia z kolei udała się do administracji, by zgłosić, że na dziko zajęła mieszkanie. Urzędniczce się to widać nie spodobało, bo zaczęła się wydzierać, po co Sylwia narobiła sobie tyle dzieci. I że

jak jej się zachciało mieszkania, to niech sobie kupi. Na to jej powiedziała, że przecież nie ma za co, i by nie obrażała jej dzieci, bo one nie są niczemu winne.

Jednak te pierwsze dwa tygodnie były dość ciężkie, chodzili wcześnie spać, bo przy świeczkach ciężko wytrzymać. Dobrze, że były wakacje. Założyła licznik przedpłatowy, w elektrowni nikogo nie dziwiło, że w zajętym nielegalnie mieszkaniu. Zaraz po tym zamówiła Cyfrowy Polsat, bo dzieci bajki muszą oglądać.

Minął miesiąc, Sylwia czeka na książeczkę mieszkaniową, dostanie na pewno, taka praktyka urzędu. Jak zacznie płacić, poczuje się jeszcze lepiej. Sprawa o bezprawne zajęcie może będzie za rok, na ulicę może jej nie wyeksmitują.

W pierwszą noc Magda nie zmrużyła oka. Bała się, że przyjdzie policja, że ją wyrzucą. I tak było przez tydzień. Lęk potworny. Gdy zapadał zmrok, gasiła świeczkę i leżała bez ruchu. Prawie nic nie jadła. W końcu poszła do administracji. Powiedziała, że owszem, zajęła lokal, ale dlatego, że mama, a właściwie matka, ją wyrzuciła, nie ma się gdzie podziać, a nie będzie się tułać po domach samotnych matek, bo tam zaraz przyczepią się do niej różne pomoce społeczne, a jej dziecko wyrośnie na patologię, a tego nie chce. Zwłaszcza niemiła była pani kierownik. – Proszę opuścić mieszkanie, jak pani może?! A Magda jej na to: – Przepraszam bardzo, proszę na mnie nie krzyczeć, bo ja też mogę podnieść głos, ja przyszłam tu normalnie to zgłosić, przecież strasznie dużo osób tak robi, macie pustostany i czego nie dajecie ludziom tych mieszkań, ludzie pod mostem śpią, a wy co? Wyszła rozdygotana.

Ale potem było już tylko lepiej. Przyszła specjalna komisja z urzędu. Magda otworzyła drzwi i zaraz przysunęła się do ściany, na wszelki

wypadek, by nie można jej było wypchnąć na korytarz. Ale komisja okazała się całkiem miła, a zwłaszcza jeden pan, co powiedział do córeczki Magdy: „No co, pszczółko?". I Magda od razu poczuła, jak schodzi z niej napięcie.

Dostała książeczkę mieszkaniową, wielka ulga. Mieszkanie jest jakby trochę jej.

Sąsiadka dała jej gałęzi, by napaliła sobie w piecu, ale liczy, że węgiel dostanie z opieki, licznik przedpłatowy na prąd założyli na dowód. Tylko z telewizją jest problem (telewizor ma z lombardu za 300 zł), bo z anteny nie chce łapać. Ludzie mówią, że tak się dzieje, od kiedy na pobliskiej katedrze dach zmienili, ten nowy ma zakłócać odbiór. Magdy na kablówkę nie stać, więc poprosiła brata, by przyjechał z playstation. Będzie grał, a mała jakby miała bajkę. Problem tylko w tym, że brat ma głównie mordobicia.

Agnieszka pierwszej nocy za bardzo nie pamięta. Tyle że mieli ze sobą szczoteczki do zębów i jakieś stare graty, bo nowych mebli do pustostanu na razie nie opłacało się wieźć.

Szok był za to kulturowy, bo jako osoba, która przyjechała ze wsi, nie była przyzwyczajona do wulgarnego zachowania się podlotków. Raziło ją, jak wysławiają się dzieci na osiedlu. Bo żeby dziewięciolatek do swojej rówieśniczki zwracał się „ty kurwo"? Maluchy, a pety w buzi. Jej dzieci mają pohamowanie do wszystkiego, nie ubliżają, a starszej osobie pomogą. Kiedyś nawet dziewczyny z osiedla wyzywały jej córkę przez Facebooka.

Trochę zainwestowali w mieszkanie, kuchnia ładnie urządzona, okna nowe wstawili. Tym bardziej szkoda będzie się stąd po tych trzech latach wyprowadzać. Komuś z osiedla Agnieszka i jej konkubent

widać narazić się musieli. Dostali eksmisję, a pewnego dnia zapukał komornik.

Komornik, młody, kulturalny człowiek, a nie jakiś padalec, wyjaśnił Agnieszce, co musi zrobić. Czyli ją wyeksmitować i że jest do tego przez sąd zmuszony. Jeżeli rodzina nie opuści lokalu w określonym czasie, pomoże jej w tym policja, meble pójdą na licytację, dorośli do noclegowni, a dzieci do domu dziecka. Agnieszka nie będzie ryzykować, dlatego też wynajęła stancję. Nie wie jeszcze wprawdzie, z czego będą brać te 1300 zł, ale nie było wyjścia. A przecież proponowała miastu polubowne rozwiązanie. Umówiła się na rozmowę z urzędnikami, ale gdy tylko weszła, zaczęli na nią krzyczeć, że zajęła lokal, który był przeznaczony dla matki samotnie wychowującej czwórkę dzieci (Agnieszka podejrzewa, że to nieprawda). Można powiedzieć, że na starcie podcięli jej skrzydła. A chciała tylko, by formalnie przydzielili jej lokal, w którym i tak już mieszka. Skoro nie, to ona płacić czynszu nie ma zamiaru. Winna jest już miastu 15 tys. A tymczasem są tu ludzie, co mieszkają nielegalnie po 15 lat, mają 80 tys. długu, i ich nikt nie eksmituje.

Rano Monikę, która spała przy wykopanych drzwiach z młotkiem pod materacem, obudziło głośne pukanie. Okazało się, że to legalna lokatorka z tego mieszkania. Wprawdzie zgłosiła administracji, że się wyprowadza, i opróżniła mieszkanie, ale po coś tam jeszcze musiała wrócić. Kazała Monice wypierdalać. Ta zdjęła więc ze ściany obrazki z komunii, wzięła materac i wyszła na korytarz. Tam zaczepiła ją sąsiadka. Zostaw to u mnie i czekaj pod blokiem, ta lokatorka, co przyszła, zaraz sobie pójdzie, wtedy znowu się sprowadzisz. I tak się stało. Od tej pory Moniki i jej męża nikt nie niepokoi. Wiedziała, że szybko ich nie wyrzucą, na wszelki wypadek czekali do ósmego miesiąca ciąży z przeprowadzką. Grzywnę, którą

sąd ukarał ją za zajęcie lokalu, umorzyli jej (300 zł). Ponadto Monika jest przekonana, że na ulicy nie wylądują. – Myślę, że nawet mogą mi przyznać to mieszkanie – uważa. – Mam notariuszkę w rodzinie, zna prawo, więc wiemy, co robić.

Na razie inwestują. Panele w kuchni, malują co roku, ściany pękają, a człowiek lubi ładnie mieszkać. Czynszu nie płacą, bo z trojgiem dzieci nie jest za łatwo.

– Czy my uważamy się za ubogich? Bez przesady. Starcza nam na podstawowe wydatki, mamy plazmę, laptop, lodówkę. Samochodu jeszcze nie mamy, ale będziemy mieć, raczej coś małego. Nie jesteśmy ubodzy, raczej tacy normalni.

Prawo i praktyka

Za nielegalne zajęcie mieszkania grozi grzywna i ograniczenie lub pozbawienie wolności do roku. Gmina zawiadamia policję o tzw. naruszeniu miru domowego (art. 193 kk). Kieruje też do sądu wniosek o eksmisję. Osoby zajmujące mieszkania nielegalnie zobowiązane są też do płacenia co miesiąc odszkodowania. Jego wysokość jest porównywalna do stawki czynszu. W Lublinie rocznie zdarza się ok. 20 przypadków bezprawnego zajęcia mieszkań należących do miasta.

– Problem jest ogólnopolski – twierdzi Artur Cichoń, rzecznik Zarządu Nieruchomości Komunalnych w Lublinie. – Osoby zajmujące nielegalnie mieszkania czują się bezkarne. Bo najczęściej prokuratury umarzają postępowania dotyczące naruszenia miru domowego ze względu na niską społeczną szkodliwość czynu.

– A taka nie jest?

– Ciekawe, czy gdyby zajęto dom pana prokuratora, to śledczy też uznaliby, że to znikoma szkodliwość. Przecież to nie nas, urzędników, takie osoby krzywdzą, ale tych, którzy latami cierpliwie czekają na przyznanie im lokalu komunalnego – odpowiada Cichoń.

Na mieszkanie komunalne w Lublinie czeka się od czterech do siedmiu lat. Do niedawna pozbycie się niechcianego lokatora było bardzo trudne. Sąd orzekał eksmisję, ale gdy lokator miał małe dzieci, był osobą starszą lub chorą, otrzymywał jednocześnie prawo do lokalu socjalnego. A tych w mieście brakuje. Lokator mógł więc mieszkać spokojnie dalej – aż gmina nie zapewniła mu nowego mieszkania.

W 2011 zmieniło się prawo. Osoba, która zajęła lokal, może być eksmitowana np. do noclegowni lub schroniska. W Lublinie były już dwa takie przypadki. Komornicy zajmują się nimi niechętnie. Bo 80 proc. dzikich lokatorów to samotne matki z dziećmi. Zajęcie przez nich pustego mieszkania jest aktem desperacji.

Jak miasta mogą zabezpieczyć się przed nielegalnym przejmowaniem mieszkań? Budując lokale socjalne, ale nie każda gmina uważa to za priorytet. – Nie widzę możliwości zabezpieczenia mieszkania przed zajęciem – stwierdza Cichoń. – Mieliśmy nawet przypadek przejęcia w trakcie przeprowadzanego przez nas remontu. Robotnicy zrobili sobie przerwę. Gdy wrócili, w środku był już meble i matka z dziećmi. Przyjechała policja, udało się wynegocjować tyle, że robotnicy odzyskali sprzęt.

Są jednak miasta, w których ten problem nie istnieje. Na przykład Poznań – twierdzi Magdalena Gościńska z Zarządu Komunalnych Zasobów Lokalowych. Gdy „legalny” lokator opuszcza mieszkanie, firma ochroniarska wynajęta przez miasto natychmiast instaluje w

nim czujniki ruchu. Lokal jest też oklejany, by była jasność, że pilnuje go ochrona. Gdy czujnik wykryje intruza, ochroniarze jadą na miejsce, zawiadamiają ratusz, a ten policję. W Krakowie z kolei pustostany zabezpieczane są przez montaż dodatkowych zamków, czasem do drzwi przykręca się metalowe płyty, tak by nie można było ich sforsować.

Tekst ukazał się w „Dużym Formacie" w 2014 r.

WRÓĆ DO SPISU TREŚCI